

ISAAC ASIMOV Powiew śmierci

Tłumaczył  
TADEUSZ ŻBIKOWSKI

CZYTELNIK • WARSZAWA • 1971

Tytuł oryginału angielskiego  
A WHIFF OF DEATH

Okładkę projektował  
PRZEMYSŁAW BYTOŃSKI

Copyright © 1958 by Isaac Asimov

Rozdział I

Śmierć przebywa w laboratorium chemicznym, a wraz z nią milion ludzi, wcale na to nie zwracających uwagi.

Zapominają, że znajduje się wśród nich.

Jednakże Louis Brade, adiunkt wydziału chemii, wiedział, że nigdy nie zapomni tego drobnego faktu. Siedział w zagraconym laboratorium studenckim, zatopiony w głębokim fotelu, a wraz z nim Śmierć, której obecności był w pełni świadom. Teraz, gdy policja opuściła budynek uczelni, a korytarze ponownie opustoszały, jeszcze wyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, co zaszło. Szczególnie teraz, gdy usunięto z laboratorium namacalny ' dowód Śmierci — ciało Raifa.

Śmierć jednak nadal przebywała w laboratorium, lecz jego nie dotknęła.

Brade zdjął okulary i przetarł je powoli czystą chusteczką, którą tylko w tym celu nosił przy sobie, po czym zatrzymał wzrok na dwóch odbiciach swej twarzy w soczewkach. Twarz jego w obu soczewkach na skutek wypukłości szkła została mocno poszerzona i choć naprawdę szczupła, wyglądała na pełną, a szerokie, o cienkich wargach usta były jeszcze szersze.

Nie widać żadnych wyraźniejszych śladów — zastana-

wiał się. Włosy miał równie ciemne jak przed trzema godzinami, a delikatne zmarszczki koło oczu (jak przystało

w wieku czterdziestu dwu lat) wcale nie rysowały się mocniej niż przedtem.

Chyba nie można tak blisko obcować ze Śmiercią, żeby nie pozostawiła żadnych śladów?

Założył znów okulary i jeszcze raz rozejrzał się po laboratorium. Ale właściwie dlaczego to trochę bliższe niż zwykle spotkanie ze Śmiercią miałyby zostawić na nim jakiś ślad? Ostatecznie spotykał się z nią codziennie, co

chwila, gdziekolwiek się ruszył.

Spójrzcie na Nią. Siedzi tam w, co drugiej spośród stołeczonych na półkach brązowych buteleczek, zawierających różne odczynniki. Każdą z tych butelek ze Śmiercią zaopatrzone w wyraźną etykietkę, każdą wypełniono pięknymi, czystymi kryształkami w rozmaitych ilościach. Większość z nich wygląda jak sól.

Sól, oczywiście, też może zabić. Jeśli zje się jej dużo, może spowodować śmierć. Jednak większość kryształków przechowywanych w tych butelkach wykonałaby to zadanie znacznie szybciej. Niektóre zdołałyby dokonać tego w ciągu minuty lub, przy odpowiedniej dawce, w jeszcze krótszym czasie. ^

Szybko, wolno, boleśnie lub bezboleśnie; każdy z tych proszków to potężne lekarstwo na ziemską niedolę, a po

ich przełknięciu powrót do życia byłby już niemożliwy.

Brade westchnął. Dla nieświadomych, którzy by się na nie natknęli, mogły równie dobrze wydawać się sfolą. Przesypywano je do ważenia na arkusiki papieru, przelewano do kolb, rozpuszczano w wodzie, rozsypywano lub różniano na blatach stołów, laboratoryjnych, a następnie beztrudno zgarniano lub wycierano papierowym ręcznikiem.

Wszystkie te krople i okruchy Śmierci usuwano na bok, aby zrobić miejsce dla, powiedzmy, kanapki z szynką. A do zlewki, która ostatnio zawierała kwas siarkowy, wlewano potem na przykład sok pomarańczowy.

Na półkach znajdował się octan ołowiu, zwany ołowianym cukrem, ponieważ miał słodki smak, gdy zabijał.- Znajdował się tam też azotan baru, siarczan miedzi, dwuchromian sodu i dziesiątki innych, z których każdy niesie z sobą śmierć.

Był także, naturalnie, cyjanek potasu. Brade spodziewał się, że policja go zabierze, ale spojrzeli tylko z daleka i zostawili buteleczkę zawierającą chyba z pół funta

Śmierci.

W szafkach pod stołem laboratoryjnym stały pięcioli-

trove butle z silnymi kwasami, włącznie z kwasem siarkowym, który mógł; oślepić,, gdy prysnął do oczu,, lub zostawić bliznę na twarzy. W jednym rogu stały butle ze sprężonym gazem^jedne wysokie na kilkadziesiąt centymetrów, inne wielkości dorosłego człowieka. Każda z nich mogła nagle wybuchnąć lub otruć w razie niezachowania środków ostrożności.

Śmierć gwałtowna czy niespodziewana, przez usta lub przez nos, albo- zbliżająca się stopniowo, latami, powodowana na przykład kroplami rtęci, które z pewnością zaskrzyłyby się złowieszczym blaskiem w szparach podłogi lub zakamarkach pokoju, gdyby usunięto nagromadzony kurz.

Gdzie spojrzeć, tam czaiła się śmierć, i nikt się tym nie przejmował. I tu, co jakiś czas, jak na przykład teraz, jeden z tych, którzy z nią siedzieli, już się nie podnosił.

Przed trzema godzinami Brade wszedł do studenckiego laboratorium. Przeprowadzana przez niego reakcja utleniania przebiegała szybko i świeża butla z nowym tlenem, którą przed chwilą przesunięto na swoje miejsce, przepuszczała powoli tlen do urządzenia reakcyjnego.. Nastawił je na calś noc; miał jeszcze jedną drobną rzecz do wykonania, po czym zamierzał powrócić do domu, gdzie miał się spotkać o godzinie piątej z Kapem Ansonem.

Jak później wyjaśnił, zwykle przed wyjściem do domu zaglądał do tych studentów, którzy jeszcze pracowali

w laboratoriach, by im powiedzieć do widzenia. Ponadto, chciał pożyczyć trochę wzorcowego dziesięciomolowego kwasu solnego, a jak wszyscy wiedzieli, najstaranniej standaryzowane odczynniki w całym budynku miał właśnie Raif Neufeld.

Znalazł Raifa Neufelda leżącego na steatytowej powierzchni pod wyciągiem; twarzy jego nie było widać.

Brade zmarszczył brwi. Jak na tak pilnego studenta — a do takich zaliczał się Neufeld — była to poza niezwykła. Sumienny młody chemik, przeprowadzając doświadczenie pod wyciągiem, opuszczał między sobą a wrzącymi chemikaliami ruchome okienko z zabezpieczającym szkłem. Łatwo zapalne, szkodliwe opary utrzymywane były wewnątrz zamkniętej przestrzeni pod wyciągiem, skąd następnie za pomocą wentylatora ulatywały przez otwór wylotowy na dachu.

Nikt by się nie spodziewał, że może ujrzeć owo okienko podniesione, a wewnątrz spoczywającą na łokciu głowę jł^ chemika przeprowadzającego doświadczenie, i

Brade zawołał „Raif”, a nie podejrzewając niczego podszedł do studenta lekko i bezszelestnie po wyłożonej korciem podłodze, której powierzchnia miała chronić upuszczone

\»

naczynia od stłuczenia. Pod dotknięciem jego ręki ciało Neufelda osunęło się sztywno: Z nagłą energią, wywołaną chyba strachem, Brade odwrócił głowę studenta twarzą do góry. Krótko przycięte blond włosy opadały na czoło, a oczy Neufelda przywitały go szklanym spojrzeniem spod na pół przymkniętych powiek.

Czym tak bardzo różni się twarz zmarłego człowieka od twarzy śpiącego lub pijanego?

To była śmierć. Brade stwierdził brak pulsu u Raifa Neufelda oraz wyraźne oziębienie ciała, a wyczulonym nosem chemika uchwycił unoszący się nikły zapach migdałów.

Zrobiło mu się sucho w gardle, przełknął więc ślinę i zatelefonował do Szkoły Medycznej znajdującej się trzy ulice dalej, przy czym starał się nadać swemu głosowi jak najbardziej normalne brzmienie. Poprosił o doktora Shultera, którego znał, i wkrótce go z nim połączono. Następnie zatelefonował na policję.

Z kolei zadzwonił do kierownika wydziału, ale profesor Arthur Littleby, jak się okazało, wyszedł już z uczelni i nie było go od lunchu. Powiedział więc s.foetarce Littleby'ego urzędowo, co stwierdził i co w związku z tym zrobił, oraz prosił ją, by na razie nie nadawała tym wieściom rozgłosu.

Następnie przeszedł do swojego własnego laboratorium, zamknął dopływ tlenu\* i otworzył reaktor, aby usunąć narznaną osłonę. Wstrzyma teraz tę reakcję. Nie ma ona w tej chwili żadnego znaczenia. Spojrzał na manometry wysokiej butli z tlenem, ale właściwie nic nie widział i bezskutecznie usiłował się skupić.

W końcu, czując otaczającą go dokoła ciszę wypełnioną pustką, wrócił do laboratorium zmarłego studenta, sprawdział, czy drzwi są zamknięte i usiadł czekając razem ze

Śmiercią.

Doktor Ivan Shulter ze Szkoły Medycznej zapukał cicho do drzwi. Brade wpuścił go do środka. Oględziny zmarłego nie zabrały Shulterowi dużo czasu.

— Nie żyje już od kilku godzin. Cyjanek — oznajmił;

Brade pokiwał głową. — Przypuszczałem, że to cyjanek.

Shulter odgarnął z czoła siwe włosy, odsłaniając niemal całą, bardzo gładką twarz, która aż błyszczała od potu. — No cóż, ta historia narobi sporo hałasu — powiedział.

— Czy pan go zna... znał? — zapytał Brade.

—, Poznałem go kiedyś. Miał zwyczaj wypożyczać książki z naszej medycznej biblioteki, ale ich nie zwracał. Mu-i, siałem wysiać do niego cały sztab bibliotekarek, żeby odebrać książkę, która właśnie była mi potrzebna. A wobec jednej z bibliotekarek był tak niegrzeczny, że aż się popłakała. Ale 'wydaje mi się, że teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

Powiedziawszy to wyszedł.

Lekarz przybyły z ekipą policyjną potwierdził rozpoznanie, zapisał kilka uwag w notesie i zniknął. Zrobiono zdjęcia denata z trzech stron, a następnie doczesne szczątki

Neufelda owinięto w prześcieradło i wyniesiono z pokoju.

Pozostał tylko krępy i przysadzisty agent w cywilu. Mignąwszy swoją wizytówką przedstawił się jako Jack Do-

henny. Miał tłuste, obwisłe policzki, a w jego głosie brzmiał jakiś basowy zgrzyt.

— Raif Neufeld — powiedział wymawiając te słowa stłonie, "jak gdyby zwracał się do Brade'a o potwierdzenie

10

nie. — Miał jakichś bliższych krewnych, z którymi moglibyśmy się skontaktować? .

Brade spojrział na niego w zamyśleniu. — Ma matkę.  
' W biurze dostanie pan jej adres.

— Zajmiemy się tym. A właściwie, jak to się stało? Tak po prostu, dla formalności.

— Nie wiem. Znalazłem go martwego.

— Czy miał jakieś kłopoty ze studiami?

— Nie, dobrze mu szło. Ma pan na myśli samobójstwo"?

— Czasami w tym celu używają ludzie cyjanku.

— Ale po co montowałby wszystko dla przeprowadzenia doświadczenia, jeśli miał zamiar popełnić samobójstwo?

Dohenny rozejrzył się z powątpiewaniem po laboratorium. — Niech mi pan powie, proszę, czy to mógł być wypadek? Te sprawy przekraczają moje kompetencje — rzekł machnąwszy krótkim, grubym kciukiem w kierunku chemików.

Brade odpowiedział; — Tak, to mógł być wypadek. Naturalnie. Raif prowadził cały szereg doświadczeń, w których musiał rozpuszczać octan sodu, czyli sól sodową kwasu octowego dla utworzenia mieszaniny reakcyjnej...

— Niech pan zaczeka. Sól sodową jakiego kwasu? Brade przesyłał nazwę kwasu, a Do-

heny z równą cierpliwością zapisał ją sobie w notesie. Brade ciągnął dalej: — Mieszaninę tę utrzymuje się w stanie wrzącym, a następnie w określonym momencie, po dodaniu octanu, mieszanina zakwasza się wytwarzając kwas octowy.

— Czy kwas octowy jest trujący?

— Niespecjalnie. Znajduje się przecież w oecie. W rzeczywistości ten kwas właśnie nadaje octowi ów specyficz-

11

ny zapach. Kwas octowy ma silny zapach octu. Problem polega jednak na tym, że Raif musiał na początku użyć

cyjanku sodu zamiast octanu sodu.

— Jak to było możliwe? Czy są do siebie podobne?

— — Niech pan zobaczy. — Brade sięgnął po buteleczki z odczynnikami cyjanku sodu i octanu sodu. Obie były z brązowego szkła i jednakowej wysokości, a na każdej widniała takiego samego koloru etykieta. Na buteleczce

z cyjankiem sodu umieszczony był czerwony napis TRUCIZNA.

Brade odkręcił plastikowe korki obu buteleczek i Doheny ostrożnie zajrzał do środka.

— Chce pan przez to powiedzieć, że te rzeczy zawsze stoją tak blisko siebie na półkach? — zapytał.

— Tak, zawsze — odparł Brade.

— Czy nie trzymacie cyjanku pod zamknięciem?

— Nie. — Brade zaczynał odczuwać zmęczenie. Musiał ciągle uważać na swoje słowa, by nie powiedzieć czegoś, co okazałoby się w przyszłości nie do naprawienia.

Doheny zmarszczył brwi. — Znalazł się pan w kłopotliwej sytuacji, muszę powiedzieć. Jeśli rodzina tego dziecka będzie zgłaszać pretensje, że zaniedbano środków ostrożności, uniwersytet musi postarać się o dobrych adwokatów, którzy by znaleźli wyjście z tej sytuacji.

Brade potrząsnął przecząco głową. — Nie ma się czym martwić. Połowa odczynników, no, chemikaliów, które pan ,;

tu widzi na półkach, jest trująca. Chemicy wiedzą o tym ;

i są ostrożni. Pan przecież wie, że pana rewolwer jest na- •  
bity, prawda ?A jednak nie strzela pan do siebie.

— Być może stanowi to jakieś wytłumaczenie, jeśli

chodzi o chemików, ale nie, gdy w grę wchodzi student,  
czyż nie mam racji?

12

— Raif nie był studentem. Miał stopień naukowy, ukoń-  
czył studia już ze cztery lata temu. Cały czas pracował nad  
swoim dyplomem. Posiadał wszelkie kwalifikacje do pro-  
wadzenia prac badawczych bez nadzoru. Wszyscy dokto-  
ranci prowadzą doświadczenia samodzielnie. Często nawet  
pomagają w prowadzeniu laboratoriów dla studentów.

— Czy pracował tu zupełnie sam?

— Nie, właściwie nie. Przydzielamy z reguły po dwóch  
doktorantów do jednego laboratorium. Aktualnie dzielił je  
z Raifem Gregory Simpsonem.

— Czy dzisiaj też byli obydwoj?

— Nie. W czwartki Simpson ma bardzo dużo zajęć ze  
studentami. W czwartki w ogóle tu nie przychodzi. W każ-  
dym bądź razie nie przychodzi do tego laboratorium.

— A więc Raif Neufeid był tu zupełnie sam?

— Tak.

— Miał opinię dobrego studenta? — zapytał Doheny.

— Bardzo dobrego.

— Jak więc do tego doszło, że popełnił błąd? Chodzi mi  
o to, że gdyby użył cyjanku, dostrzegłby brak zapachu  
octu i natychmiast by stąd uciekł, prawda?



Twarz agenta policji była równie okrągła i dobrodusza jak przed chwilą, wyraz twarzy zupełnie naturalny, ale Brade zmarszczył brwi w zamyśleniu.

Odezwał się w końcu: — Brak zapachu octu mógł być właśnie tym elementem, który w rezultacie okazał się tak fatalny. Gdy podziałamy kwasem na cyjanek-sodu, wytworzy się cyjanowodór. Gaz ten w temperaturze wrzenia wody wydostaje się na zewnątrz wraz z parą wodną i jest niezwykle silnie trujący.

— Czy właśnie ten gaz jest stosowany w zachodnich stacjach do egzekucji? — zagadnął Doheny.

13

— Tak jest. Dla wytworzenia tego gazu działają kwasem na cyjanek. Raif pracował pod wyciągiem z wbudowanym wentylatorem, który z reguły usuwa większość oparów, ale mimo to wyczułby zapach octu, gdyby ten zapach tam był. Jednali tym razem nie poczuł go i pewnie

pomyślał, że coś jest nie tak, jak być powinno. Sam pan zresztą tak powiedział.

— Aha.

— Lecz zamiast uciekać jak najszybciej, prawdopodobnie w pierwszym odruchu schylił się niżej i mocniej pociągnął nosem. Żaden chemik nie powinien wąchać oparów, jeśli nie wie na pewno, co wącha, i jeśli nie zachowa odpowiednich środków ostrożności, by jak najmniej oddychać nosem. Wyobrażam sobie jednak, że Raif zapomniał o tym, zdziwiony przebiegiem doświadczenia.

— Sądzi więc pan, że doszukując się zapachu octu pochylił się niżej i wciągnął ten trujący gaz w płuca?

— Myślę, że tak właśnie musiało się stać. Miał głowę głęboko pod wyciągiem, gdy go znalazłem.

— I śmierć nastąpiła raptownie.

— Mniej więcej.

— Ale, ale, proszę mi powiedzieć, panie doktorze, czy

tu można zapalić, czy też cały budynek wyleci w "powietrze jak składnica prochu?

— W tej chwili nie ma niebezpieczeństwa.  
Doheny zapalił cygaro z wyrazem prawdziwego zadowolenia i powiedział: — Uporządkujmy to sobie teraz, panie doktorze. A więc mamy chłopca, który chce użyć o-c-tanu sodu (już wymawiam to jak zawodowy chemik), lecz tego nie robi. Sięga tam na tę półkę i bierze z niej niewłaściwą butelkę, o tak... mniej więcej tak.

Doheny ostrożnie zdjął z półki buteleczkę z cyjan-

idem. — Przynosi ją tutaj i dodaje trochę proszku. Jak to robi? Wysypuje go tak, po prostu?

— Wyjmuje trochę tego proszku za pomocą szpatułki, •nałego, płaskiego, metalowego ostrza, i waży w niewielkim pojemniku.

— No dobrze, coś tam z tym robi — to mówiąc przesunął butelkę z odczynnikami i postawił na biurku niedaleko wyciągu. Popatrzył na butelkę, a następnie na Brade'a. — Tak to było?

— Przypuszczam, że tak — odpowiedział Brade.

— Pasuje to do tego, co stwierdził pan po wejściu do laboratorium. Ale nie zauważył pan nic szczególnego w sytuacji, jaką pan tutaj zastał?

Brade'owi wydało się, że oczy detektywa zabłysły przebiegłością (doszedł do wniosku, że to napięcie nerwowe wyostrza jego wyobraźnię), ale zaprzeczył tylko głową i odparł: — Nie, a pan?

Doheny wzruszył ramionami, podrapał się po przerzedzających się już włosach i rzekł: — W zasadzie wypadki zdarzają się wszędzie, a zwłaszcza w takich miejscach jak to, gdzie się wprost o nie napraszacie..— Zamknął mały notes, w którym coś zapisywał, i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Gdybyśmy potrzebowali wyjaśnić Jeszcze niektóre rzeczy, będziemy mogli zawsze się z panem skontaktować, panie doktorze, prawda?

— Oczywiście.

— To by było wszystko. A jeśli zechce pan przyjąć radę od człowieka z zewnątrz, od laika, jak się to mówi, to niech pan trzyma cyjanek pod zamknięciem.

— Wezmę to pod uwagę — odparł Brade dyplomatycznie. — Aha, i jeszcze jedna sprawa. Raif miał klucz do

15

tego laboratorium. Czy można by go dostać z powrotem, jeśli nie jest panom potrzebny?

— Oczywiście. No, niech pan uważa na siebie, panie

doktorze. Niech pan uważa też na te etykiety na butelkach i proszę ich nie pomieszać.

— Postaram się — odparł Brade.

Teraz Brade mógł znów zostać sam w laboratorium, wpatrywać się we własną twarz w soczewkach okularów i w twarz Śmierci czającą się zewsząd w tym pokoju.

Pomyślał o żonie. Doris z pewnością się zamartwia. Spodziewała się go dzisiaj w domu wcześniej, ponieważ Kap Anson miał przyjść o piątej po południu. (O, mój Boże, punktualny zawsze Kap na pewno się obrazi i nie omieszka zrobić jakiejś złośliwej uwagi, rozmyślał z zakłopotaniem Brade. Z pewnością potraktuje to jako lekceważenie

jego drogiego rękopisu. A cóż on mógł w takiej sytuacji poradzić?)

Brade spojrzął na zegarek. Prawie siódma, a on ,tu jeszcze siedzi. A do tego musi przecież zrobić tyle rzeczy przed wyjściem.

Zaciągnął brudne weneckie zasłony i zapalił górne jarzeniówki. Wieczorowe kursy dla pracujących jeszcze się nie zaczęły i budynek był całkowicie pusty. Grupa studen-

tów i kilku przechodniów, którzy się zgromadzili w związku;

ku z przybyciem policji, rozeszła się już po odjeździe wozów policyjnych. Był wdzięczny za to, za tę odrobinę samotności.

Miał pracę, którą musiał szybko wykonać, i bardzo mu był potrzebny spokój.

Rozdział 2

Długo jechał do domu, chociaż nie chodziło tu o czas

odmierzany wskazówkami zegara. Ciemność, do której jeszcze nie przywykł, nadawała otoczeniu dziwny, lodowaty wygląd. Inaczej też wyglądał ruch uliczny. Wielobarwne odbłyски różnorodnych świateł, odbijające się w rzecce, nadawały wszystkiemu nierealny wygląd.

Wszystko zresztą było tak samo nierealne jak jego życie — rozmyślał Brade.

Całe jego życie to tylko ustawiczna ucieczka, nic więcej. Cztery lata w coll.ege'u w okresie kryzysu przetrwał jakoś dzięki zapomogom z funduszu Nowojorskiej Akademii Nauk. W owych czasach, pomyślał z goryczą, pomoc ze strony rządu miała posmak jałmużny. Dzisiaj studenci potrzebujący pieniędzy, przynajmniej w dziedzinie nauk fizycznych, mają możliwość, nie tracąc przy tym twarzy, wybrać sobie spośród licznych stypendiów, przyznawanych na prowadzenie prac badawczych, takie, które im' najbardziej odpowiada. Mogą nawet, z wyrazem pogardy na twarzy, przerzucać się od jednego profesora do drugiego wybierając sobie tego, który im najbardziej odpowiada, i nie [..ukrywając przy tym poczucia swojej wartości.

Później, po tych czterech latach, mimo wspaniałej opinii oraz rektorskiego błogosławieństwa, ogłoszonego przytłumionym basem, Brade nie opuścił obrosłych blusz-

17

## 2 — Powiew śmierci

czem murów uczelni, by „stanąć twarzą w twarz z życiem”, lecz po prostu przechodził z jednego uniwersytetu do innego, zmieniając w ten sposób tylko miejsce swego schronienia.

Wspinał się stopień za stopniem, nie przeskakując żadnego. Najpierw dyplom ukończenia studiów i doktorat u Kapa Ansona, później stanowisko asystenta na wydziale, w końcu został adiunktem.

Żaden z tych etapów wspinaczki nie był jego „Życiem”. Poradził sobie -na rondzie z dziecinną łatwością, jak ktoś, kto wiele razy przemierzał tę trasę. Od tak dawna już prowadził auto, że zdawało się, iż samo jedzie i czując w pobliżu garaż, mknie do domu.

Uniwersytet był częścią jego życia w takim samym sensie, jak wir jest częścią strumienia. Studenci stanowili główny prąd rzeki, przyplływali z odległych strug i rze-

czulek dzieciństwa, mijali go, by następnie porzucić i przyłączyć się do innej rzeki, płynącej dalej, na terenach, których Brade dotąd jeszcze nie zbadał. Zawsze pozostawał w tyle, w niezmiennym akademickim wirze.

Tymczasem studenci stawali się coraz młodszy. W pierwszych latach pracy na uniwersytecie, w czasie asystentury, byli niemal jego rówieśnikami. Szacowność jego stanowiska nawet go krępowała. Teraz już (Ileż to lat minęło? Mój Boże, siedemnaście!) nie musi zabiegać o godny wygląd. Studenci dostrzegają to w rysach jego twarzy, w poznaczonych żyłami dłoniach.

Byli dla niego uprzejmi i nawet zwracali się do niego per panie profesorze. Składali daninę człowiekowi, który się zestarzał w krainie wiecznej młodości.

Jednakże nawet w tym wirze uniwersyteckiego życia w jakiś sztuczny i powierzchowny sposób można było na-

t8

dać pewnym wartościom większe lub mniejsze znaczenie.

Na przykład, przed Brade'em istniała zaczarowana linia graniczna. Przebiegała ona między stanowiskiem adiunkta, które Brade piastował już od jedenastu lat, a następnym w hierarchii stanowiskiem docenta. Awansu na docenta pozbawiano Brade'a wyraźnie przez ostatnie co najmniej

l-trzy lata.

! Nacisnął gaz i samochód ruszył natychmiast, gdy tylko

[pojawiło się zielone światło.

! Magiczne słowa „dożywotni etat” oraz „zabezpieczenie

- na starość” stanowiły ową linię graniczną. Po tej stronie linii był tylko adiunktem i mógł być usunięty z pracy z byle jakiego powodu albo i bez powodu. Wystarczyło tylko, aby jego kontrakt nie został odnowiony. Po tamtej stronie linii, jako docent, mógł zostać ustmięty tylko z ważnej przyczyny, a niewiele rzeczy stanowiłoby taką przyczynę. Byłby wtedy zabezpieczony do końca życia. Teraz, po tym, co się stało z jednym z jego studentów linia graniczna z pewnością oddali się jeszcze bardziej, tak że nawet nie będzie mógł marzyć o jej przekroczeniu.

Zacisnął wargi i skierował wóz w ulicę, przy której

mieszkał. W dali dostrzegał już światła swego domu porzecinane gałęziami jaworów rosnących na frontowym dziedzińcu.

Doris, oczywiście, będzie najbardziej zainteresowana sprawą jego awansu. Już prawie słyszał siebie, jak jej tłumaczy, że nie mogą go obarczyć odpowiedzialnością za to, co się stało.

Czy jednak rzeczywiście nie. mogą? — zastanawiał się Brade.

38

Doris otworzyła mu drzwi. Gdy wjeżdżał przed garaż, poruszyły się zasłony w oknie salonu. Brade wiedział więc, że go wypatrywała.

Z poczuciem winy uświadomił sobie, że powinien był zadzwonić do domu. Oczywiście, czasami się spóźniał i nie było w tym nic dramatycznego, a jednak...

W gruncie rzeczy starał się (tym razem całkiem świadomie) uniknąć rozmowy z żoną. Bo co miał jej teraz powiedzieć?

Przeprzić za to, że nie zadzwonił? A może zacząć szybko mówić na zupełnie inny temat? O czym? Zapytać o Ansona?

Czuł się podobnie jak wtedy, gdy w lodowatym nastroju wracali do domu ze spotkania studentów i profesorów wydziału, na którym zbyt wyraźnie zwracał uwagę na młodą żonę jednego ze studentów. Wtedy to, jak sobie przypominał, zaraz po wejściu do domu wykrzyknął desperacko: — A, do diabła, napijmy się czegoś!

To poskutkowało. Nie usłyszał na ten temat jednego słowa, ani tego wieczoru, ani następnego ranka, nigdy,

A może i teraz zastosować ten sam sposób? — zastanawiał się.

Rozważania te jednak okazały się zbędne. Doris odsunęła się na bok, tak aby mógł wejść do mieszkania, i natychmiast powiedziała: — Wiem już o wszystkim. Jakież to straszne!

Była niemal tego wzrostu co on. tylko włosy miała ciem-

niejsze. Twarzy jej jeszcze nie pokryły delikatne zmarszczki, tak jak jego, choć oboje wkroczyli już w wiek średni. Kąciki oczu i ust miała tak samo gładkie jak wtedy, gdy obydwoje chodzili do college'u. Natomiast dostrzegano się u niej lekkie, lecz wyraźne zaostrenie rysów twarzy,

jak gdyby miękka powłoka skóry została jakoś mocniej naciągnięta.

Brade przyjrzał się jej uważnie, jakby patrzył na nią po raz pierwszy. — Wiesz o tym? Skąd? Nie mów mi tylko, że z... telewizji. — Czuł się głupio, nawet gdy ją wypytywał.

Zamknęła za nim drzwi i powiedziała: — Sekretarka dzwoniła.

— Jean Makris?

— Tak. Powiedziała mi, co się stało. Ze Neufeid nie żyje. Mówiła, że prawdopodobnie przyjdiesz później niż zwykle i że chyba nie będziesz miał ochoty na jedzenie. Starła się jak gdyby mnie uprzedzić, żebym odniosła się do ciebie łagodnie i ze zrozumieniem. Czyżby jej ktoś powiedział, że są ze mną kłopoty w tym względzie?

Brade potrząsnął przecząco głową i rzekł z ironią w głosie: — No cóż, Doris. Ona po prostu taka jest.

Opadł na fotel w salonie. Marynarkę przerzucił przez poręcz fotela, tak że rękaw dotykał podłogi. Zazwyczaj był niezwykle dokładny w drobnostkach. (Objawy nerwicy, które chętnie przypisywał prowadzonym przez siebie badaniom chemicznym, a które Doris przypisywała skutkom despotyzmu jego matki.)

— Czy Wirginia już poszła spać? — zapytał.

— O, tak.

— Nie wie jeszcze o tym, co się stało, prawda?

— Jeszcze nie.

Wzięła marynarkę i wyszła do przedpokoju, żeby powiesić ją w szafie. Po chwili dobiegł go jej lekko przytłumiony głos: — Czy masz ochotę, Louis?

— Na co? , "

— Czy masz ochotę coś zjeść?

21

— Ależ skąd. Nawet nie mogę o tym pomyśleć. Przy-  
najmniej jeszcze nie teraz.

— Wobec tego czegoś się napię. — To już nie miało for-  
my pytania.

Brade, który raczej rzadko pił, nawet się nie sprzeciwił  
tej propozycji. (Nagle ogarnął go żal, że Wirginia tak

wcześnie poszła do łóżka. W jej obecności poczułby się tro-  
chę normalniej.)

Doris krzątała się w salonie, przy wbudowanym w ścia-  
nę barku, gdzie przechowywali mizerne resztki alkoholu.

Brade obserwował ją rozmyślając. Dlaczego tak wiele  
różnych spraw tak źle się układa? Od dnia ich ślubu świat  
stoi w obliczu wojny atomowej. Przez całe dzieciństwo  
rodzina jego walczyła z kryzysem. Czyżby całe życie prze-  
pędził na rumowisku nie zdając sobie z tego sprawy, po-  
nieważ niczego lepszego w ogóle nie zaznał?

Doris poszła na chwilę do kuchni po lód i wodę sodo-  
wą, ale zaraz wróciła niosąc szklanki z cocktailem. Usiadła  
na małym podnóżku przy fotelu i wpatrywała się w męża  
szeroko rozwartymi oczyma. (Tak, w tej pozie wygląda  
chyba najlepiej — pomyślał Brade.)

— Jak to się właściwie stało? — zapytała. — Podobno  
jakiś wypadek.

Brade jednym haustem wypił połowę cocktailu. Od-  
chrząknął, ale poczuł się lepiej. — Widocznie użył cyjan-  
ku sodu tam, gdzie powinien był wziąć octan sodu.

Nie zamierzał wyjaśniać jej tego dokładnie. Wprawdzie  
nie była chemikiem, ale będąc tak długo "towarzyszką jego  
życia, z pewnością zdołała przyswoić sobie niektóre termi-  
ny chemiczne. -'

— Ojej! — zawołała, a kwadratowy zarys jej brody za-  
znaczył się wyraźnie na tle stojącej w, tyle lampy. — To

22

lardo źle, Louis, ale myślę, że (na tobie nie spoczywa od-



owiedzialność za to, prawda?

Brade wbił wzrok w szklanę. — Nie, oczywiście, że  
nie — odparł, a po chwili zapytał: — A co Kap powiedział,  
'gdy przyszedł i mnie nie zastał? Był chyba wściekły.

Doris machnęła ręką, żeby się o niego nie martwić. —  
Nawet go nie widziałam — powiedziała. — Rozmawiał

z Wirginią przed domem-

— Był tak wściekły na mnie, że już nie wchodził do  
środku, co?

— Nie przejmuj się teraz Kapem. A co na to powiedział  
profesor Littleby? "" .

— Nic, kochanie. Nie było go.

— No cóż, jego milczenie na pewno nie potrwa długo.  
'Jeśli nie będzie innej okazji, to zobaczymy się przecież

v; sobotę wieczorem.

Czoło Brade'a pokryło się zmarszczkami. Nie patrząc na  
nią zapytał: — Czy myślisz, Doris, że powinniśmy pójść

na to przyjęcie?

— Oczywiście. Będzie tak samo, jak co roku. O, mój  
Boże, Louis, to bardzo przykre, co się zdarzyło, ale chyba  
z tego powodu nie będziemy chodzić w żałobie? — Po  
chwili dodała: — Ostatecznie ten chłopak sprawiał wszy-  
iStkim tylko same kłopoty.

— Co ty mówisz, Doris...

— Otto Ranke powiedział ci to samo, gdy Raif prze-  
izedł do ciebie.

— Nie sądzę, żeby P.anke mógł przewidzieć coś takiego,  
pak to, co się stało — rzekł Brade spokojnie.

Ranke był pierwszym opiekunem naukowym, którego  
lalf Neufeid sam sobie wybrał. Zazwyczaj wybór w tym  
;akresie należał do studenta. Rozmawiał z różnymi profe-

sorami na wydziale i wybierał tego, którego zakres badań wydawał mu się najbardziej interesujący. Bądź tego,

który dysponował najpokaźniejszą listą różnych dotacji i stypendiów rządowych.

I Neufeid wybrał właśnie Ranke'ego.

Gorzej jednak nie mógł trafić. Zazwyczaj profesor opiekował się studentem, którego przyjął, i choć później mógł tego żałować, czuł się zobowiązany doprowadzić swego podopiecznego do doktoratu.

Jednak profesor Otto Ranke ani trochę nie czuł się związany tego rodzaju zobowiązaniami. Gdy student okazywał

się w jego mniemaniu niezadowolający, wyrzucał młokosa od siebie z wielkim krzykiem.

Był na wydziale wybitnym specjalistą od chemii fizycznej; niski, tęgawy, z kępkami białych włosów nad uszami i różowym karkiem — posiadał liczne tytuły i nagrody, a także był jednym z najpewniejszych kandydatów wydziału do Nagrody Nobla.

Jego humory i rąbanie prosto z mostu były już przysłowiowe, chociaż Brade miał wrażenie, że te ataki gniewu nie są aż tak spontaniczne. Ostatecznie nietrudno uznać, że ktoś ma temperament geniusza, zwłaszcza wtedy, gdy

ma się leciutkie podejrzenie, że w rzeczywistości jest trochę inaczej.

W każdym razie Neufeid, który także miewał humory i wtedy nie liczył się z nastrojami nawet najważniejszych osób wydziału, w ciągu miesiąca rozstał się z profesorem Ranke'em. Ni stąd, ni zowąd zwrócił się do Brade'a proponując mu przejęcie nad nim opieki naukowej.

Brade dla formalności zagadnął Ranke'ego o młodzieńca, ale usłyszał tylko pełne oburzenia słowa: — Ten chłopak

jest okropny. Nie można z nim w ogóle pracować. Wszędzie sprowadza kłopoty.

Brade uśmiechnął się i powiedział: —Wiesz przecież, Otto, że z tobą też niełatwo jest pracować.

— To nie ma nic wspólnego ze mną — odparł gwałtownie Ranke, — Pobił się z Augustem Winfieldem. Dosłownie doszło między nimi do walki na pięści.

— A o co mu poszło?

— O jakieś głupstwo. Winfield wziął zlewkę, którą Neufeid dopiero c J umył. Nigdy dotychczas nie miałem żadnych kłopotów z Winfieldem, który jest naprawdę obiecującym chłopakiem. Nie mam też zamiaru dopuścić do tego, żeby jakiś psychopata rozbijał mi grupę. Jeśli go przyjmiesz do siebie, Louis, będziesz miał z jego powodu wiele kłopotu.

Brade jednak zlekceważył tę przestrożę. Na pewien czas umieścił chłopaka w laboratorium przy sobie, traktował go łagodnie, na dystans, i jakoś to szło. Zdawał sobie sprawę z opinii, jaką mu wyrobiło przyjęcie takiego trudnego studenta, którego inni profesorowie starali się unikać, a nawet czuł coś w rodzaju dumy.

Czasami zdarzało mu się zapominać, że to przecież z powodu braku dotacji i stypendiów napływali do niego ci dziwaczni studenci.

A jednak, niektórzy z jego studentów okazali się naukowcami pierwszej klasy, dowodząc w ten sposób, iż trudy związane z ich wykształceniem nie były daremne.. James Spencer, jeden z najlepszych studentów Brade'a, pracował w Zakładach Chemicznych Manninga i bardzo dobrze się tam spisywał, znacznie lepiej niż większość układnych, pięknie przystrzyżonych linoskoczków Ranke'ego,

Neufeid, choć z początku nie robił widocznych postępów,

25

potem zaczął zdradzać wyraźne ©znaki talentu. Ostatnie wyniki jego doświadczeń były zadziwiające i dodały otuchy tym, którzy już zaczynali w niego wątpić. Wszystko wskazywało na to, że w ciągu pół roku mógł pod opieką Brade'a przygotować w pełni zadowolającą dysertację.

Rozmyślania te rozwiały się nagle, gdy Doris wspomniała o Ranke'em. Z dysertacji pozostał w końcu jedynie cyjanek.

Kontynuując swą myśl Brade odezwał się: — W pewnym sensie powinienem przywdziać żałobę. Raif Neufeld był genialnym matematykiem, znacznie lepszym, niż ja bym mógł o sobie marzyć. Mogliśmy wspólnie opracować taki artykuł, który by z miejsca zamieścili w Journal of Chemical Physics, z takim ładunkiem, matematycznym, że Littleby dostałby zamęt w głowie.

— Postaraj się o kogoś, kto by wykończył jego pracę — doradziła Doris.

— Mógłbym nakłonić tego nowego studenta, Simpsona, żeby przeszedł u Ranke'ego kurs z kinetyki i dokończył pracę Neufelda, ale nie wiem, czy da sobie radę. Z drugiej strony, dodanie kilku końcowych uwag do pracy wykonanej przez kogoś innego, nie zapewni Simpsonowi doktoratu, a ja właśnie mam obowiązek do tego go doprowadzić.

— Masz również obowiązki względem siebie, Louis, a także wobec swojej rodziny. Nie zapominaj o tym.

Brade zawirował kilkoma kroplami płynu, które jeszcze pozostały w szklance. Jak jej to wytłumaczyć?

Rozważania te odłożyli na później, gdyż dobiegły ich odgłosy bosych nóg po dywanie na piętrze. Rozległ się głos dziewczęcy: — Tatusiu, już wróciłeś? Tatusiu?

Doris zdecydowanie podeszła do schodów wiodących

26

! "na górę i z tłumionym gniewem zawołała: — Wirginia...

! Ale Brade nie pozwolił jej dokończyć. — Daj mi z nią

porozmawiać.

! — Kap Anson przyniósł kilka rozdziałów swojej pracy,

żeby ci przekazała. To wszystko, co ma do powiedzenia —

("oznajmiła Doris.

— Porozmawiam z nią trochę. — Wszedł po schodach na górę i zapytał: — Co się stało, Wirginio?

Przykucnęła i przytuliła ją do siebie. Za rok skończy dwanaście lat.

— Wydawało mi się, że słyszałam, jak przyjechałeś.  
I nie przyszedłeś do mnie na górę, żeby powiedzieć dobranoc. Mama kazała mi iść spać zaraz po kolacji, ale chcia-  
j, łam jeszcze cię zobaczyć? — powiedziała Wirginia.

— Bardzo się z tego cieszę, Wirginio.

— I mam ci coś przekazać. — Za kilka lat Wirginia będzie tak wysoka jak jej matka. Odziedziczyła po matce gładkie, ciemne włosy i szeroko rozmieszczone ciemne oczy. Cere jednak miała jasną, taką jak ojciec.  
^ — Kap Anson podszedł do mnie, gdy bawiłam się przed  
l. domem i... — zaczęła Wirginia.

? — Punktualnie o piątej. — (Na twarzy Brade'a ukazał "się łagodny uśmiech. Snął dobrze graniczącą z obsesją punktualność starego profesora i znów poczuł się zawstydzony, że tak go zawiódł. To, mimo wszystko, nie była jego wina. Absolutnie się do niej nie poczuwał.)

— Aha — powiedziała Wirginia — dał mi kopertę i -powiedział, żeby ci ją oddać, jak tylko wrócisz.

— Czy był bardzo zły? Jak ci się wydaje?

— Był jakiś sztywny. Ani się nie uśmiechał, ani nic.

— A masz tę kopertę?

— Zaraz przyniosę. — Pobiegnę do swego pokoju i po

27

„, \_- To ta ko-  
, \_- upchaną kopertą.  
chwili wróciła z dużą, wy?        ^^ ^ ^

^Bardzo ci d.^ ^ ^S. -

• ^ ^ ^ S - ^ 10 ^  
o nrzegubie lewej i .        cnrawach?

plaster na P"68        ,ac o swoich ^" ^        ^mkni]  
^e z mamusią rozm        ^ , ei spać, dlatego

\_ Tak, nie chcę P^esz        ^ ^ ^ w ^

drzwi- • i „P czując delikatne ch^upn^e Ale Wirginia  
podniósł się, czu]4        ^^ Ansona.        cie-

, wetknął pod P<sup>r</sup> <sup>r</sup> <sup>^</sup> <sup>^</sup> , dziwnym b l na uniwer-  
nadał wpatrywała się w <sup>^</sup> <sup>^</sup> y<sup>^</sup>ty na

kawości w oczach, o czym roz-  
sytecie, tatusiu? <sup>^</sup>y słyszała, o czy

<sup>^</sup><sup>^</sup>oc<sup>^</sup><sup>^</sup>0<sup>^</sup><sup>^</sup>

<sup>^</sup> wrażenie <sup>^</sup>dnocze<sup>^</sup> P<sup>^</sup><sup>^</sup> , <sup>^</sup>cy7

<sup>^</sup><sup>^</sup><sup>^</sup><sup>^</sup>-<sup>^</sup>r<sup>^</sup><sup>^</sup>

• coS<sup>^</sup><sup>^</sup>t2:<sup>^</sup><sup>^</sup>-<sup>^</sup>0<sup>^</sup>-

,eo P<sup>^</sup>!1<sup>^</sup>)<sup>^</sup>"- sl<sup>^</sup>•t ,., ,.,h.,-

Syk.i. szybko' <sup>^</sup>, <sup>^</sup> <sup>^</sup>w, -two<sup>^</sup>

Wirginia wt<sup>^</sup>-!<sup>^</sup>°po<sup>^</sup>edl • ""a8<sup>^</sup>1 •

lone i doP1<sup>^</sup>0 w,<sup>^</sup>- k<sup>^</sup>ykn<»l. ,.,.,o>>>to. Nie

\* wwm<sup>^</sup><sup>^</sup>0 <sup>^</sup> w <sup>^</sup>SW »

zs,:ed e<sup>^</sup>n:u <sup>^</sup> "< - <sup>^</sup>r<sup>^</sup>S<sup>^</sup>" 81? czeeoś

miało seiiB nqt>okoic. Jezen " ctarsi

raczej <sup>^</sup><sup>^</sup>ow winę za to pono<sup>^</sup> a<sup>^</sup><sup>^</sup>t-,

<sup>^</sup>ss?<sup>^</sup><sup>^</sup><sup>^</sup>"501"

28

co się stało. Niech pozna prawdę — pomyślał z wściek-  
łością.

Spojrzał jej w oczy i powiedział: — Prawdziwy kłopot,  
Doris, polega na tym, że śmierć Ralfa Neufelda to nie był  
wypadek.

Była wyraźnie oszołomiona.

— Chcesz przez to powiedzieć, że zrobił to celowo? Za-  
bił się sam?

— Nie. Po cóż by w takim razie miał ustawiać całą apa-  
raturę? Chcę przez to powiedzieć, że został zabity przez  
kogoś innego. Został zamordowany.

Rozdział 3

Doris spojrzała na męża i parsknęła gniewnie mó-  
wiąc: — Ależ ty jesteś szalony, Louis... — Jego słowa zu-

pełnie ją zaszokowały, a oczy rozszerzyły się z przerażenia. — Czy była policja? Czy to oni tak powiedzieli?

— Oczywiście, że policja zaraz przyjechała. Przecież to nie była naturalna śmierć. Ale nie, nic takiego nie powiedzieli.. Sądzą, że to był wypadek.

— Wobec tego zostaw im tę sprawę. Nie sądzisz, że tak będzie lepiej?

— Ale oni za mało się na tym znają, Doris. Nie są przecież chemikami.

— A co to ma do rzeczy?

Brade wyłączył stojącą obok lampę. W głowie mu हुआ, a światło raziło w oczy. W pokoju zapanował lekki zmrok, rozjaśniony tylko jarzeniówkami z kuchni,

i tak czuł się lepiej.

— Octan sodu — powiedział — i cyjanek sodu były

"w takich samych butelkach i Raif mógł chwycić nie tę, co trzeba, i nawet tego nie zauważyć. To jest całkiem możliwe. Ale mimo wszystko nie mogę uwierzyć, że był aż

tak roztargniony.

— Czemu nie?

— Gdybyś była chemikiem, tobyś wiedziała. Dla detektywa, zajmującego się tą sprawą, obydwaj odczynniki

30

były równie białe i krystaliczne, i to mu wystarczyło. Ale to nie wszystko i Bóg mi świadkiem, że poza obejrzeniem chemikaliów, do niczego więcej go nie zachęcałem. Te dwie substancje różnią się między sobą. Inaczej przylegają do szkła butelki. Octan sodu absorbuje znacznie więcej wilgoci z powietrza niż cyjanek, a więc jego kryształki szybciej zlepiają się ze sobą tworząc grudki. Chemik taki jak Raif wyjmując szpatułką zamiast octanu cyjanek od razu zorientowałby się, że coś nie jest w porządku, nawet gdyby nagle oślepl.

Doris-siedziała w mroku na kanapie niby jakiś nieruchomy złowroźbny kształt. Jej ręce rysowały się białą pla-

mą na ciemnym tle sukni. — Czy mówiłeś już komuś o tym? — zapytała.

— Nie.

— Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś już to rozgadał. Chwilami jesteś dziwny, a tym razem szczególnie. Chyba oszalałeś.

— Dlaczego tak uważasz?

— Pomyśl tylko, Littleby dopiero co obiecał ci, że w tym roku- dostaniesz docenturę. Sam to mówiłeś.

— Niezupełnie tak powiedziałem, kochanie. Mówiłem, że stwierdził, iż jedenaście lat czekania to już wystarczy. Mogło to równie dobrze oznaczać, że zamierza poprosić mnie o rezygnację z zajmowanego stanowiska... albo wylać mnie z pracy, jak to Wirginia powiedziała. Ona myślała, że mnie już wylali.

— Słyszałam. — Doris przyjęła to ze stoickim spokojem.

— Skąd przyszła jej taka myśl do głowy?

— Chyba słyszała, -jak rozmawialiśmy o tych sprawach. Nie jest przecież głucha, a przy tym dostatecznie duża, żeby rozumieć, co słyszy.

31

— Myślisz, że słusznie czynimy, pozbawiając ją poczucia bezpieczeństwa?

— Nie gorsze to niż wpajanie w nią poczucia fałszywego bezpieczeństwa. Ale nie schodźmy z tematu, Louis.

Musisz dostać ten etat.

Głos Brade'a zadrżał lekko, ale zachował swe niskie

brzmienie: — Tematem jest morderstwo, Doris.

— Nie. Najważniejszym tematem jest twoja pozycja. Teraz, kiedy jeden z twoich studentów został otruty, Littleby gotów wykorzystać to jako powód dla wstrzymania awansu. A jeśli w dodatku będziesz-rozповідаł o morderstwie i wybuchnie skandal, z pewnością przypieczętujesz swoją sprawę.



— Nie mam wcale zamiaru... — zaczął Brade.

— Wiem, masz zamiar być dyskretny, ale wkrótce dojdiesz do wniosku, że twoim obowiązkiem jest zrobić jakąś bzdurę. Twoim obowiązkiem wobec uczelni lub społeczeństwa. Twoim cholernym obowiązkiem wobec wszystkich

z wyjątkiem twojej rodziny.

— Sądzę, Dons, że nie przemyślałaś tej sprawy do końca — odparł Brade. To, czego sobie najbardziej nie życzył dzisiejszego wieczora, to właśnie kazania. — Jeżeli na terenie uczelni popełniono morderstwo, nie mogę tego ignorować. Laboratorium chemiczne jest ostatnim miejscem pod słońcem, gdzie można by pozostawić, mordercę na wolności. Podsuniecie cyjanku jest zaledwie jednym z wielu sposobów zabicia człowieka, a jeśli przyjdzie mu ochota jeszcze raz to zrobić, ma do wyboru setki, tysiące innych sposobów.. Nie uchronisz się przed wszystkimi, nawet gdybyś została uprzedzona o grożącym ci niebezpieczeństwie. Czy spełniając obowiązek wobec rodziny mam wystawiać siebie jako kandydata na następną ofiarę?

32

— Dlaczego właśnie ty, u Boga Ojca? :

— A dlaczego kto inny? Dlaczego Raif? Dlaczego nie ja właśnie mam być następną ofiarą? "

— Ojej, zapal światło! — W końcu zrobiła to sama ze zniecierpliwieniem. — Jesteś potwornie irytujący. Co za morderstwo? Ten twój uczeń, idiota, wziął przez nieuwagę cyjanek zamiast czegoś innego. Takie są fakty, i nie myśl, że przez twoje gadanie cokolwiek się zmieni. Był po prostu roztargniony i nie zauważył, co robi. Bardzo łatwo jest powiedzieć, że żaden chemik nie pomyli cyjanku z octanem, ale w ten sposób zakłada się, że chemik jest doskonałą maszyną, a nie człowiekiem. Każdy chemik może mieć chwile, kiedy jest nieuważny, zamyślony, śpiący, zdenerwowany lub zajęty swymi kłopotami. Może w takich chwilach popełnić dziesiątki błędów, nawet zupełnie śmiesznych. No cóż, tak na pewno było z Raifem.

Brade potrząsnął przecząco głową. Światło drażniło go, ale nie ruszył się, żeby je znów zgasić. — To nie tylko o to chodzi — powiedział. — Istnieją jeszcze dowody rzeczowe. — Mówił powoli, świadomie dobierając słów, by mieć pewność, że go dobrze rozumie. — Raif był niezwykle dokładny i zawsze przygotowywał sobie wcześniej składniki

do przeprowadzanej reakcji, żeby nie musiał przerywać doświadczenia i szukać brakującego składnika. Był w pracy bardzo skrupulatny. Na przykład do ostatniego doświadczenia odważył sobie po dwa gramy octanu sodu do każdej z dziesięciu erlenmejerek; miały mu one wystarczyć do przeprowadzenia całej serii doświadczeń.

— Gdy detektyw wyszedł, zajrzałem do szafki Rałfa i znalazłem jeszcze siedem erlenmejerek. Zawartość ich przypominała octan sodu, ale sprawdziłem działając roztworem azotanu srebra, ponieważ stwierdzenie tak na oko

3 — Powiew śmierci

Ś3

mogło być zawodne. Gdyby te koibki zawierały bodaj odrobinę cyjanku, już przy zetknięciu z pierwszą kroplą roztworu azotanu pojawiłby się biały osad cyjanku srebra. Jednak żaden osad się nie wytrącił.

— Później znalazłem kolbę, w której Rałf przeprowadzał swoje ostatnie doświadczenie. Stała pod wyciągiem, tuż za aparaturą reakcyjną. Nie była do końca opróżniona. Zresztą nie musiała być, ponieważ ilość dodawanego octanu nie wpływa decydująco na szybkość zachodzącej reakcji. Do ścianek tej kolby przylepionych było kilka drobnych kryształków. Gdy je rozpuściłem i dodałem azotanu srebra, wytrącił się osad cyjanku srebra.

— Oczywiście, ten proszek mógł być zwykłą solą kuchenną, chlorkiem sodu lub jakąś" pokrewną substancją. Chlorek srebra również pojawiłby się w formie białego osadu, ale ponownie by się nie rozpuścił, gdybyśmy zawierowali próbką. Natomiast cyjanek srebra rozpuściłby się i osad w kolbie, którą znalazłem pod wyciągiem, też się ponownie rozpuścił. Całe szczęście, że Doheny uznał, iż dotarł już do sedna sprawy, i nie .rozpoczął bardziej szczegółowych dociekań.

— Doheny? — zapytała ostro Doris. — Kto to taki?

— Detektyw.

9 — Aha. Wobec tego, może pozwolisz, że zapytam, co właściwie oznacza to całe bajdurzenie o erlenme j erkach

i azotanie srebra?

— Posłuchaj, kochanie, przecież to powinno być oczy-

wiste dla ciebie. Rałf przygotował najpierw serię dziesięciu kolb z octanem sodu. Całą serię przygotował w tym samym czasie. Zużył dwie z nich, jedną wczoraj i jedną przedwczoraj, i nic mu się nie stało. Dopiero ta trzecia go

34

zabiła. Siedem pozostałych również okazało się nieszkodliwymi.

— Jeśli więc Rałf pomylił cyjanek sodu z octanem sodu — powiedzmy, że był rozdrażniony z jakiegoś powodu, załamany nerwowo albo że nie wiedział, co robi — wówczas nasypałby cyjanku do wszystkich dziesięciu kolb. Natomiast nie napełniłby jednej z nich cyjankiem, a później, jak tuman, nie wróciłby do półki po octan, żeby napełnić nim pozostałe kolby. Niemożliwe jest również, żeby napełnił dziewięć octanem i nagle, zupełnie przypadkowo, wrócił do półki po cyjanek, żeby nasypać go do dziesiątej kolby.

Doris zmarszczyła brwi w zamyśleniu. — Mógł najpierw nasypać cyjanku do jednej z kolb i wtedy dopiero zauważyć swój błąd.

— W takim wypadku wysypałby wszystko i umył kolbę.

— Mógł nasypać do kilku, może do wszystkich dziesięciu, i po prostu pominąć jedną z nich przy wysypywaniu..

— W takim razie twierdzisz, iż popełnił jednocześnie dwie niewiarygodne pomyłki. Najpierw pomylił cyjanek z octanem, a później zapomniał wysypać cyjanek z kolby. Mój Boże, nikt tak nie zabawia się cyjankiem, nawet chemik, który z racji swego zawodu często się nim posługuje. W gruncie rzeczy, chemicy są pod tym względem jeszcze bardziej uważni. Po prostu nie do pomyślenia jest, ^ żeby chemik był do tego stopnia roztargniony. Chemik nigdy nie odbiega myślami od tego, co robi. A poza tym, Rałf był wyjątkowo uważnym pracownikiem.

Doris milczała, a gdy Brade skończył mówić, zapanała cisza, w której słyszał jedynie dudnienie swoich myśli. Przerażające, jak czasem drobnostka doprowadza

35

do nieodwracalnego skutku. A przecież to codzienny program badań naukowych. Dlaczego czuł się tak nieswojo stosując do ludzi ten sam system logiczny, którego nie wahał się zastosować dla symboli i atomów? Przyczyną były zapewne wypływające z tego wnioski.

W końcu Brade zaczął mówić powoli cedząc słowa: — Wniosek jest prosty. Ktoś umyślnie zamienił w jednej kolbie octan na cyjanek.

— Ale po co? — zapytała Doris.

— Zęby zabić Raifa.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. Nie wiem nic o życiu prywatnym tego chłopca, skąd więc mogę wiedzieć, jakie tu mogły zaistnieć motywy. Pracował u mnie ponad półtora roku, ale w gruncie rzeczy nic o nim nie wiedziałem.

— Czy może czujesz się winny i z tego powodu? A co Kap Anson wiedział o tobie, gdy u niego pracowałeś?

Brade nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Profesor Anson, którego jak sięgnąć pamięcią, nie wiadomo dlaczego nazywano Kapem (Brade'owi wydawało się, że był kiedyś znany gracz baseballowy o nazwisku Kap Anson, więc może dlatego), uważał, że każda minuta spędzona poza laboratorium, to bezpowrotnie stracona drogocenna część czasu. Wszelkie rozmowy nie związane z badaniami naukowymi traktował jako próżne gadulstwo i plotkarstwo.

Znał swoich uczniów tylko jako przedłużenie siebie samego, jako dodatkowy rysztunek, jako uzupełniające go

umysły...

— Kap to specjalny przypadek — powiedział Brade.

— Właśnie teraz — powiedziała Doris — chciałabym, żebyś był bardziej do niego podobny. Nieraz mi mówiłeś, że posiada on wielką umiejętność, wnioskuje tylko na tyle,

na ile pozwalają fakty. Ty zaś pędzisz naprzód i nse zwracasz uwagi na fakty. Cała twoja teoria opiera się na przypuszczeniu, że Raif przygotował wszystkie dziesięć kolb z octanem sodu jednocześnie. Skąd wiesz, że tak rzeczywiście było? Nawet jeśli zawsze tak postępował, skąd możesz wiedzieć, że tym razem nie zrobił inaczej? •

— Wiesz, Louis, łatwo powiedzieć, że zawsze był drobiazgowy i bardzo uważny, i tym podobne rzeczy; że zawsze w ten sam sposób postępował. Ale ludzie to nie maszyny. Nawet jeśli u niego w szafce znajdowała się określona ilość kolb, Raif mógł potrzebować jeszcze jednej dodatkowej z jakiegoś powodu, którego nawet nie jesteśmy w stanie odgadnąć, albo nawet bez powodu. Może niechcący wysypał octan z jednej z kolb lub stłukł ją i nagle przed rozpoczęciem serii doświadczeń zauważył, że ma tylko do -dyspozycji dziewięć, albo coś w. tym rodzaju. Wówczas, jeśli przygotował jeszcze jedną, dodatkową kolbę, mógł nasypać do niej, właśnie do tej jednej, cyjanku.

Brade znużony pokiwał głową. — Mógł to zrobić, był w stanie, prawdopodobnie to zrobił. Wszystko to są jednak tylko przypuszczenia. Ale jeżeli ograniczymy się w nich do faktów najbardziej prawdopodobnych, wcześniej czy później dojdziemy do wniosku, że to było morderstwo. .

— Chyba nie zaczniesz tego dochodzić, Louis — powiedziała niskim głosem Doris, starając się panować nad sobą. — Nie obchodzi mnie, czy było to morderstwo, czy nie, ale nie chcę, żebyś w związku z tym wywołał skandal. Nie wolno ci ryzykować swojego etatu. Rozumiesz?

Nagle zadzwonił telefon. Znajdował się bliżej Doris, więc ona podniosła słuchawkę. Spojrzała znacząco na męża i podała mu słuchawkę. — Profesor Littieby — oznajmiła.

— Co się stało? — wyszeptał zdziwiony Brade.

37

Potrząsnęła głową na znak, że nie wie i kładąc palec na ustach powiedziała cicho: — Bądź ostrożny.

Brade przyłożył słuchawkę do ucha i odezwał się: — Dobry wieczór, panie profesorze.

Głos, który dobiegł jego uszu, przywiódł mu przed oczy wyraźnie zarysowaną twarz kierownika wydziału — jasną, rumianą, aż po białe jak śnieg włosy. Była to twarz szeroka, o miękkich policzkach, przy czym broda i nos były

jednakowo gładkie i bulwiaste — jak gdyby przy stwarzaniu go, dla zaoszczędzenia czasu, posłużono się tą samą formą tak dla brody, jak i nosa.

— Halo — powitał go kierownik wydziału. — Straszna historia. Przed chwilą się o tym dowiedziałem.

— Tak, panie profesorze. To okropne.

— Niewiele wiem o tym chłopcu. Wydaje mi się, że były jakieś zastrzeżenia, jeśli chodzi o dopuszczenie go do robienia pracy doktorskiej, ale to oczywiście nie ma już żadnego znaczenia. Jednakże usposobienie to ważna rzecz. Zawsze twierdziłem, że wypadki w laboratoriach zdarzają się wyłącznie wtedy, gdy są nieodpowiedni ludzie. Ośmielę się stwierdzić, że psychiatrzy dostarczyliby tu wielu fantastycznych wyjaśnień, mnie jednak wystarczy obserwacja faktów. Aha, zechce pan wpaść do mnie do gabinetu jutro rano przed wykładem, dobrze?

— Oczywiście, panie profesorze. Czy wolno zapytać, w jakiej sprawie chce pan się ze mną zobaczyć?

— O, chciałbym rozważyć kilka problemów, które nasunęły mi się w związku z tym ostatnim wydarzeniem. Zaczyna pan wykład o dziewiątej, prawda?

— Tak, panie profesorze.

— Wobec tego proszę wpaść o wpół do dziewiątej. No, niech pan nie traci ducha. To jednak straszne. Straszne. —

38

Chciał powiedzieć po raz trzeci słowo „straszne”, ale urwał w połowie i odwiesił słuchawkę.

— Chce się z tobą widzieć? — zapytała Dorls. — W jakiej sprawie?

— Nie chciał dokładnie powiedzieć. — Brade wziął do ręki pustą już od dłuższego czasu szklankę i przyszła mu ochota, aby jeszcze raz ją napełnić. Zmienił jednak zamiar i powiedział: — ' Myślę, że lepiej będzie, jak coś zjemy. A może już jadłaś?

— Nie — odparła krótko.

Siedzieli w milczeniu jedząc sałatkę. Brade zadowolony był, że panuje taka cisza.

W końcu jednak Doris przerwała ją: — Chcę, żebyś coś zrozumiał, Louis.

— Co, kochanie?

— Nie mam zamiaru już dłużej czekać. Musisz koniecznie w tym roku otrzymać etat. Jeśli zrobisz coś, czym przekreślisz swoją szansę, koniec z nami. Czekałam już dostatecznie długo, Louis. Co roku przez cały czerwiec siedzę i czekam na małą karteczkę z zawiadomieniem, że twoja •nominacja na adiunkta została przedłużona na jeszcze jeden rok. Bądź pewien, że już więcej nie będę czekała, taki czerwiec się już nie powtórzy.

— Czy sądzisz, że mogliby nie odnowić ze mną kontraktu?

— W ogóle nie chcę o tym myśleć. Nie chcę zastanawiać się nad żadnymi możliwościami. Chcę mieć pewność. Jeśli zostaniesz docentem, odnowienie kontraktu będzie automatyczne i równałoby się etatowi, prawda? Automatyczne odnowienie kontraktu.

39

— Chyba że zaistniałyby jakieś szczególne powody.

— A więc, chcę, żeby czerwiec nie miał dla mnie takiego znaczenia. Nie chcę, żeby roczne plany finansowe uczelni cokolwiek dla mnie znaczyły. Chcę, żebyś w końcu miał ten etat.

— Nie mogę ci tego zagwarantować, Doris — stwierdził oględnie Brade.

— Wszystko przekreślisz, jeśli Littleby'emu lub komukolwiek powtórzysz swoje zwariowane pomysły o morderstwie. A w takim razie, Louis, o, Louis... — zamrugła szybko powiekami, jakby dla powstrzymania łez. — Nie mogę już tego znieść dłużej.

Brade wiedział o tym. Podzielał zresztą jej uczucia. Oboje nad tym ubolewali. Lata kryzysu wysączyły z nich resztki odwagi — lata, w których ich rodzice walczyli dzień w dzień z niepewnością; w jakiś sposób zdawali sobie z tego sprawę, chociaż nie wszystko rozumieli...

Potrzebowali tego etatu dla zatarcia bolesnych wspomnień, ale cóż mógł na to poradzić?

Powoli, zręcznie, Brade przeciął liść sałaty widelcem, następnie podzielił na jeszcze mniejsze kawałki..— Nie mogę potraktować tej sprawy tak lekko, jak ci się wydaje — powiedział. — Jeśli to rzeczywiście było morderstwo, policja może i tak wykryć.

— Niech sobie wykrywają, żebyś tylko ty nie został w to wmieszany.

— Przecież to niemożliwe — powiedział Brade i podniósł się z fotela. — Wezmę coś do picia.

— Proszę bardzo.

Niezbyt zręcznie przygotował sobie cocktail. — Czy nie przychodzi ci na myśl, kto mógłby być tym mordercą, Doris? — zapytał.

40

— Nie, nie myślałam o tym i nie mam zamiaru myśleć.

— A jednak zastanów się. — Wpatrywał się w nią trzymając w ręku szklankę. Wolałby uniknąć tego pytania, ale

-nie mógł. — Morderca musiał znać się na chemii. Nikt nie odważyłby się manipulować cyjankiem w celu zabójstwa, nie mając doświadczenia laboratoryjnego. Nie czułby się dostatecznie pewny siebie. Zastosowałby jakiś inny sposób, choćby rewolwer, nóż lub zepchnięcie z, dużej wysokości.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, iż mordercą jest ktoś z twojego wydziału?

— Musi tak być. Ktoś musiał wejść do laboratorium

-i wymienić octan na cyjanek w jednej z kolb. Nie można

-tego było zrobić wtedy, gdy Raif był w laboratorium. Przede wszystkim dlatego, że Raif był piekielnie podejrzliwy i nie pozwalał nikomu nawet zbliżyć się do swojego pulpitu ze sprzętem laboratoryjnym. Przecież właśnie z tego powodu wynikły jego kłopoty z Ranke'em. Tak więc zamiany dokonał ktoś pod nieobecność Ralfa. Gdy wychodził z laboratorium, zawsze zamykał je dokładnie na klucz, nawet wtedy, gdy schodził na chwilę do biblioteki, żeby sprawdzić jakieś dane. Widziałem kilka razy; jak to robił. A więc mordercą musi być ktoś, kto ma klucz do tego la-



boratorium.

— Och, co za dedukcja! — wykrzyknęła Doris. — To, że widziałeś go, jak zamykał laboratorium na klucz, wcale nie oznacza, że zawsze je zamykał. Mogło się zdarzyć, że zapomniał, a poza tym klucz nie jest jedynym narzędziem, którym można otworzyć zamek.

' — Oczywiście, jeśli chcesz rozważać krańcowe możliwości. Rozważmy jednak najbardziej prawdopodobną wersję, a nie tę najmniej możliwą. Spróbuj rozwiązać tę za-

41

gadkę tak, jak prawdopodobnie policja będzie starała się rozwiązywać. Musiał to być ktoś, kto miał klucz i wiedział coś niecoś o doświadczeniach Raifa, kto wiedział, gdzie Raif trzyma kolby z octanem i tym podobne rzeczy. Zresztą pamiętaj, że tylko jedna kolba została zamieniona.

— Jak to? — zapytała Doris, dając się w końcu zaskoczyć.

— Ponieważ morderca znał skrupulatność Raifa. Mógł liczyć na to, że Raif zacznie brać kolby kolejno od lewej strony i każdego dnia będzie przeprowadzał tylko jedno doświadczenie. W ten sposób mógł wyliczyć, że otrucie nastąpi akurat w czwartek, kiedy Raif będzie sam w laboratorium, ponieważ jego kolega w tym dniu ma zajęcia ze studentami. W ten sposób cyjanek przeznaczony dla Raifa został użyty w tym właśnie dniu i nie mógł ściągnąć niebezpieczeństwa na innych. Morderca poruszał się w laboratorium jak we własnym domu.

— Do czego zmierzasz, Louis?

— Po prostu do tego, że policja również robi sobie wykaz tych wszystkich przesłanek i znajdzie tego, kto będzie najlepiej do nich pasował.

— Kogo?

— Właśnie, kogo. Jak myślisz, dlaczego byłem szczególnie ostrożny, żeby nie naprowadzić policji bodaj na ślad mojego rozumowania?

Brade sączył ostrożnie swój cocktail, aż w końcu wychylił go jednym haustem.

— Ze względu na siebie, moja droga — powiedziałŁ?!

ochrypłym głosem. — Ja prawdopodobnie jestem jedynym podejrzanym, do którego wszystkie te fakty pasują jak ulał. I dlatego ja będę tym najbardziej podejrzanym.

#### Rozdział 4

Droga do uniwersytetu następnego ranka wydawała mu się dłuższa niż powrót do domu dnia poprzedniego. Wczoraj wieczorem zrobił sobie jeszcze trzeci cocktail i w końcu czwarty, co go jednak tylko oszołomiło, a wcale nie wprawiło w lepszy humor.

Doris milczała jak grób. Brade wyciągnął z koperty pracę KapaAnsona i ze względu na starego profesora próbował przynajmniej przelecieć ją wzrokiem, ale po pięciokrotnym przeczytaniu pierwszego akapitu litery zaczęły wirować mu przed oczyma jak szalone i w końcu zrezygnował.

Ani on, ani Doris nie zmrużyli oka przez całą noc, a kiedy rano Wirginia wysliznęła się do szkoły, na jej szczupłej twarzyczce malował się strach i wyraz napięcia. Dzieci, jak Brade już to dawno stwierdził, posiadają jakąś niewidzialną antenę, która odbiera wszelkie, nawet trudne do odgadnięcia nastroje.

Nie miał o to pretensji do Doris ani do siebie. Był to wszak wynik splotu przeróżnych okoliczności..

Właśnie kończył swoją rozprawę doktorską pod opieką starego Kapa (nawet wtedy był starym Kapem), gdy otrzymał propozycję objęcia stanowiska wykładowcy na uniwersytecie, poczynając od lipca następnego roku. Była to okazja zesłana przez Niebiosą, okazja, o jakiej można

43

było marzyć w najbardziej szaleńczych snach. Nie pragnął żadnych emocji połączonych z niepewnością, jakie mógłby znaleźć w przemyśle. Nie nadawał się do tego, żeby z uśmiechem na twarzy piąć się w górę po trupach innych, którym powinęła się noga. Nie zależało mu nawet na żadnych zapomogach i stypendiach. Pragnął jedynie spokojnego, pewnego stanowiska. Posiadanie stałej pracy przedkładał nad przygodę.

Wtedy właśnie ożenił się z Doris. Pragnęła tego samego co on, skromnego, ale pewnego dochodu na następny rok. Cóż więc mogło być lepszego od stanowiska na wydziale uniwersytetu okrytego patyną starości? Następowaly nie-

kiedy lata kryzysu, pensje ulegały czasowemu obcięciu, ale pracownicy uniwersytetu trwali otoczeni powszechną czcią i szacunkiem. Po przejściu na rentę otrzymywali połowę pensji i jako profesorowife emerytowani mogli sobie żyć dalej beztrząsco i spokojnie, dopóki nie zostaną wezwani na Sąd Ostateczny.

Czas leciał szybko. Po dwóch latach został adiunktem. Prowadził badania w niepopularnych dziedzinach — ciekawe to były badania, ale spokojne. Nie pracował na łapucapu, sam zresztą dobierał sobie takie zadania, w których mógł uniknąć niepotrzebnego pośpiechu. Fundusze na prace badawcze jednak przeznaczane były dla łapucapowiczów, a jemu przechodziły koło nosa. To samo było z jego docenturą.

Potrafił w pełni zrozumieć, co Doris w związku z tym czuła. Siedemnaście lat na tym samym stanowisku i co roku biała kartka papieru — nie różowa, lecz biała — zawiadamiająca o przedłużeniu kontraktu. Na jeden rok.

Naturalnie, Doris pragnęła, żeby miał etat.

Brade próbował jej wyjaśnić, że etat to tylko puste słowo.

Oznaczało ono jedynie tyle, że nie można człowieka wyrzucić z pracy, chyba z bardzo ważnego powodu, i to na mocy głosowania w senacie uniwersytetu (składającego się z kolegów-profesorów zazdrośnie strzegących własnych etatów), i że nie ma powodu zwalniać z pracy nikogo z profesorów. Można było jednak delikatnie poprosić o rezygnację z zajmowanego stanowiska, a gdyby ktoś nie zechciał i postanowił zostać, wówczas za pomocą drobnych codziennych przycinków, odpowiednio stopniowanych aż do granic wytrzymałości, tak można było zająć za skórę, że każdy, niezależnie od posiadania etatu, sam chciałby już zrezygnować z zajmowanego stanowiska.

Ale Doris znała tylko jeden sposób, w jaki można im było zagrozić. Ten, który aktualnie nad nimi zawisł. Wystarczyłoby, aby któregoś roku nie przysłali owej małej, białej kartki. W stosunku do pracownika nietatowego nie potrzebowali szukać powodów, niepotrzebne było głosowanie.

Była to choroba wywołana poprzednimi kryzysami. Doris pragnęła pewności na przyszłość.

On sam zresztą też jej potrzebował.

Wjechał na parking wydziału i znalazł wolne miejsce. Zatrzymał się tam, gdzie było można. Zarezerwowane miejsca pod tylną ścianą budynku chemii przeznaczone były dla profesorów i docentów. Zazwyczaj nie zwracał na to uwagi, ale teraz nagle uświadomił sobie, że to również był jeden z aspektów owej zapewnionej przyszłości, od czego odgradzała go owa magiczna linia.

Wszedł po drewnianych schodach z zagłębienia za budynkiem, gdzie mieścił się parking, i dookoła ku fronto-

wemu wejściu. Dwaj studenci, siedzący na kamiennej ławce koło przejścia przez trawnik, podnieśli głowy znad książek i zaczęli mu "się przyglądać. Jeden z nich szepnął coś do drugiego i obaj odprowadzali go wzrokiem.

Brade przygarbił się i poszedł dalej. Nie kupił dziś rano gazety. Pewnie już opisano tę całą historię.

Czyżby z tego powodu budził takie zainteresowanie? Czyżby Śmierć wyrzyła jakieś piętno na jego twarzy? Czyżby miał na sobie napis: Cyjanek — strzeżcie się?

Zauważył, że idzie niezwykle szybkim krokiem. Z dużym wysiłkiem zwolnił i wszedł do środka gmachu przez wielkie, podwójne drzwi.

Sam fakt skręcania w tym momencie na lewo oznaczał, że cały dzień zaczyna się złe. Powinien był skręcić na prawo do windy, która zawiozłaby go na czwarte piętro do własnego gabinetu.

Skręcił jednak na lewo i wszedł do pokoju z napisem na drzwiach WYDZIAŁ CHEMII. Nagle poczuł się znów jak w szkole podstawowej, kiedy to wysoki nauczyciel z surowym wyrazem twarzy wysyłał go do jeszcze wyższego dyrektora.

Spojrzał na zegarek. Była ósma dwadzieścia, z czego wynikało, że przyjechał o dziesięć minut za wcześnie.

Jean Makris pozbyła się jakiegoś studenta i podniosła się, gdy Brade usiadł na krześle.

— Za chwilę przyjmie pana, panie doktorze. — oznajmiła. — Akurat telefonuje.

— Dobrze — powiedział Brade. — Za wcześnie przyszedłem.

Wysunęła się zza biurka i otworzywszy ruchomą po-

46

przeczną poręcz oddzielającą ją od interesantów, zbliżyła się do Brade'a z zatroskaną miną. Brade miał ochotę cofnąć się gwałtownie, bo zawsze wydawało mu się w, takich chwilach, że chce mu poprawić krawat.

Miała pociągłą twarz o wystających zębach 'i żałobnym wyrazie, co chyba jednak nie świadczyło, jak myślał Brade, o prawdziwym smutku. Sprawnie załatwiała wszystkie sprawy, umiejętnie pozbywała się niepożądanych petentów, przypominała mu o spotkaniach i posiedzeniach, a w chwilach wolnych zastępowała mu sekretarkę, której uczelnia nie chciała opłacać.

— Bardzo się zdenerwowałam wczoraj, gdy pan zadzwonił, panie doktorze — zwierzyła mu się. — Musiał się pan czuć chyba okropnie?

— Tak, to rzeczywiście był dla mnie szok. Przeszła do spraw jeszcze bardziej prywatnych. — Mam nadzieję — powiedziała — że żona usprawiedliwiła pana spóźnienie? Staralam się jej to wytłumaczyć^ jak mogłam najlepiej.

— Tak, bardzo pani dziękuję.

— Pomyślałam sobie, że skoro pan jest zawsze taki punktualny, żona mogłaby sobie pomyśleć... 'Mogłaby się strasznie zdenerwować i pomyśleć, że...

Brade zastanawiał się przez chwilę, czy panna Makris przypadkiem nie czyni aluzji do jakichś przygód miłosnych, o które go podejrzewa. Spojrzał na nią wzrokiem pełnym przerażenia.

Natychmiast jednak zmieniła temat: — Wyobrażam sobie, jak się pan musiał zdenerwować, przecież to pana uczeń.

— Tak, można by tak powiedzieć.

— A więc w związku z tym...

47

Na biurku panny Makris rozległo się delikatne brzęcze-

nie. — Profesor Littleby — powiedziała od razu. — Ale powiem panu, kiedy wejść — skinęła głową poważnie i zniknęła za drzwiami gabinetu.

Gdy Brade wszedł do gabinetu, profesor Littleby odłożył słuchawkę i zdawkowo się uśmiechnął.

Może niegdyś, pomyślał Brade, ten uśmiech coś znaczył naprawdę, jednak ludzie na wysokich stanowiskach rzadko kierują się ludzkimi motywami rozdzielając uśmiechy przy różnych okazjach. Z reguły opierają się na czymś bardziej niezawodnym i pewnym. Mechanizm uśmiechu jest u nich tak ustawiony i naoliwiony, że bez pudła pojawia się na twarzy we wszystkich odpowiednich momentach, mimo że osoba, do której uśmiech kierują, ani ich cieszy, ani wzrusza.

— Dzień dobry, panie profesorze — odparł Brade z równie zdawkowym uśmiechem na twarzy.

Profesor Littleby skinął mu głową, potarł się za uchem i powiedział: — Straszne rzeczy, straszne rzeczy się dzieją.

Na jego szerokiej twarzy, wygolonej aż do połysku, na odpowiednio wymierzoną chwilę pojawił się wyraz zmartwienia. Miał na sobie marynarkę, ale pod nią, oczywiście, także kamizelkę. Był jedynym profesorem na wydziale, który uparcie nosił kamizelkę niezależnie od pory roku. Brade nie wiedział, czy robi to dla podkreślenia swego stanowiska na uczelni, czy po prostu nie zauważył, że kamizelki już dawno wyszły z mody.

Czas zatrzymał się dla Littleby'ego przed dwudziestu laty. W tamtych latach ukazało się trzecie wydanie jego

48

książki o elektrochemii i stała się ona podstawowym podręcznikiem w tej dziedzinie. Czwarte wydanie nigdy się nie ukazało, a poprzednie były wyczerpane. Od czasu do czasu Littleby pełen zadumy mówił, że jeśli tylko znajdzie trochę wolnego czasu, przygotuje czwarte wydanie swojej książki, ale chyba sam w realizację tych zamiarów, nie wierzył.

To zresztą nie miało znaczenia. Książka przyniosła mu sławę i kilka patentów. Między innymi patent na elektrochromowanie zapewnił mu niewielki, ale stały dochód oraz propozycję objęcia kierownictwa wydziału po śmierci sta-

rego Bannermana.

Brade pokiwał głową i zgodził się, że to, co się stało, było rzeczywiście straszne.

— Oczywiście — powiedział Littieby — w jakimś sensie nie dziwi mnie to, że przytrafiło się to właśnie temu studentowi. Całkiem nieprzystosowany do życia, jak mówiłem panu wczoraj wieczorem przez telefon. Przeglądałem sprawozdania wydziału z jego pracy i z przykrością muszę stwierdzić, że ten student, mimo pańskich pochlebnych o nim opinii, nie znajdował wielkiego uznania u innych członków Rady Wydziału.

— Pod pewnymi względami był rzeczywiście trudny do współżycia — przyznał Brade — ale miał też swoje zalety.

— Przypuszczalnie... — zgodził się chłodno Littieby. — Chociaż to jednak nie ma nic do rzeczy. Głównym przedmiotem mojej troski jest uczelnia, wydział.

Brade obserwował uważnie, jak Littieby porządkuje papiery na biurku.

— Nie możemy dopuścić do tego, by mówiono — ciągnął Littieby — że zaniedbaliśmy odpowiednich środków ostrożności, że zlekceważyliśmy bezpieczeństwo pracy.

4 — Powiew śmierci

49

— Nie, oczywiście, nie można do tego dopuścić.

— A propos, jak to się właściwie stało? Rozumiem, że był to cyjanek wodoru, ale jak to się stało, że wchłonął go do płuc?

, Brade wyjaśnił z grubsza.

— No i proszę — powiedział Littieby. — Nie należało stosować otwartego systemu. Na naczyniach winna być założona chłodnica zwrotna. Nie wetknąłby wtedy nosa tam, gdzie nie trzeba.

Brade chciał w tym momencie powiedzieć, że sam kilkakrotnie sugerował Raifowi założenie chłodnicy zwrotnej, ale uznał, że wyglądałoby to teraz tak, jak gdyby chciał się zasłaniać zmarłym. Zadowolił się stwierdzeniem: — Wtedy trzeba by było zamontować specjalne urządzenie. Myślę, iż Raif uważał, że przy otworzonym naczyniu bę-

dzie mógł uzyskać lepszą kontrolę nad przeprowadzanym doświadczeniem. Utrata pary nie była istotna, a, w ten sposób mógł uzupełnić składniki bez zbytecznych manipulacji.

— Nonsens. Kłopoty z młodzieżą w dzisiejszych czasach polegają właśnie na tym, że bezpieczeństwo stawiają na ostatnim miejscu. Wie pan, któregoś dnia przeszedłem po naszych laboratoriach i aż mi się słabo zrobiło na widok tego, co zobaczyłem. Widziałem rozpuszczalniki wrzące nad nie zabezpieczonym płomieniem. Wydaje się, że nikt u nas przy podgrzewaniu nie używa siatki azbestowej. A wyciągi są naprawdę w opłakanym stanie. Szczerze mówiąc, miałem zamiar zwołać posiedzenie Rady Wydziału dla rozważenia tego problemu i bardzo mnie gnębi fakt, że nie zrobiłem tego, zanim zdarzył się ten nieszczęśliwy wypadek. <

Brade poruszył się niespokojnie na krześle. W zasadzie,

50

jeżeli chodziło o środki bezpieczeństwa w laboratoriach studenckich, nie było jakichś rzeczywiście istotnych zaniedbań. — Panie profesorze — powiedział — przecież poza drobnym skaleczeniem palca czy poparzeniem kwasem jest to jedyny wypadek w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

— A ile pan chce mieć takich wypadków jak ten? Brade zamilkł, a Littleby przez kilka chwil przeżuwał jeszcze swoją ripostę, po czym ciągnął dalej: — Teraz, myślę, powinniśmy zorganizować dla studentów zajęcia z bezpieczeństwa pracy, jak by to powiedzieć, serię wykładów na temat, co chemikowi wolno, a czego nie wolno robić. Mogą odbywać się one o piątej po południu i będą obowiązkowe dla wszystkich studentów biorących udział w zajęciach laboratoryjnych. Co pan o tym sądzi?

— Możemy spróbować.

— Dobrze. Chciałbym więc pana prosić o zorganizowanie tego kursu i sądzę, że dobrze by było, gdyby poprosił pan również Kapa Ansona, aby przyłączył się do naszej akcji. Staruszek będzie uszczęśliwiony, że może znów działać. Wydaje mi się to nawet świetną okazją, aby coś dla niego zrobić.

— Dobrze, panie profesorze — powiedział chłodno Brade.



Nie podobał mu się ten pomysł. Wydawało mu się, że ustalono to jako karę dla niego, jako dantejską pokutę, obrządek oczyszczenia z winy. Ponieważ to jego student okazał się nieostrożny, więc on musi teraz nakłaniać innych studentów do większej ostrożności.

— Jeden wykład tygodniowo — powiedział Littieby — i chyba dobrze byłoby zacząć już w tym tygodniu. Gdyby gazety... — w tym miejscu odchrząknął — przypuszczam, że nikt się nie obrazi, jeśli powiemy, że planowaliśmy te

51

zajęcia już od dość dawna, jako kontynuację naszego programu zabezpieczenia przed nieszczęśliwymi wypadkami. I to wcale nie będzie sprzeczne z prawdą, ponieważ, jak panu mówiłem, już od pewnego czasu nosiłem się z zamiarem zorganizowania czegoś takiego. Tak.

Spojrzał nagle na zegar na ścianie, -którego wskazówki pokazywały właśnie za kwadrans dziewiątą. — Zaczyna pan swój wykład o dziewiątej, prawda?

— Tak, o dziewiątej.

— Czuje się pan na tyle dobrze, by go odbyć? Ostatnie wydarzenia mogły pana wytrącić z równowagi...

— Czuję się zupełnie dobrze — odpowiedział szybko Brade — i oczywiście mogę mieć wykład.

— Dobrze, dobrze. Aha, jeśli chodzi o to małe spotkanie u mnie jutro wieczorem. Mam nadzieję, że oboje państwo mimo wszystko zaszczytacie nas swoją obecnością? Chociaż, gdyby państwo czuli, że w związku z...

Brade z trudem zachował naturalne brzmienie głosu, ale w końcu wykrztusił: — Myślę, że przyjdziemy. Jest to niezwykle przyjemna okazja dla...

W gmatwaniu grzecznościowych zwrotów skinęli zimno głowami i automatycznie uśmiechnęli się do siebie z uprzejmością pozbawioną nawet pozorów przyjaźni.

Wcale nie chce, żebym przyszedł na to przyjęcie — pomyślał Brade. — Jestem napiętnowany przez śmierć. Zła reklama.

>

Gdyby nie Doris, wcale byśmy tam nie poszli.

Biedna Doris. Jeśli przedtem była jeszcze jakaś szansa na mój awans, to teraz sytuacja wygląda beznadziejnie. Blask maleńkich oczu profesora Littleby nie zapowiadał niczego dobrego. Czy Doris zdoła to wszystko znieść? Czasami, gdy mówiła, wydawało mu się, że rozpacz jej sięga

52

ostatecznych granic. Znajdowała jednak w końcu jakieś rezerwy siły, by przetrwać, na pewno więc i teraz jeszcze trochę ich znajdzie.

Jakaś inna myśl zaczęła mu się nagle błąkać po głowie, gdy opuścił gabinet kierownika wydziału. Zrodziła się na skutek uwagi Littleby'ego o sprawozdaniach z pracy studentów wydziału. Każdy z wykładowców, poza wystawieniem studentowi oceny, co było podawane do wiadomości ogółu studentów, starał się w miarę możliwości spisywać swoje uwagi o charakterze i osobowości swoich poszczególnych słuchaczy. Uwagi te nie były podawane do publicznej wiadomości.

Oczywiście, były one dostępne dla członków Rady Wydziału, i Brade, naturalnie, rzucił okiem na uwagi dotyczące Raifa, gdy po raz pierwszy rozważał przyjęcie go do siebie jako doktoranta. Ale zrobił to tylko pobieżnie. Wiedział już wówczas, że Raif miał niezbyt dobrą opinię na wydziale, jednak zlekceważył te oceny.

"Obecnie pojawił się nowy aspekt tej całej sprawy. Ktokolwiek zabił chłopca, musiał czuć do niego nienawiść, gniew lub coś w tym rodzaju, i to w wystarczająco silnym stopniu, żeby zdecydować się na morderstwo.

Ranke bardzo nie lubił Raifa, oczywiście, a nawet doktor Shulter ze Szkoły Medycznej, który zetknął się z nim tylko przypadkowo, nie był nim zachwycony; tak samo mogło być z innymi. W sformułowaniu opinii o człowieku można było chyba jednak doszukać się pewnych dodatkowych elementów, zdradzających emocjonalne nastawienie opiniodawcy do opiniowanego.

W każdym bądź razie, pomyślał Brade z dużą ulgą, jego własne opinie o Raifie były w przeważającej części pochlebne. Był bodaj jedynym członkiem Rady Wydziału,

53

któremu nie można było udowodnić jakiegokolwiek animozji w stosunku do Raifa.

— Słucham? — przestraszył się, gdy w końcu jakiś głos dotarł do jego uszu. — Bardzo panią przepraszam, ale nie dosłyszałem, co pani powiedziała.

— Na pewno pan nie dosłyszał — potwierdziła Jean Makris. — Wszedł pan z gabinetu tak pochłonięty myślami, że musiałam pana przytrzymać za łokieć, bo chyba wszedłby pan na drzwi.

— Tak, rzeczywiście. Teraz już wszystko w porządku.

— Profesor Littieby był może — skierowała na chwilę wzrok w kierunku gabinetu kierownika wydziału — ...nieprzyjemny, czy coś w tym rodzaju?

— Nie. Mieliśmy po prostu małą konferencję na temat spraw bieżących.

— To świetnie. Chciałam panu tylko powiedzieć... że jeżeli jest pan zdruzgotany z powodu Raifa albo odczuwa to jako osobistą stratę, coś jak gdyby...

Wpatrywała się w niego z przejęciem, przechyliła na bok głowę, a w jej głosie było coś takiego, jakby już od dłuższego czasu czekała na okazję, żeby mu to wszystko powiedzieć, tylko nie chciała być natarczywa.

— Mam teraz zajęcia — przerwał Brade. — O co właściwie pani chodzi?

Nagle przysunęła twarz do jego twarzy i z dziwnym blaskiem w oczach szepnęła: — O to, że Raif był wstrętny, więc niech pan nie ma wyrzutów sumienia z jego powodu. On pana nienawdził.

## Rozdział 5

Brade odszedł bez słowa i szybko skierował się w górę po schodach, niemal automatycznie zmierzając w stronę swego pokoju. Między drugim a trzecim piętrem przypomniał sobie, że, za chwilę ma zacząć wykład, zawrócił więc nagle, śpiesząc w dół.

Wszedł trochę zadyszany do amfiteatralnej sali wykładowej na pierwszym piętrze. Studenci już na niego czekali.

Była to olbrzymia sala, najbardziej staroświecka i niewygodna w całym staroświeckim i niewygodnym budynku

zajmowanym przez wydział chemii. Ławki wznosiły się coraz bardziej stromo ku tyłowi sali, tak że przejścia po obu stronach wyposażone zostały w płytkie schody. Ławki w ostatnich kilku rzędach ciągnęły się wzdłuż tylnej ściany sali i po bokach, tworząc coś w rodzaju galerii.

Sala mieściła ogółem dwustu pięćdziesięciu studentów, dzięki czemu nadawała się do prowadzenia seminarium oraz pisemnych testów, ponieważ można było rozsadzić studentów dość daleko od siebie. Grupa chemii organicznej składała się z sześćdziesięciu czterech studentów; zazwyczaj większość siedziała w środkowej części sali wykładowej tuż koło katedry, a reszta rozpraszala się w tylnych ławkach i z boku.

Studenci nie mieli swoich stałych miejsc na sali, a więc

55

to samorzutne rozlokowanie się, pomyślał Brade, można by potraktować matematycznie jako problem z dziedziny dyfuzji.

Zauważył również, że na ogół słabsi studenci' siadali dalej od niego. Jaka była tego przyczyna? Czyżby mieli nadzieję, że zostaną niezauważeni? Czy może w podświadomej skromności starali się nie mieszać ze swymi lepszymi kolegami? A może uważali, że wykładowca jest nudny i odpychający, chcieli więc, żeby jego głos dobiegał do nich z jak największej odległości?

Było to zagadnienie dla uczonych badających zachowanie ludzi. Czasami, gdy o tym myślał, odczuwał dziwną zazdrość. Naukowcy z dziedziny nauk społecznych nie musieli nakładać na siebie takiej surowej dyscypliny umysłowej jak fizycy lub chemicy. Zajmowali się dziedziną badań, subtelną i nie obwarowaną surowymi prawami. Mogli być -uczonymi w staromodnym sensie tego słowa, podczas gdy fizycy i chemicy zostali przetrzuceni do zimnego świata polityki międzynarodowej i naglających potrzeb ludzkich. Specjalista w naukach społecznych mógł na przykład badać zależność ocen studentów od miejsc zajmowanych przez nich w klasie i nie potrzebował do tego żadnych wymyślnych instrumentów. Przyznawano mu fundusze na prowadzenie badań, nie wywierając żadnego nacisku, by dowiódł, iż jego badania mają jakiś związek z rakiem, chorobami serca lub paliwami raketowymi.

Faktem jest, że tego dnia rozmieszczenie studentów na sali odbiegało od normy. Studenci nie rozpierzchli się po

całej sali, lecz jak gdyby pod naciskiem olbrzymiej dłoni sześćdziesięciu czterech studentów zepchniętych zostało ku przodowi i tworzyło ściśnięty mocno węzeł w części audytorium położonej najbliżej katedry.

56

Louis Brade, znalazłszy się na podium, z którego miał prowadzić wykład, nie mógł się powstrzymać, żeby nie poprawić okularów, jak gdyby przed oczyma pojawiła mu się jakaś optyczna złuda.

Chcą z pewnością obserwować z bliska moją twarz, pomyślał. Chcą się przekonać, jakie wrażenie wywarła na mnie śmierć jednego z moich studentów.

A może to po prostu powszechne urzeczenie śmiercią?  
"Rozpoczął wykład suchym, równym głosem, który specjalnie przeznaczał na tego rodzaju okazje. — Dzisiaj będziemy rozpatrywać kilka ważnych grup związków, charakteryzujących się obecnością podwójnego wiązania węgla i tlenu w ich strukturze molekularnej. Nazywamy ją grupą karbonylową.

. • Narysował na tablicy grupę karbonylową.

Jego własny głos bezustannie rozbrzmiewał mu w uszach; mówił zupełnie normalnie, jakby minione wydarzenia nie zostawiły na nim żadnego śladu. Zadowolony był, że wypracował sobie taki właśnie system prowadzenia wykładu, w którym mógł unikać demonstrowania własnej osobowości.

•Był on na przykład przeciwstawieniem stylu reprezentowanego przez Merrilla Fostera, drugiego specjalistę od chemii organicznej na wydziale (siedmioletni staż, również tylko adiunkt, tak jak Brade, ale błyskotliwy, ambitny i umiejący przedstawić siebie w korzystnym świetle).

Foster prowadził wyższy kurs z syntezy organicznej,  
•ta znaczy prowadził kurs dla tych studentów,- którzy po ukończeniu niższego stopnia studiów pracowali dalej dla zdobycia wyższych stopni naukowych w dziedzinie chemii. Ilekroć Brade o tym pomyślał, natychmiast przypominał sobie ów dzień, kiedy zlecono Fosterowi zorganizowanie

57

tego kursu, oraz gwałtowną reakcję Doris na tę wiadomość.

Niezmiernie trudno było wyjaśnić Doris, że niższy kurs jest bardziej odpowiedzialny i ważniejszy. Kurs zaawansowany. przeznaczony był tylko dla piętnastu słuchaczy, a nie sześćdziesięciu czterech. Foster miał tylko trzy wykłady w tygodniu, natomiast Brade prowadził wykłady dla swojej niezaawansowanej grupy aż pięć razy w tygodniu.

Jednak Doris uważała, że praca z mniejszą liczbą studentów jest tylko łatwiejsza, a wcale nie mniej odpowiedzialna. Jednocześnie twierdziła, że jest ważniejsza, gdyż wykładowca kursu zaawansowanego zajmuje wyższą pozycję niż prowadzący zajęcia dla niezaawansowanych, choćby ze względu na pozycję studentów.

W rzeczywistości, jak Brade wyjaśnił Doris, zazwyczaj właśnie starszym i bardziej doświadczonym pracownikom naukowym wydziału powierza się pracę z początkującymi studentami. Z zaawansowanymi studentami poradzi sobie byle kto, choćby świeżo upieczony doktor.

W każdym bądź razie Brade nie pochwalał zbytnio metod prowadzenia wykładu przez Fostera. Był błyskotliwy, posługiwał się językiem potocznym, co podobało się niektórym studentom, ale obniżało poziom naukowy. Bezużyteczne substancje powstające w czasie syntezy dzięki reakcjom ubocznym Foster nazywał „świństwem” lub „łajnem”. Nigdy nie dodawał po prostu pirydyny, zawsze natomiast dodawał reakcji „zastrzyk pirydyny”.

A co według Brade'a było jeszcze gorsze, to fakt, że Foster przeplatał swoje wykłady uwagami o studentach w ogóle lub, co się jeszcze częściej zdarzało, o jakimś jednym studencie; jeśli to tylko było możliwe, podjudzał go do odszczekiwania się wykładowcy, przez co rozwijał się

58

swoistego rodzaju pojedynek dowcipu pomiędzy katedrą a którąś z tylnych ławek. Był to pojedynek, w którym zawsze mogła zwyciężyć katedra.

Brade ciągnął dalej:

— Atom węgla w grupie karbonylowej, jak państwo zobaczą, ma dwie niezwiązane wartościowości, które najprościej mogą być połączone z dwoma atomami wodoru. W takim wypadku otrzymujemy związek zwany aldehydem mrówkowym.

Aż dziw bierze, jak mógł wyklądać mając umysł tak

zaabsorbowany innymi sprawami. To przywiodło mu' na myśl odwieczny dowcip o starym profesorze, który opowiadał: „Wczoraj śniło mi się, że prowadziłem wykład dla moich studentów. Nagle obudziłem się i, na Boga, panie, rzeczywiście go prowadziłem”.

Raifowi Neufeldowi źle się wiodło na kursie u Fostera i zakończył go z oceną ledwie dostateczną. Brade usiłował przedyskutować z nim tę sprawę, ale spotkał się z upartym milczeniem i tylko raz student burknął, że ma osobistą awersję do Fostera.

W owym czasie Brade'owi wydawało się, że wie, o co tu mogło chodzić. Raif był takim typem studenta, że Foster nie mógł się pohamować, aby nie wybrać go na swoją ofiarę, a Raif natomiast nie należał do takich, którzy by się spokojnie temu poddawali. Jeśli Foster kierował przeciwko niemu jakieś uwagi, Raif z pewnością nie pozostawał dłużny i odgryzał się bardziej jadowicie, niż Foster mógł przewidzieć.

Trudno było stwierdzić, jaki wpływ ten osobisty antagonizm mógł mieć na stopnie, ale Brade postanowił zwrócić szczególną uwagę na opinie Fostera odnośnie Raifa w sprawozdaniach wydziałowych.

59

— Termin „aldehyd” używany jest jako nazwa ogólna, dla związków zawierających grupę karbonylową, do której bezpośrednio jest przyłączony przynajmniej jeden atom wodoru. Nazwa pochodzi od terminu złożonego „alkohol dehydrowany” przez połączenie pierwszej sylaby pierwszego wyrazu i pierwszych dwóch sylab drugiego. Jak państwo widzą, aldehyd można otrzymać przez dehydrogenację odpowiedniego alkoholu. Powoli napisał na tablicy równanie obrazujące przekształcenie alkoholu metylowego na aldehyd mrówkowy, a następnie podobne równanie wyprowadzające aldehyd octowy z alkoholu etylowego. Dalej przeszedł do omówień niezbędnych warunków dla zachodzenia tych reakcji. Stąd już z łatwością można było później przejść do rozważań nad częściowo jonowym charakterem grupy karbonylowej oraz jej formami izomerycznymi.

Dlaczego jednak miałyby komuś zależeć na śmierci Raifa? Jeśli nie podobał się profesorowi Ranke'emu, mógł go po prostu usunąć ze swojej grupy badawczo-naukowej, jak to zresztą zrobił, i taka zemsta z pewnością wystarczyłaby dla złagodzenia gniewu. Jeśli profesor Foster miał do nie-

go pretensje, wyraźna jak wół litera C wypisana na wieki w jego indeksie stanowiła również dostateczną zemstę.

Jeśli mieli jakiś motyw, nawet jeśliby mieli jakiś motyw, skąd wiedzieliby, że można zaplanować tak właśnie to morderstwo? Przecież nie orientowali się, nad czym chłopak pracuje, jakie prowadzi badania. To wiedział tylko Brade.

Miał już teraz cień motywu.

Nie potrafił dłużej opędzić się od tych myśli. Oczyma wyobraźni widział znów pociągłą twarz Jean Makris, czuł

jeszcze ciepło jej oddechu na swojej brodzie, gdy wybuchnęła słowami: „On pana nienawidził”.

Ona również nienawidziła Raifa. Nienawiść wprost z niej buchała, a ta gwałtowność wprawiła Brade'a w zdumienie.

Jakież powód miała, żeby go nienawidzić? Oczywiście, można wyliczyć wiele przyczyn, dla których jedna osoba nienawidzi drugiej, zwłaszcza gdy chodzi o nienawiść dziewczyny do chłopca. Ale która z tych przyczyn zagrała w tym wypadku? Och, niech go wszyscy diabli! Ale dlaczego Raif miałby nienawidzić Brade'a? Jakież powód dał mu Brade do nienawiści?

Przecież pomógł chłopcu, stanął po jego stronie, gdy inni się od niego odwrócili. Przez chwilę Brade czuł jakby litość nad samym sobą.

— Łatwość, z jaką aldehydy utleniają się, świadczy o tym, że są doskonałymi reduktorami. Fakt ten ma znaczenie zarówno dla charakterystyki aldehydów, jak i dla syntezy organicznej w ogóle. Ma również pierwszorzędne znaczenie przy analizie cukrów. Dawniej jednym z zastosowań aldehydów była możliwość wykrywania cukru w moczniku, co pozwalało z kolei na diagnozę w zakresie cukrzycy. Ostatnio jednak w tej dziedzinie stosuje się metodę enzymatyczną.

Niezależnie jednak od przyczyn, jakie ją spowodowały, nienawiść Raifa była niebezpieczna. Gdyby policja dowiedziała się o niej, zaczęłaby dochodzić, jakie były jej źródła, i pytanie, czy nie znalazłaby czegoś, co mogłoby, ich zdaniem, stanowić dla Brade'a motyw zbrodni. Człowiek będący przedmiotem nienawiści może zabić tego, który go



nienawidzi. Gdyby zarówno motywy, jak i okazja do po-

61

pełnienia morderstwa wskazywały na Brade'a, znalazłby się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Wprawdzie dziewczyna mogła kłamać, ale w takim razie, jaki miała powód?

— Poza formaliną, która, jak już państwu mówiłem, jest po prostu roztworem aldehydu mrówkowego w wodzie, a z którą ci z państwa, którzy zapisali się na wstępny kurs medycyny, zapoznają się w przyszłym roku na zajęciach z anatomii, istnieje jeszcze inna forma, w której aldehyd mrówkowy z łatwością daje się stosować. Jest to forma paraformaldehydu, polimeru otrzymywanego na skutek działania...

Przez cały czas głos mu nawet nie zadrżał.

Być może, nawet łatwiej mu było tego dokonać, ponieważ miał uczucie, iż prowadzi ze swoimi studentami jakiś cichy pojedynek. Obserwowali go, czekali, kiedy mu się głos załamał, kiedy myśli poniosą go w innym kierunku, kiedy w jakiś sposób da po sobie poznać, jak głęboko wstrząsnął nim wczorajszy wypadek. Gdyby to nie nastąpiło, czuliby się zawiedzeni. Brade jednak w tym wypadku chciał ich wystawić do wiatru.

W końcu rozległ się dzwonek i Brade odłożył kredę. — Różne produkty addycyjne związków, karbonylowych rozpatrzemy w poniedziałek — oznajmił na zakończenie i skierował się ku drzwiom.

Tym razem nie czekał, aż garstka studentów podejdzie do niego z pytaniami i wątpliwościami. Był to jeszcze jeden problem dla socjologów. Za każdym razem z pytaniami zwracali się do niego właściwie ci sami studenci. Niektórzy bez wątpienia uważali, że tym sposobem pozyskują sobie jego sympatię. Inni prawdopodobnie znajdowali przyjemność w zwracaniu na siebie uwagi. Jeszcze inni

62

może próbowali wyprowadzić go z równowagi zadając takie pytania, żeby wykazać błędy wykładowcy lub jego ignorancję. Było też kilku (i właśnie ze względu na nich Brade cierpliwie znosił pozostałych), którzy naprawdę pragnęli dalszych wyjaśnień lub bardziej szczegółowych

wi&domości.

Tym razem zostawił wszystkich i wyszedł, co było jego jedynym ustępstwem na rzecz napięcia nerwowego, jakie odczuwał w ciągu całego dnia.

W gabinecie czekał już na niego Kap Anson. Przeglądał nową książkę z chemii heterocyklicznej (był to dopiero pierwszy tom większej pracy, jaką zamierzano wydać w dziesięciu tomach), którą Brade otrzymał przed trzema dniami.

Anson podniósł wzrok znad książki, gdy Brade otworzył drzwi (kiedyś pokój ten był gabinetem Ansona), ż jego stara twarz zmarszczyła się w uśmiechu.

— O, świetnie, że jesteś. — Anson siedział na końcu długiego konferencyjnego stołu w gabinecie Brade'a (można było przy nim posadzić dziesięć osób i czasami Brade wykorzystywał go dla prowadzenia nieoficjalnego seminarium z zaawansowanymi studentami). Anson rozłożył na stole plik zapisanych ręcznie kartek i spoglądał wyczekująco. — Czy przeczytałeś piąty rozdział poprawiony?

Brade niemal roześmiał się z ulgą. Była to rzeczywiście u!?!a. Jakby gdzieś w środku odskoczyła w nim jakaś sprężyna. Studenci umierają, policja zadaje pytania, każdy stara się wyczytać mu z oczu reakcję na śmierć ucznia, jedynie Anson, stary, poczciwy Kap Anson, zajęty jest — można to było przewidzieć — tylko myślami o swojej książce.

•

63

— Bardzo mi przykro. Kap — powiedział Brade — ale nie zdążyłem się jeszcze do tego zabrać.

Cień zawodu przesłonił nagle twarz małego człowieczka. Był szczupły, mały, ale tylko pod względem fizycznym;

ubierał się starannie, w spokojne kolory, zawsze nosił koszulę z białym kołnierzykiem, a marynarkę dokładnie zapiętą na wszystkie guziki. Ostatnimi laty zaczął nosić laskę, ale jeśli kiedykolwiek dotknął nią ziemi, to chyba tylko wtedy, gdy nikt nie patrzył.

— Myślałem, że wczoraj wieczorem... — zaczął.

— Wiem, że obiecałem przedyskutować z panem sprawę Berzeliusa i przeczytać poprawiony rozdział. Przykro mi, ale nie mogłem dotrzymać przyrzeczenia. —• Brade miał ochotę dodać jeszcze na swoją obronę, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu, ale w końcu porzucił ten zamiar.

— No cóż, trudno, ale jestem pewny, że po powrocie do domu mogłeś jeszcze znaleźć sposobność, by zajrzeć do mojego rękopisu. — Jego niebieskie oczy (jak zawsze bardzo przenikliwe) patrzyły błagalnie — jakby Brade, gdyby tylko chciał, mógł przypomnieć sobie, że jednak przeczytał ten rozdział.

— Trochę byłem wczoraj zdenerwowany, Kap. Bardzo mi z tego powodu przykro. Może teraz przeczytam razem z panem ten rozdział, jeśli pan sobie życzy, i w trakcie czytania zobaczymy, co zdołam wychwycić.

. — Nie— odparł Kap Anson, drżącymi rękami zbierając swoje papiery ze stołu. — Chcę, żebyś się nad tym zastanowił. To jest bardzo ważny rozdział. W tym rozdziale traktuję chemię organiczną jak nowoczesną, usystematyzowaną gałąź wiedzy i chodzi mi o to delikatne przej-

64

ście od dawnego do nowego spojrzenia na chemię. Odwiedzę cię jutro rano w domu.

— Ależ jutro jest sobota. Obiecałem Doris, że jeśli będzie ładna pogoda, zabiorę córkę do ogrodu zoologicznego.

To jakby nagle o czymś Ansonowi przypomniało. Zapytał szorstko: — Córka oddała ci egzemplarz mojego rękopisu, który jej dla ciebie zostawiłem?

— Ależ tak.

— No, to dobrze. Wobec tego zobaczymy się jutro rano. Wstał. Nie wspomniał ani słowem na temat planowanej wycieczki Brade'a z córką. Brade zresztą wcale tego nie oczekiwał. Anson musiał napisać książkę i nic więcej go nie obchodziło.

Książka. Własne kłopoty jakby pogłębiły jeszcze uczucie litości w sercu Brade'a, toteż prawdziwie żal mu było

Kapa Ansona. Osiągnął sukces, był wielki, szanowany...  
i żył za długo.

Jego naprawdę wielkie dni, kiedy to pewną pałeczką  
dyrygował chemią organiczną, kiedy jego nieprzychylna  
uwaga mogła zniszczyć pączkującą hipotezę, kiedy sesje,  
w czasie których wygłaszał swoje referaty<sup>^</sup> ściągały tłumy  
oszołomionych słuchaczy — wszystko to minęło przed  
dwudziestu laty.

Gdy Brade robił doktorat pod jego opieką, Anson był  
już weteranem, starszą osobistością, a chemia organicz-  
na zaczynała go omijać.

Zaświtały nowe dni. Laboratorium chemiczne nie mogło  
obejść się bez elektroniki. Brade przyznawał sam przed  
sobą, że też walczył przeciwko temu, ale to było już fak-  
tem. Chemia na obecnym etapie sprowadzała się do instru-  
mentacji, matematyki, kinetyki i mechanizmów reakcji.

† — Powiew śmierci

65

Staromodna chemia, która tchnęła sztuką i uczuciem, mi-  
nęła bezpowrotnie.

Tylko Anson pozostał ze swoją sztuką, a chemicy mówili  
o nim jak o wielkim człowieku, dawno umarłym. Tylko że  
w jakiś tajemniczy sposób mały człowieczek, przypomina-  
jący Ansona w jego późniejszym okresie, nadal od czasu  
do czasu przemierzał korytarze hotelowe w czasie nauko-  
wych zjazdów, chemików.

W ten sposób, jako profesor emerytowany, Anson mógł  
wreszcie zabrać się do realizacji swoich odkładanych na  
później planów — napisania dokładnej historii chemii or-  
ganicznej, w której zamierzał przedstawić czasy, gdy gi-  
ganci chemii kształtowali powietrze, wodę i węgiel w sub-  
stancje nie mające równych w przyrodzie.

Ale czyż nie była to po prostu ucieczka od życia? —  
zastanawiał się Brade. — Czyż nie było to całkowitym od-  
wróceniem się plecami od rzeczywistości? Od tej rzeczy-  
wistości, w której fizykochemicy wyczyniali przeróżne  
dziwy z umiłowanymi reakcjami Ansona? Był to powrót  
do dawnych dni, kiedy Anson nie miał równego sobie..

Kap Anson był już przy drzwiach, gdy Brade coś sobie  
przypomniął: — Ale, co to ja chciałem powiedzieć...

— Tak, słucham — Anson odwrócił się od drzwi.

— Poczynając od przyszłego tygodnia mam dać cykl wykładów z zakresu bezpieczeństwa pracy w laboratorium. Bardzo byłbym panu wdzięczny, gdyby znalazł pan trochę czasu i sam wygłosił też dwa albo trzy wykłady na ten temat. Ostatecznie, Kap, nie ma tu nikogo, kto by miał większe doświadczenie laboratoryjne od pana.

Anson zmarszczył brwi. — Bezpieczeństwo w laboratoriach? Ach, tak... ten twój chłopak, Neufeld. Nie żyje.

A jednak wie o tym — pomyślał Brade.

66

— Tak. To jeden z powodów, dla którego postanowiliśmy dać studentom te wykłady — wyjaśnił Brade.

Nagle twarz Ansona wykrzywiła się w paroksyzmie wściekłości. Uniósł laskę i uderzył nią w stół tak mocno, jakby rozległ się wystrzał z pistoletu. — Twój student nie żyje i ty to zrobiłeś, Brade. Ty to zrobiłeś!

## Rozdział 6

Brade zamarł — trzask laski wywołał w nim szok, ale z jeszcze większą siłą podziałały nań straszliwe słowa Ansona. Stał w miejscu jak skamieniały. Ręką macał za sobą w poszukiwaniu oparcia krzesła, jak gdyby jakiś nagły ból kazał mu usiąść. Natrafiał tylko na powietrze.

Anson odezwał się po chwili już nieco spokojniej: — Nie możesz przecież wyprzeć się odpowiedzialności za to, co się stało, Brade.

— Ja... ja... — zaczął Brade.

— Kierowałeś jego badaniami. Odpowiedzialność za każdą jego czynność w laboratorium spada na ciebie. Powinieneś być wiedzieć, co to za człowiek. Powinieneś być znać każdy jego czyn, każdą myśl. Powinieneś być nalać mu rozsądku do głowy albo wyrzucić na zbity łeb, tak jak to zrobił Ranke.

— Ma pan na myśli odpowiedzialność moralną? — Brade czuł słabość swego argumentu, a jednocześnie był zadowolony z niego, jak gdyby moralna odpowiedzialność za śmierć młodego człowieka nie miała żadnego znaczenia.

Namacał w końcu krzesło i usiadł. — Istnieją jednak pewne granice opieki nad studentami, do jakiej profesor jest zobowiązany.

— Nie wypełniłeś tego obowiązku, ale nie winie ó to wyłącznie ciebie. To sprawa ogólnego nastawienia w dzi-

68

siejszych czasach. Badania naukowe stały się grą. Dyplom doktora jest nagrodą pocieszenia, przyznawaną za zamieszkiwanie w laboratorium przez kilka lat, podczas gdy profesor spędza większość czasu w swoim gabinecie na komponowaniu podań o przyznanie dotacji na prowadzenie badań. W moich czasach na dyplom doktora trzeba było zarobić. Studentowi za to nie płacono. Nic bardziej nie obniża wartości rzeczywistego osiągnięcia, jak dokonanie go dla pieniędzy. Moi studenci sami zapracowywali się na śmierć dla doktoratu, głodowali, a byli też tacy, którzy mimo tych poświęceń nic nie zdobyli. Ci jednak, którym się powiodło, wiedzą, że mają coś, czego nie da się kupić lub wyłudzić. Trzeba było za to zapłacić własną krwawicą. Doktorat miał wtedy dla nich wartość. Czytałeś przecież prace dyplomowe tych, których wtedy wypuszczaliśmy. Czytałeś?

— Wie pan dobrze, że je czytałem, Kap — odezwał się z prawdziwym szacunkiem Brade. — Większość z nich należy już dzisiaj do klasyki.

— Ha — Anson pozwolił się nieco ułagodzić. — A jak myślisz? Dlaczego stały się one klasykami? Ponieważ ja je prowadziłem. Jak trzeba było, siedziałem nad nimi nawet w niedziele i doktoranci też przychodzili. Jeśli trzeba było, pracowałem po nocach, i jak mi Bóg miły, oni też. Bez przerwy ich sprawdzałem. Znałem na wylot każdą ich myśl. Każdy z moich studentów dostarczał mi raz na tydzień kopie swoich notatek i wspólnie analizowaliśmy je strona za stroną, słowo po słowie. A teraz ty mi powiedz, co wiesz na temat kopii notatek z doświadczeń przeprowadzanych przez Neufelda.

Brade mruknął pod nosem: — Nie tak wiele, jak powinienem. — Zrobiło mu się gorąco i czuł się nieswojo. Kap

69

Anson w swoich wypowiedziach był krańcowy, ale wiele z tego, co mówił, było nie pozbawione prawdy, która boleśnie raniła. To właśnie Anson wprowadził na uniwersy-

tecie podwójne notatniki, składające się z dwóch rodzajów arkuszy, białych i żółtych.

Wszystkie dane dotyczące prowadzonych badań, wszelkie szczegóły każdego z dokonywanych doświadczeń (a tym bardziej wszelkie nowe hipotezy i założenia) skrzętnie tam zapisywano, a żółte arkusze, jako kopie, oddarte wzdłuż perforacji, doręczano co pewien czas profesorowi, kierującemu badaniami.

Brade kontynuował ten zwyczaj, jak zresztą większość profesorów na wydziale, ale niezupełnie w tym samym duchu co Anson.

Mimo wszystko Anson był postacią legendarną. Opowiadano nawet o nim różne anegdoty. Niektóre były podobne do tych, które opowiadano i o innych ekscentrycznych profesorach z przeszłości. Ale krążyły też opowieści, które zapewne były prawdziwe, a które świadczyły o jego zamiłowaniu do krańcowej dokładności.

Opowiadano między innymi, jak to przyszedł kiedyś do laboratorium w Boże Narodzenie. Sam jeden w całym budynku, gdzie poza nim nie było żywej duszy. (Musiał mieć klucz uniwersalny do wszystkich drzwi.) Cały dzień spędził na dokładnym sprawdzaniu laboratoriów, swoich studentów, każdej ławki, każdej kolby. Następnego dnia przedstawił swoim zdumionym i zbitym z tropu studentom (którym by nawet przez myśl nie przeszło nie przyjść na zajęcia zaraz po Bożym Narodzeniu) listę odczynników chemicznych nie poustawianych w porządku alfabetycznym, precyzyjny spis butli z podstawowymi roztworami, które nie zostały jak należy przykryte odwróconą kolbą.

70

oraz pełne wyliczenie odchyłeń od ustalonych przez samego Ansona zasad bezpieczeństwa i czystości.

Co więcej, napisane to było z dużą dozą sarkazmu oraz z dodatkiem zupełnie osobistych przytyków.

Jeden ze studentów zdobył tę listę i gdy później którykolwiek z wymienionych na niej studentów uzyskiwał wreszcie stopień doktora, odczytywano mu na głos dotyczące go uwagi na uroczystym przyjęciu, którego gospodarzem (niezmiennie) był sam Anson. Nawet Anson surowo się uśmiechał i często dodawał z pamięci jeszcze kilka piekących uwag.

A mimo wszystko studenci zawsze go ubóstwiali; zresztą Brade też, w czasach gdy był uczniem Ansona".

Teraz, u zmierzchu lat, bardzo niewiele zostało z dawnego Ansona; był po prostu stary, ale ze względu na przeszłość traktowano go z szacunkiem i delikatnie.

— Kap, czy znał pan Raifa? — zapytał Brade.

— — Co takiego? Nie. Mijałem go kilka razy w korytarzu. Dla mnie był tylko jeszcze jednym z tych fizykochemików objających się po katedrze chemii organicznej.

— Czy wiedział pan coś o jego pracy?

— Wiem tylko tyle, że związana była z kinetyką. To wszystko.

Brade był zawiedziony; Nagle uświadomił sobie, że przecież Anson nadal rozmawiał ze studentami, wypytywał ich o prowadzone prace, doradzał to i owo. Mógł też rozmawiać z Raifem, mógł nawet wiedzieć o tym chłopcu znacznie więcej niż sam Brade. Ale z tego wynikało, że chłopiec ten był niechętny wobec wszystkich, nawet Kapowi Ansohowi nie udało się go przeniknąć.

Cała ta rozmowa sprowadziła delikatny powiew daw-

71

nych dni, kiedy to właśnie do Kapa wszyscy śpieszyli ze swoimi kłopotami.

— Ktoś mi powiedział śmieszną rzecz. Kap. Męczy mnie to od samego rana. Powiedziano mi, że Raif Neufeid mnie nienawidził.

Kap Anson znów usiadł, wyprostował lewą nogę, w której od czasu do czasu odczuwał już bóle artretyczne, i położył łaskę na stole.

— To zupełnie możliwe — powiedział z całym spokojem.

— Ze mnie nienawidził? Dlaczego?

— Bardzo łatwo jest znienawidzić profesora, który prowadzi twoją pracę badawczą. On ma swój stopień naukowy, a ty nie masz. On wyznacza ci problemy, a ty pracujesz nad nimi. Ty przeprowadzasz doświadczenia, a on tyl-



ko wzrusza ramionami i sugeruje przeprowadzenie nowych doświadczeń. Masz swoje teorie, a on wykazuje w nich błędy. Profesor kierujący badaniami naukowymi, jeśli rzeczywiście jest coś wart, jest zmorą w życiu studenta. A student, jeśli jest ambitny, nienawidzi swego profesora, dopóki się nie przekona, ile dobrego ta zmora mu dała. — Anson westchnął nurzając się we wspomnieniach. — Czy przypuszczasz, że moi studenci mnie kochali?

— Myślę, że tak.

— Otóż nie. Sięgając pamięcią w przeszłość, może i myślał, że mnie kochali, ale w rzeczywistości tak nie było. Zresztą nie miłości od nich oczekiwałem, lecz pracy. I otrzymywałem ją. Czy pamiętasz Kinsky'ego? On studiował jeszcze przed tobą.

— Słyszałem o Kinsky'm — powiedział Brade łagodnie. — Słyszałem też, jak przemawiał.

Oczywiście, że pamiętał Kinsky'ego. Spośród wszystkich

72

studentów Ansona Joseph Kinsky okazał się najlepszym. Wchodził w skład grupy z Wisconsin i zyskał wieczną sławę za swoje syntezы tetracyklinowe oraz za nowe odkrycia w zakresie działania antybiotyków, będące bezpośrednim rezultatem tych badań.

Anson roześmiał się. — On był najlepszy, absolutnie najlepszy ze wszystkich moich chłopców.

Bardzo lubił mówić o Kinsky'm. Brade pamiętał dobrze pewien obiad na wydziale, po którym Foster miał czelność powiedzieć: — Hej, Kap, czy nie gryzie pana to, że Kinsky pana przerósł?

Foster, który zazwyczaj nie pił dużo, tym razem musiał przebrać miarę, bo inaczej nie zdobyłby się na taką śmiałość i na tak bezczelny uśmiech. Brade drgnął w tym momencie i posłał złowrogie spojrzenie w kierunku śliniącego się Fostera. Niewątpliwie chciał urazić starego człowieka.

Tamten okazał się jednak godnym przeciwnikiem Fostera. Mimo że był niższy o pół głowy, wydawało się, że nad nim góruje. Odezwał się w te słowa: — Foster, zapamiętaj sobie, że istnieją dwa wypadki, kiedy uczucie zazdrości jest bardzo mało prawdopodobne. Ojciec nie jest zazdrosny o syna, a nauczyciel nie zazdrości uczniowi. Jeśli ludzie,

których uczę, są lepsi ode mnie, to być może dlatego, że mieli lepszego nauczyciela. Wszystkie ich osiągnięcia chlubnie rzutują na mnie. To, co robię jako chemik, jest dla ludzkości osiągnięciem jednego człowieka. To, co robię jako nauczyciel, jest dla ludzkości osiągnięciem wielu ludzi. Gorzko żałuję nie tego, że Kinsky mnie prześcignął, lecz tego, że nie prześcignęli mnie w równym stopniu wszyscy inni uczniowie, jakich kiedykolwiek miałem.

Nie podnosił głosu, ale po uwadze Foster'a rozmowy w pokoju ucichły i słowa Ansona rozlegały się bardzo wy-

73'

rażnie. Co więcej, ku zadowoleniu Brade'a, po wypowiedzi Ansona dały się słyszeć przytłumione oklaski uznania, a Foster wyglądał tak, jak gdyby dla uzupełnienia jego postaci brakowało mu tylko pary oślich uszu.

Czy Ansonowi też to przyszło na myśl? — zastanawiał się Brade. — Ale chyba nie.

Anson mówił dalej: — Myślisz, że Kinsky mnie uwielbiał? Bywały chwile, że gdyby mógł, toby mnie zabił. Stosunki między nami były niemal przez cały czas na ostrzu noża. Na Boga, i ty powinieneś być mnie trochę bardziej nienawidzić.

— Nigdy nie czułem do pana nienawiści. Kap.

— Prawdopodobnie dlatego, że stopniowo stawałem się coraz bardziej łagodny, i to chyba źle wpłynęło na moich chłopców. Wiązałem kiedyś z tobą wielkie nadzieje.

Brade'a mocno ukłuło to sformułowanie. Anson „kiedyś wiązał z nim” nadzieje. Teraz już niczego się po nim nie spodziewa. Nigdy nie będzie mówił o nim, tak jak mówił o Kinsky'm. No cóż, pomyślał z wściekłością, czy powinno go to tak bardzo dziwić? Czego oczekiwał?

Anson odezwał się nagle: — A propos, Kinsky nas niedługo odwiedzi. Czy mówiłem ci już o tym?

— Nie.

— Otrzymałem od niego wczoraj list, ale wczoraj nie widzieliśmy się, prawda? — Anson wyjął list i wbił wzrok w Brade'a.

Brade uśmiechnął się z zakłopotaniem i wziął list do

ręki. Był krótki. Zawierał jak zwykle pozdrowienia oraz wiadomość, że Kinsky załatwia w mieście sprawy zawodowe i ma zamiar wstąpić na uniwersytet w następny poniedziałek. Byłby niezmiernie szczęśliwy, gdyby mógł podyskutować nad książką Ansona, chociaż on, Kinsky, jest

74

głęboko przeświadczony, że niewiele zdoła dodać do bogatej wiedzy i doświadczenia Ansona. List kończył się nadzieją rychłego zobaczenia.

— W najbliższy poniedziałek? — zapytał Brade.

— Tak. Chciałbym też bardzo, żebyś i ty się z nim zobaczył. Byliście przecież kolegami szkolnymi. — Anson podniósł się z trudem, schował list i wziął do ręki laskę. — Zobaczymy się jutro rano, Brade.

— Naturalnie, ale niech pan nie zapomni o tych wykładach na temat bezpieczeństwa.

Z chwilą, gdy Brade został sam, znowu poczuł ciężar, na sercu. Kap Anson potrafił mówić o nienawiści studentów, jakby to była cecha rycerska, jakby świadczyła ona o doskonałości nauczyciela. Jednak żaden z jego argumentów nie pasował do Brade'a. Brade nie tylko nie wyrzucił Raifa, ale raczej ocalił go, gdy został wyrzucony przez Ranke'ego. Pomagał Raifowi, ustępował mu, jak tylko mógł, tolerował jego szczególne cechy charakteru i pozwalał mu na szukanie własnych dróg.

Dlaczego Raif miałby go nienawidzić?

A może Jean Makris kłamała?

Ale dlaczego miałaby kłamać?

Czyż mogła się mylić?

Jak można by było potwierdzić to, co powiedziała? Kto mógłby znać dostatecznie dobrze tego dziwnego, nieprzeniknionego chłopca, by to potwierdzić lub zaprzeczyć?

Brade nie wiedział, ale przecież byli tacy, którzy żyli z nim bliżej, nieporównanie bliżej, choćby dzięki pracy we wspólnym pomieszczeniu. Miał na myśli jego kolegów z laboratorium.

Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Była prawie jede-

7»

nasta. Nie miał nic ważnego do zrobienia przed lunchem. A na pewno nic, co byłoby od tego ważniejsze.

Przeszedł przez korytarz i zajrzał do laboratorium Charlesa Emmetta. Zastał samego Emmetta, bo Roberta gdzieś wyszła. Spytał spokojnym głosem: — Charlie, czy mógłbym z tobą chwilę porozmawiać?

Emmett wyłączył rozdzielacz i dwa znajdujące się w nim płyny zaczęły się uspokajać i rozdzielać w wirze banieczek. Podniósł na chwilę szklaną zatyczkę rozdzielacza, aby wypuścić zebraną w nim parę, po czym z powrotem zatkał otwór wlewowy.

— Oczywiście, panie doktorze — powiedział.

Brade usiadł na obrotowym fotelu przy biurku, podczas gdy Emmett przysunął sobie krzesło od stołu konferencyjnego.

— Raif miał cholernego pecha, proszę pana — powiedział.

— Tak, rzeczywiście. Ale to także wielki pech dla wydziału, dla nas, dla mnie osobiście. Właśnie na ten temat chciałbym z tobą porozmawiać.

Czyżby Emmett był załęczniony? Brade próbował przyjrzeć mu się niepostrzeżenie. Spośród czworga studentów. (teraz już tylko trojga) Emmett pracował pod jego kierunkiem najdłużej i w pewnym sensie zapowiadał się najgorzej. Pracował wytrwale, tak wytrwale, że zadowolili nawet Kapa Ansona, ale nie sposób było dopatrzeć się w nim choćby szczypty talentu.

Siedział teraz naprzeciwko, masywny, o rudych włosach i olbrzymich piegowatych dłoniach. Nosił okulary w jasnej oprawce, trochę za małe do jego twarzy.

76

Brade lubił go za spokój umysłu. Czasami wydawało mu się, że błyskotliwość i talent wcale nie są potrzebne, jeśli tylko student potrafi godzić się z faktem, że doświadczenie mu się nie udało, i nie pogrąża się z tego powodu w bezgranicznej rozpacz. Gdy Emmettowi nie wyszło jakieś doświadczenie, to po prostu zaczynał drugie i prze-

prowadzał je nieco inaczej. Mógł wprawdzie nie dojrzeć czegoś istotnego, co należało zrobić, ale w końcu swoją cierpliwością do czegoś dochodził. W każdym bądź razie, w porównaniu z niezrównoważeniem przeciętnego narwanego studenta spokój Emmetta był dla Brade'a pociechą w pracy nad studentami.

— Tak, to straszna historia, straszna — zaczął Brade. — Przyznaję, że też czuję się w pewnym sensie winny za to, co się stało. Wstydę się też, że... że nie znałem go lepiej. Może mógłbym mu bardziej pomóc. To oczywiście ma związek z pozostałymi moimi studentami. Z tobą. Wydaje mi się, że i ciebie powinienem znać lepiej.

Emmett zaczął się wiercić na krześle. — Ależ, panie doktorze, nie mogę mieć do pana żadnych pretensji. Przecież jest nam z panem zupełnie dobrze.

— Bardzo mi miło to słyszeć. Ale, mimo wszystko, ta sprawa nadal mnie gryzie.. Na przykład, chyba już od miesiąca nie rozmawialiśmy na temat badań, którymi się zajmujesz. Czy coś ci nie wychodzi?

— Nie, proszę pana. Będę miał wszystko skończone na wiosnę. Przygotowałem już część historyczną mojej rozprawy, mam też w pełni przygotowane wstępne dane. Brakuje mi jeszcze tylko kilku substancji pochodnych.

Brade kiwnął głową potakująco. Emmett opracowywał zagadnienie syntezy pewnych thiazolidonów, których do

77

tej pory nie udało się uzyskać zwykłą metodą zamykania pierścieni. Problem ten miał swoje zalety i wady.

Przy opracowywaniu tego rodzaju syntezy student nie .potrzebował wnikania w wyższą matematykę i zapierającą dech analizę ilościową. Potrzeba mu było tylko duże }  
cierpliwości i odrobiny szczęścia.

Z drugiej strony jednak, ta odrobina szczęścia była nieodzowna. Czasami zdarzało się, że nie można było przeprowadzić jakiejś syntezy żadną z metod wymyślonych przez studenta czy profesora. Lub udało się tę syntezę przeprowadzić wcześniej innym badaczom. Zarówno w jednym, jak i drugim wypadku temat dysertacji unieważniano i wyznaczano nowe zagadnienie do rozwiązania.

— A więc niedługo będziesz miał za sobą etap niena-

wiści — zauważył Brade najbardziej beztrąsko, jak tylko mógł.

— Co takiego? — Emmett spojrzał na niego z nieukrywanym zakłopotaniem.

— Właśnie Kap Ansan mówił mi, że z reguły każdy doktorant nienawidzi swego promotora.

— Ej że, na pewno żartował. To po prostu takie gadanie starego Kapa. Czasem ten i ów coś tam powie na swego;

profesora, ale nie należy tego brać poważnie.

Brade zdawał sobie teraz sprawę (co mu się przedtem w podobnych okolicznościach nie zdarzało) z nieoficjalnego tonu wypowiedzi Emmetta. Studenci Ranke'ego zawsze sprawiali wrażenie, że stoją na baczność, rozmawiając ze swoim profesorem. (No, cóż, zamyślił się Brade, czyż ja tego potrzebuję? Salutowania? Trzaskania obcasami?)

— A jak było z Raifem? — zapytał.  
Na oczy Emmetta jak gdyby opadła jakaś zasłona. — Słucham pana? — zapytał.

78

— A jak było z Raifem, Charlie? Jaki był jego stosunek do mnie?

— No cóż — Emmett odchrząknął kilka razy z widocznym wysiłkiem. — Nie znałem go zbyt do-brze. Chyba nikt go nie znał. Zresztą mówił bardzo mało.

— Ale on mnie nie lubił, prawda?

Emmett rozważał przez chwilę, co ma powiedzieć. — On nikogo nie lubił. No cóż, w każdym bądź-razie... — Tu przerwał i wstał z miejsca.

Brade wyciągnął rękę i zatrzymał go. — Poczekaj. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co prawda, trochę już za późno, żeby się nim interesować, ale ciekawi mnie to. Chcę wiedzieć. Nie lubił mnie, prawda?

Musiał siłą wyciągać z Emmetta odpowiedź na nurtujące go pytanie.

— No cóż, panie doktorze, myślę, że pana nie lubił.

— Dlaczego mnie nie lubił? Wiesz dlaczego? (Było coś poniżającego w tym wypytywaniu jednego studenta o drugiego. Brade zdawał sobie z tego sprawę i było mu przykro, ale musiał to wiedzieć.)

— Według mnie, panie doktorze, to chyba dlatego, że był głupi. — Nagle Emmett spojrzał, jakby go ktoś czymś rąbnął przez głowę. — Och, nie chciałem tego powiedzieć.

— No, no, nie bądźmy tacy przesądni, o zmarłych też można źle mówić — powiedział Brade trochę zdenerwowany. — Jeżeli mamy coś dobrego do powiedzenia o ludziach, to mówimy to, gdy żyją i potrafią docenić słowa pochwały, które im się należą. Umarłemu na nic one się nie przydadzą. Zbyt często spotyka się to nastawienie, że człowieka nie należy chwalić za życia.

— A więc przyłączył się do nas kiedyś, gdy rozmawia-

79

Uśmie wśród kolegów. Rozprawialiśmy właśnie na temat wydziału.

— Rozumiem — rzekł Brade i nagle stanęły mu przed oczyma jego własne studenckie czasy.

— Ktoś rzucił, że Foster stopniowo staje się kimś w rodzaju Simona Legree, czy coś takiego, a wtedy Neufeid wtrącił się do rozmowy i powiedział, że ten drugi rodzaj jest jeszcze gorszy; wszyscy ci profesorowie, których nic nie obchodzi, czy student tonie, czy pływa, tak jak pan,

panie doktorze, powiedział...

— Rozumiem — odparł Brade. Czyżby jego nienawiść wyrosła z przyczyn zupełnie innych niż te, które głosił Kap Anson? Czyżby Raif był niezadowolony, że dał mu

zbyt wielką swobodę?

— Ale powiem panu jeszcze coś, panie doktorze — rzekł Emmett. — Nie sądzę, żeby to była nienawiść. Obserwowałem go nieraz w czasie seminarium, gdy pan zabierał głos; sposób, w jaki na pana patrzył; zwłaszcza w ciągu ostatnich kilku miesięcy. To śmieszne, a jednak... — i na-^

gle zamilkł nie kończąc zdania.

— No — wybuchnął Brade już u kresu wytrzymałości nerwowej. — No co, jednak...?

— Nie jestem psychologiem, ale mimo wszystko, nie sądzę, żeby czuł do pana nienawiść. Mnie się wydaje, że strasznie się pana bał. Umierał wprost ze strachu.

## Rozdział 7

— Mnie się bał? — zapytał\* Brade impulsywnie. (Mój Boże, to jeszcze gorsze). — Czego się bał, Charlie?

— Tego nie wiem, panie doktorze.

Wpatrywali się w siebie przez chwilę, po czym Brade zapytał: — Jesteś pewny, Charlie? Wytrąciło mnie to z równowagi kompletnie i czuję, że muszę znać całą prawdę. Czy istnieje jakiś powód, który tłumaczyłby jego strach przede mną?

Brade zaczynał odczuwać całą beznadziejność sytuacji w obliczu śmierci Raifa i wszystkiego, co się z nią wiązało. Nie można było tego inaczej wytłumaczyć, chyba że on sam był mordercą. Czyżby śmierć Raifa także była pozbawiona motywu, chyba że on sam miał motyw, żeby go zabić? Ale jakież mógł mieć motyw?

Emmett poczerwieniał na twarzy. — Nie bardzo chcę o tym mówić, ale jeśli pan musi wiedzieć i zachowa w tajemnicy, skąd się dowiedział, to...

— No, proszę, powiedz.

— Ja, w zasadzie, to nic nie wiem, ale mógłbym panu wskazać kogoś, kto może coś wiedzieć, jeśli ktokolwiek w ogóle coś wie.

— Kto to taki?'

— Roberta, proszę pana.

— Roberta Goodhue? — zapytał Brade, chociaż dobrze

• — Powiew śmierci



wiedział, że nie chodziło o jakąś inną Robertę, lecz o jedną z jego studentek.

— Tak. Nic na to nie poradzę, ale... wie pan, to była tajemnica. Pracując jednak z Roberta w jednym laboratorium, chcąc nie chcąc dostrzegałem pewne rzeczy i to czy owo słyszałem. — Był coraz więcej zakłopotany. — No

cóż, była z nim dość blisko.

— Co masz na myśli przez słowo blisko? — Niepokojące podejrzenie wkradło się do umysłu Brade'a. A więc, jednak nic nie wiedział o swoich studentach.

— Niech pan mnie źle nie zrozumie, panie doktorze. Chciałem tylko powiedzieć, że wychodzili razem, parę razy się spotykali ze sobą. Nie wiem, jak daleko ich sprawy zaszły i nie mam nic na ten temat do powiedzenia. Po prostu kilka razy gdzieś się spotkali. To wszystko, co wiem. Myślę, że chłopak więcej może powiedzieć dziewczynie o sobie przy kolacji niż w- obecności zgrai chłopaków w jadalni uniwersyteckiej. Rozumie mnie pan?

— Tak, oczywiście — Brade pokiwał głową w zamyśleniu. — Czy Roberta jest dzisiaj?

— Nie widziałem jej.

— Ale ona chyba wie, co się stało?

— Przypuszczam. Słyszałem, że Jean Makris ją wzywała. — Dziwny półuśmieszek zaigrał przez mgnienie oka na jego ustach i zniknął, nim Brade zdążył to sobie uświadomić.

— Dziękuję ci, Charlie. Dzięki za pomoc. To byłoby wszystko.

— Dobrze. Ale nie powie pan nic Robercie? To znaczy, skąd się pan o tym dowiedział.

— Nie powiem.

Wstał, żeby Emmettowi otworzyć drzwi, i dostrzegł ja-

przyszło mu na myśl) w korytarzu za drzwiami. Musiał raz jeszcze spojrzeć na niego uważnie, żeby uzmysłwić sobie, kto to jest. Był to jego najnowszy student, Gregory Simpson, który dzielił z Raifem wspólne laboratorium.

— Szukałeś mnie, Greg? — zapytał.

— Czy nie znalazłby pan trochę czasu, panie doktorze? — spytał Simpson. Miał głos tenorowy, oczy blade, niemal pozbawione rzęs i brwi, a bulwiasty nos nadawał jego twarzy wyraz trochę komiczny, ale za to pogodny.

— Oczywiście. Wejść, proszę.

Dwaj studenci niepostrzeżenie skłonili się sobie w drzwiach i Simpson wszedł do środka.

Simpson był poważnym młodzieńcem, ale jakoś nie sprawiał dobrego wrażenia. (Brade westchnął z żalem. Obiecujący młodzi ludzie szli tam, gdzie dawano stypendia.)

— No, Greg, słucham — zagadnął.

Simpson zajął miejsce, które przed chwilą opuścił Emmett. — Zastanawiałem się nad tym, gdzie się zatrzymać — powiedział z zakłopotaniem.

— Jak to, gdzie się zatrzymać? Czy nie mieszkasz w jednym z domów akademickich?

— Nie, mam na myśli tutaj, w laboratorium.

— Aha — Brade poczuł się zakłopotany. — Ale na czym właściwie polega twój problem?

— No, laboratorium. Raif Neufeid nie żyje... i chodzi o to...

— Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, czy możesz dalej pracować w tym laboratorium?

— No, jak by tu powiedzieć...

— Ta sprawa już jest skończona, jak wiesz — powiedział Brade ostro. — Koniec. Laboratorium jest twoje,

83

całe jest twoje, dopóki nie przydzielą do niego jakiegoś nowego studenta.

Simpson siedział przez chwilę w milczeniu, ale nie sprawiał wrażenia, jakby jego problem został ostatecznie rozwiązany. Nie zabierał się też do wyjścia.

— Czy ta odpowiedź nie załatwia twojej sprawy, Greg? — zapytał Brade.

— Niezupełnie, panie doktorze. Jeśli to możliwe, wolą-  
bym dostać inne laboratorium.

— Czy uważasz, że to hm... przynosi nieszczęście?

— Chyba nie.

— Czy boisz się, że duch Raifa wróci i będzie cię prze-  
śladował? — Brade starał się, żeby to nie brzmiało zbyt  
.pogardliwie i złośliwie, ale miał za sobą ciężki dzień i nie-  
wielkie zasoby cierpliwości.

Simpson potarł ręką niewidoczne brwi. — Nie, nic po-  
dobnego. Po prostu... po prostu myślałem, że gdyby można  
było się przenieść... ale jeśli nie można, to trudno... myślę,  
że jakoś to będzie. — Wydawał się być doszczętnie zdruz-  
gotany.

Brade żałował, że tak ostro go potraktował. Jednak czło-  
wiek w końcu nie odpowiada za wszystkie irracjonalne  
obawy zaszczipione mu przez nierozsądne społeczeństwo.  
A czyż on sam był wolny od tego rodzaju obaw?

— No, dobrze, Greg — powiedział — rozumiem. Posłu-  
chaj, co ci powiem. I tak nie będziesz do końca semestru  
zaczynał swoich doświadczeń, a więc dlaczego nie mógł-  
byś na ten czas przenieść się ze swoją pracą do labora-  
torium Emmetta? Będziesz tam przecież tylko coś czytał  
od czasu do czasu, a Charlie przydzieli ci jakąś szufladę.  
Na początku przyszłego semestru, gdy rzeczywiście bę-  
dziesz musiał poświęcić się doświadczeniom, Charlie będzie

84

^ pracował nad swoją dysertacją, a więc ty możesz zająć  
jego miejsce w laboratorium. W odpowiednim czasie  
umieszczę kogoś nowego w twoim obecnym laboratorium.

Simpson rozpromienił się ze szczęścia, jak gdyby ktoś  
przekręcił w nim jakiś wewnętrzny kontakt. — Bardzo  
dziękuję, panie profesorze. Wspaniale. Serdecznie dzięku-  
ję-

Brade uśmiechnął się do niego sztywno i powiedział: —  
Aie zaczekaj jeszcze chwilę.

Simpson, który już zdążył wstać, usiadł z powrotem  
i zachmurzył się.

Niespodziewanie Brade uświadomił sobie, że Raif nie był  
jedynym spośród studentów, mającym dostęp do laborato-  
rium. Simpson, pracujący w tym samym laboratorium,  
miał także własny klucz.

— To zupełnie inna sprawa, Greg — zaczął Brade —  
i poufna, całkowicie poufna. W naszym budynku zdarzały  
się wypadki drobnych kradzieży.

— Naprawdę? — Głos studenta automatycznie zniżył  
się do konspiracyjnego szeptu. '

— Właśnie badamy tę sprawę i ciekaw jestem, czy kie-  
dykolwiek w ciągu ubiegłego miesiąca zauważyłeś, aby  
jakaś nieupoważniona osoba wchodziła do twojego labora-  
torium?

Simpson przechylił na bok głowę, głęboko się zastana-  
wiając. Po chwili podniósł na Brade'a swe blade oczy,  
z których przebijała szczerść, i odparł z całkowitym  
przekonaniem: — Nie, proszę pana.

— Nic, co wydawałoby ci się podejrzanę? Jakaś rzecz  
nieoczekiwanie nie na swoim miejscu. Albo może brako-  
wało czegoś, co, jak myślałeś, powinno tam być?

— Nie, proszę pana. Nic takiego nie zauważyłem.

85

— A może Raif wspominał o czymś w tym rodzaju?

— Nie, panie doktorze. — Młody człowiek wypowiedział  
te słowa szybko i z naciskiem.

— Jesteś pewny?

— Całkowicie. Raif nigdy nie odezwał się do mnie na-  
wet słowem. Ani jednym, nigdy. Próbowałem mu mówić  
„cześć”, gdy wchodziłem do laboratorium, ale mi nie od-  
powiadał, więc przestałem. Sprawiał wrażenie, jakby był  
wściekły na mnie, że tam byłem. Wie pan, jak gdyby to  
było jego laboratorium i ja nie miałem prawa tam wcho-

dzić. Pewnego razu podszedłem do jego biurka, gdy opisywał jakieś doświadczenie; przynajmniej myślałem, że coś takiego robił. Wtedy zamknął błyskawicznie notatnik i odwrócił się do mnie z taką miną, jakby chciał mnie zabić. Nigdy już więcej nie zbliżałem się do niego. Nie chcę, oczywiście, przez to powiedzieć, że był niemiłym facetem.

— Rozumiem cię dobrze. Zwłaszcza teraz, kiedy nie żyje.

— Słucham?

— Musiałeś być wściekły z powodu takiego stosunku do ciebie.

— Po prostu nie zauważałem go — powiedział Simpson ostrożnie. — Zresztą, ostrzeżono mnie przed nim.

— Przed czym cię ostrzeżono?

— Przed jego awanturami i temu podobnymi rzeczami.

— Miałeś z nim jakąś awanturę?

— .Nie. Trzymałem się po prostu od niego z daleka. Nic do siebie nie mieliśmy.

— Skończyłeś już dwadzieścia dwa lata, prawda? — zapytał Brade.

Simpson wyglądał na zdziwionego. — Tak jest, proszę pana.

Brade pokiwał głową i zakończył rozmowę: — No dobrze, Greg. Teraz już twoją sprawę możemy uważać za załatwioną, prawda?

— Tak, panie doktorze. Bardzo dziękuję.

Brade siedział teraz sam w swoim gabinecie i zastanawiał się, co dalej robić. Simpsona można było wykluczyć spośród podejrzanych. Był o tym przekonany. To młody i zupełnie nieszkodliwy chłopak i jak Brade zdołał zaobserwować, raczej łagodny z natury, bierny, taki typ człowieka, który wycofuje się zawczasu, żeby uniknąć kłótni.

Oczywiście, że człowiek, który unika otwartego starcia, traci okazję, żeby się wyładować. Napięcie nerwowe może w nim narastać i znaleźć ujście w jakiejś potajemnej for-

mie zemsty...

Do diabła, jak tę sprawę wyjaśnić? Nie był przecież de-tektywem. Właściwie nie wiedział, co ma dalej robić. Wziął telefon i wykreślił numer do domu. Odpowiedziała Doris swoim zwykłym „Halo”, które nie dawało żadnej wskazówki co do jej nastroju.

— Halo, Doris. Czy wszystko w porządku?

— Oczywiście. A jak u ciebie? Czego chciał Littleby?  
Powtórzył jej w kilku słowach rozmowę z Littleby'm.

Słuchała nie przerywając mu, a gdy skończył, zapytała: —

Jakie robił wrażenie?

— Cóż, -chyba nie był zadowolony.

— Czy dał ci do zrozumienia, że to twoja wina?

— Nie, ale w jego zachowaniu chyba można by się doszukać jakichś aluzji i skojarzeń. Robi to złą opinię uczelni, a ponieważ to był mój student, więc stawia to mnie w złym świetle w opinii innych. Odniosłem wrażenie, jak

87

gdyby wolał, żebyśmy się nie pokazywali u niego jutro wieczorem.

— Ja jednak odnoszę wrażenie, że lepiej, abyśmy się

tam pokazali — rzekła Doris stanowczo.

— Tak, przypuszczam, że tak. W każdym razie powiedziałem mu, że przyjdziemy.

Nastąpiła krótka przerwa, po której Doris zapytała: —  
A ty jak się czujesz?

— Dość specyficznie. Jestem swoistego rodzaju osobistością. Szkoda, że nie widziałas dzisiaj moich studentów. Nie sądzę, żeby którykolwiek z nich słyszał choć słowo z tego, co mówiłem. Wszyscy czekali tylko na moment, kiedy się załamię lub wyciągnę rewolwer i zacznę strzelać albo coś w tym rodzaju. Kap Anson przyniósł mi prawdziwą ulgę.

— O? A cóż takiego zrobił?

— Nic, i to właśnie sprawiło mi ulgę. Czekał na mnie po wykładzie i zaczął mówić o swojej książce. Była to dzisiaj jedyna jakaś normalna chwila. — Postanowił nic na razie nie wspominać o jutrzejszym spotkaniu z Ansonem. Przynajmniej nie przez telefon.

Doris powiedziała w końcu: — No, to dobrze. Uważaj na siebie i słuchaj, Louis, nie zabawiaj się w detektywa. Wiesz, o co mi chodzi?

— Wiem, wiem, o co ci chodzi. Do zobaczenia, Doris! Uśmiechnął się ponuro i odłożył słuchawkę. Nie zabawiaj się w detektywa! Och, gdyby tylko wiedział, jak się do tego zabrać!

Podniósł znów słuchawkę i nacisnął guzik, żeby połączyć się z centralką. Poprosił o rozmowę z Jean Makris.

— Panna Makris? Tu mówi Brade.

— Słucham, panie doktorze. Czym mogę służyć?

88

— Czy może mi pani wyszukać telefon domowy Roberty Goodhue? — Właściwie powinien go gdzieś mieć u siebie, ale nie miał ochoty przekładać stosu różnych kartek i papierków.

Głos Jean Makris stał się nagle 'bardziej ożywiony: — Oczywiście, panie doktorze. A co, nie ma jej dzisiaj na uczelni?

— Wydaje mi się, że nie ma.

— Mam nadzieję, że nie jest chora. — Głos jej jednak brzmiał dziwnie radośnie. — Czy chce pan, żebym w pana imieniu do niej zadzwoniła?

— Nie, poproszę tylko o numer, jeśli pani tak łaska-wa. Aha, panno Makris...

— Słucham, panie doktorze.

— Czy dzwoniła pani do Reberthy, żeby ją powiadomić o tym wypadku?

— Oczywiście, że tak. Czy nie trzeba było tego robić? Myślałam, że powinna o tym wiedzieć, jako że była jego

koleżanką, no i...

— Tak, wiem. Czy dzwoniła pani też do pana Emmetta i pana Simpsona, pozostałych kolegów. Raifa?

Tym razem nastąpiła na linii dłuższa przerwa, po której głos sekretarki wydawał się trochę niepewny: — Nie, panie doktorze, nie dzwoniłam... Widzi pan...

Brade przerwał jej: — Widzę, ale to nie ma znaczenia. Niech mi pani poda telefon Roberty.

Nakręcił numer i telefon kilka razy zadzwonił, zanim ktoś podniósł słuchawkę. — Tak? Słucham. — Głos, który się odezwał, był lekko przytłumiony.

— Roberta? Tu mówi doktor Brade.

— O, dzień dobry panu. Proszę mi tylko nie mówić, że dzisiaj rano było seminarium i że zapomniałam o tym.

89

— Nie, nic z tych rzeczy, Roberto. Dzwonię, żeby zapytać, jak się miewasz?

Nastąpiła krótka pauza i Brade wyobraził sobie, jak Roberta zbiera siły, by głos jej brzmiał normalnie. — Nic mi, nie jest — odezwała się — przyjdę na zajęcia laboratoryjne;

ne-

— Czy jesteś pewna, że możesz?

— Jak najbardziej.

— Wobec tego, Roberto, jeśli czujesz się zupełnie dobrze, chciałbym... — Przerwał, żeby spojrzeć na zegarek. Brakowało dwadzieścia minut do dwunastej i czuł, że nie bardzo mu wypada ją ponaglać, ale, do diabła, mieszkała przecież tuż obok uczelni i mogła przejść ten kawałek drogi w pięć minut. — Czy zdążyłabyś tu przyjść na dwunastą?

Ponownie nastąpiła mała przerwa. — Jeśli pan zechce poczekać, to za piętnaście minut będę na miejscu.

— Świetnie. A co byś powiedziała na to, gdybyśmy zjedli razem lunch?



Jeszcze jedna pauza, po której ostrożnie zapytała: —  
Czy jest coś, co chciałby pan ze mną przedyskutować, panie doktorze?

Brade nie widział potrzeby dawania wymijającej odpowiedzi i rzekł krótko: — Tak.

— Czy na temat mojej pracy?

— Nie. W sprawach osobistych.

— Zaraz przyjdę.

— Dobrze — powiedział i odłożył słuchawkę.

Brade przejrzał swój popołudniowy plan zajęć. Na zajęciach laboratoryjnych zajmie się, oczywiście, aldehydami

90

i ketonami. Na tapecie miał przygotowanie srebrnego lustra, jedno z tych bezużytecznych, ale widowiskowych doświadczeń, które utrzymywało studentów w zaciekawieniu. Zamierzał również przygotować substancje z dodatkiem siarczynu, co poza spłukaniem osadu, nie przedstawiało specjalnych trudności. Doświadczenie to wymagało użycia eteru, który był ogromnie łatwopalny.

Jednak dzisiejsze doświadczenia nie wymagały użycia otwartego ognia, a studentów, którzy mieliby ochotę na papierosa, ostrzeżono, że już za pierwsze naruszenie jednego z ważniejszych przepisów bezpieczeństwa grozi usunięcie z kursu.

Mimo wszystko, właśnie dzisiaj, niech to diabli porwą, należało wykluczyć możliwość jakiegokolwiek wypadku. Zwróci też na to uwagę Charlie Emmettowi.

Brade bardzo pragnął ten jeden raz opuścić ćwiczenia laboratoryjne. Zresztą jego obecność na tych zajęciach nie była obowiązkowa. Jednak z zasady już dbał o to, żeby choć na krótko pojawić się wtedy w laboratorium. Po pierwsze, mogły być pytania, na które asystenci laboratoryjni nie potrafiliby odpowiedzieć, a po drugie, jego obecność wpływała dodatnio na morale studentów. Jeśli wykładający profesor ostentacyjnie nie zaglądał na zajęcia laboratoryjne, z reguły stawały się one w oczach studentów jakieś mało wartościowe i nieważne.

Charlie Emmett był jednak w pełni zdolny do prowadze-

nia tego laboratorium samodzielnie. Zajmował się tym już •drugi rok, a gdyby jeszcze Roberta pomogła mu przy stole z odczytnikami, nie powinno być żadnych kłopotów.

No cóż, poczekamy i zobaczymy.

Roberta Goodhue zapukała lekko do drzwi gabinetu doktora Brade'a i gdy weszła do środka, Brade sięgnął po

91

kapelusz i płaszcz. Uśmiechnął się do niej i powiedział nieco sztywno: — Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy wybrali się do restauracji Riverside Inn? Weźmiemy mój wóz i koło pierwszej podrzucę cię z powrotem.

— Dobrze. — Nie wyglądała na interesującą dziewczynę. Była niska i krępa, co jeszcze podkreślał krój jej płaszcza w różowołososiovym kolorze. Miała ciemną cerę i prawdopodobnie była nieszczęśliwa, pomyślał Brade, z powodu lekkiego zarostu pokrywającego jej twarz. Brade nie przypominał sobie, żeby to dawniej zauważył, ale wyraźnie zarysowały się na jej twarzy delikatne/wąsy, a na policzkach też miała lekki zarost.

Nie można było jej uznać za zupełnie brzydką, ale też nie była ładna. — Poczekaj na mnie przy głównym wejściu, dobrze? Wskoczę tylko do Charlie'ego i powiem mu, żeby sprawdził, czy nie ma gdzieś otwartego ognia.

Riverside Inn była zapelniona, ale dostali dla siebie niszę z widokiem na rzekę i biegnącą wzdłuż niej szosę. (Niezmacona niczym natura stawała się z każdym rokiem coraz rzadszym zjawiskiem.)

— Wyobrażam sobie, że jesteś przytłoczona wczorajszym wydarzeniem — zagadnął.

Zamówili już jedzenie i Roberta siedziała krusząc swoją bułkę i spoglądając na cztery rzędy mknących w dole aut. — Tak — przyznała szeptem.

— Przyszło mi na myśl — nie wiedział, jak to powiedzieć — że chyba byłaś... zaprzyjaźniona z Raifem?

Roberta spojrzała na niego i nagle oczy jej zwilgotniały i wypełniły się łzami. — Mielśmy wziąć ślub zaraz po zrobieniu przez niego doktoratu.

Rozdział 8

Podeszła kelnerka i wyłożyła sznycel cielęcy na talerz Brade'a, sałatkę z jajek dla Roberty oraz dwie filiżanki kawy i dzbanuszek ze śmietanką. Wprowadziło to do ich rozmowy pożądaną przerwę i pozwoliło Brade\*owi zaczerpnąć oddechu.

— Jest mi niezmiernie przykro — powiedział. — Nie miałem pojęcia, że sytuacja tak wygląda. Może nie powinnaś tu przychodzić... Zresztą, sam nie wiem.

— Wszystko w porządku. Myślę, że nawet tak jest lepiej. Czułabym się gorzej, gdybym siedziała w domu. — Wydawało się, że powoli przychodziła do siebie, zbierała resztki sił, by móc mu spojrzeć prosto w oczy i zapytać:— Czy chciał pan ze mną rozmawiać o Raifie?

Brade przez chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć- — Zabrzmi to pewnie jak koszmar, ale powstał problem, co robić dalej z badaniami, które rozpoczął. Wobec takiej sytuacji jednak...

Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. — Czy ma pan zamiar kontynuować pracę, którą on robił?

— Nie ma potrzeby dyskutować tej sprawy teraz. Może innym razem. — To było jednak strasznie głupie z jego strony, rozmyślał zasepiony, wyciągać dziewczynę z domu tylko po to, by ją wypytywać o narzeczonego, który zginął

93

ledwie kilka godzin temu. Ale jak inaczej mógł się czegoś dowiedzieć?

Roberta obserwowała go uważnie. — Przypuszczam, że pan go nie lubił — powiedziała.

. Brade aż drgnął. Czyżby wyczytała to w jego zakłopotanym wzroku? — Nie, to nieprawda. Miałem o nim bardzo wysokie zdanie — odparł.

— Dziękuję za te słowa, ale myślę, że tak nie było. Wiem o tym, że niewielu ludzi go lubiło, i potrafię to zrozumieć- — Znów zaczęła drobić bułkę i odstawiła sałatkę, choć zaledwie jej spróbowała. — Był szczególnym człowiekiem, ciągle w defensywie. Trzeba było sporo czasu, by przyzwyczaić się i nie zwracać uwagi na jego uszczypliwość, a wtedy okazywał się zupełnie miły. Wrażliwy, uczuciowy. — Zatrzymała się na chwilę. — Niemal całą noc

spędziłam dziś z jego matką. Biedna kobieta. O, jak to się mogło stać? Nie mogę uwierzyć, że popełnił taki głupi błąd.

— Czy oprócz matki pozostawił jakichś krewnych? — zapytał Brade.

— Nie. — Popatrzyła na niego przez chwilę. — Pan nie wie o Raifie, prawda, panie doktorze? Mam na myśli jego osobiste życie.

— Obawiam się, że nie, Roberto. Teraz dopiero rozumiem, że powinienem być bardziej zbliżyć się do moich studentów, bardziej interesować się ich życiem. Ale z pewnością ta rozmowa nie jest dla ciebie przyjemna.

— To, co mi pozostało, to tylko rozmowa o nim — odrzekła Roberta. Wzrok wbiła w talerz, a kilka pasemek jej prostych włosów, pośpiesznie związanych z tyłu, opadło jej na czoło. — Jak pan zapewne wie, on nie urodził się w Ameryce.

94

— Tak (tyle to Brade wiedział).

— Tylko jego matka i on przeżyli... ten koszmar. Nigdy nie opowiadał mi szczegółów i w gruncie rzeczy nie są nam one potrzebne, prawda? Jego ojciec został zastrzelony i miał też starszą od siebie siostrę, którą również zabito.

— Czuł strach przed światem. W Ameryce również nie miał łatwego życia, wie pan. Obcy kraj, obcy język. Przypuszczam, że bał się również zaufać komukolwiek, a nawet nie dowierzał dobrym chęciom innych ludzi. To musiało stać się u niego obsesją. Wie pan, co mam na myśli?

— Myślę, że cię rozumiem, Roberto.

— Było to błędne koło. Ponieważ nie mógł czuć się swobodnie i przyjmować ludzi, jakimi są, oni z kolei stawali się dla niego nieprzyjemni, a nawet okrutni. I przez to robił różne głupstwa. Ciężko mu było pracować w jednym pokoju z innym studentem. Zawsze miał uczucie, że chce mu się coś odebrać, tak jak mu odebrano jego rodzinę, jego dzieciństwo. Szalał i atakował, gdy wydawało mu się, że kolega chciał wziąć jedną z kolb, którą sam umył. To nie było dobre, ale sam pan widzi, dlaczego tak nierozsądnie się zachowywał. A czy profesor Ranke chciał go zrozumieć? Wyrzucił go od siebie. Dla Raifa było to jeszcze jed-

no wyrzucenie. Zamknął się w sobie jeszcze bardziej.

— A więc on mnie też nienawidził, prawda, Roberto? Zamarła na chwilę w bezruchu, a głos jej stał się ostry: — Kto panu to powiedział?

— Po prostu się domyślam.

— To Jean Makris "panu powiedziała, prawda?

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał Brade stropiony. Zacisnęła wargi, po czym wciągnęła głęboki haust powietrza. — To zresztą nie ma już żadnego znaczenia. Może pan o tym wiedzieć. Raif wyszedł kiedyś z nią raz czy

95

dwa razy, zanim... zanim się zaprzyjaźniliśmy. To nie miało żadnego znaczenia, coś przypadkowego, ale ta głupia dziewczyna wzięła sobie to bardziej do serca, niż należało. Trzymała się go i chodziła za nim nawet wtedy, gdy już wszystko między nimi było skończone. Zemściła się nawet za to. Zadzwoiła do mnie wczoraj wieczorem. Była szczęśliwa, że on nie żyje, i cieszyła się, że mogła mnie o tym powiadomić. — Kiedy to mówiła, widać było, że z trudem się hamuje, by nie wybuchnąć.

Brade poruszył się na krześle niespokojnie. Jeśli śmierć Raifa przyczyniła się do czegoś, to do poruszenia mułu na dnie czystego akademickiego strumienia, który teraz zaczynał przypominać inne mroczne wody rzeki życia.

— Myślisz wobec tego, że Raif miał powody, aby mnie nienawidzić? — zapytał Brade.

— Nie, nie miał powodu i nigdy nie słyszałam, żeby tak mówił. Oczywiście, z początku...

— Tak?

— Nie był pewny swych badań. Profesor Ranke wypędził go ze swojej grupy, a więc odczuł to jako wielkie niepowodzenie i klęskę życiową. Stracił pewność siebie, wydawało mu się, że nie nadaje się do nauki, i prawdopodobnie zwierzył się Jean Makris, gdy byli na spacerze, z tych swoich zmartwień. Musiał jej to chyba wtedy powiedzieć, przypuszczam, ponieważ kiedyś, gdy zadzwoniła do niego, po tym, jak już się więcej z nią nie spotykał, próbowała dać do zrozumienia, że może mu 'narobić kłopotów, jeśli panu powie, co naprawdę czuł w stosunku do pana. Raif

opowiedział mi o tym. Był bardzo strapiiony z tego powodu. A ona czekała tylko jego śmierci, żeby... nie mogła nawet po śmierci zostawić go w spokoju.

Przełknęła ślinę i zaczęła cicho płakać.

96

Brade odsunął na bok talerz z nie dokończoną cielęciną, dopił kawę i dał znak kelnerce, żeby przyniosła rachunek.

— Wypij swoją kawę — zachęcał — i nie przejmuj się jego stosunkiem do mnie. Dobrze nam się współpracowało, a jeśli nawet mnie nie lubił, myślę, że w- wystarczający sposób wyjaśniłaś, dlaczego tak było, i ja to rozumiem. — Miał ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać ją po dłoni, ale się powstrzymał.

Sączyła kawę, gdy kelnerka podeszła do stolika z rachunkiem.

W samochodzie, gdy jechali z powrotem do miasta, Brade zapytał: — Czy Raif kupił ci pierścionek zaręczynowy, Roberto?

Patrzyła prosto przed siebie, obserwując drogę w bolesnym skupieniu, ale z pewnością nic nie widziała. — Nie — odpowiedziała. — Nie stać go było na to. Matka ciężko pracowała, by zarobić na jego studia. Miała europejskie podejście do tych spraw, wie pan. Gotowa była na każde poświęcenie, byle tylko syn był człowiekiem uczonym. A teraz co jej pozostało?

— Czy ustaliliście konkretną datę ślubu?

— Natychmiast po uzyskaniu dyplomu. O bliższej konkretnej dacie nie mogło być mowy.

— Czy jego matka wiedziała, że zamierza się ożenić?

—• Wiedziała, że spotykaliśmy się ze sobą. Myślę, że lubiła mnie. Jednak nie sądzę, aby powiedział jej coś o naszym małżeństwie. Myślę nawet, że gotowa była się nie zgodzić. Pewnie by uważała, że po uzyskaniu dyplomu będzie mógł się lepiej ożenić. Matki z Europy mają przesadne wyobrażenie o znaczeniu stopnia naukowego na rynku matrymonialnym.

Wjechali przez bramę na teren uniwersytetu.

Brade tylko na krótko pojawił się na sali w czasie ćwiczeń laboratoryjnych. Było zupełnie spokojnie. Nawet Gerald Corwin, specjalista od powodowania wypadków, jak gdyby starał się uniknąć nawet zetknięcia ze szkłem, żeby się nie skaleczyć. Wpatrzony był w swoją probówkę i z zadowoleniem przyglądał się, jak jej boki zaczynają błyszczeć metalicznie od strąconego aldehydem srebra, tworząc z probówki cylindryczne lustro. Było sprawą niemal przesadzoną, że jako najgorszy student w grupie z zajęć laboratoryjnych uzyska najlepsze lustro. Brade uniósł jego probówkę w górę, by pokazać ją wszystkim studentom, których poważniejsze manipulacje wytrąciły jedynie na dnie probówek szaro-czarny osad.

Następnie spędził kilka chwil w kancelarii wydziału przeglądając sprawozdania o Raifie Neufeldzie. Ponieważ przez cały czas Jean Makris nie spuszczała z niego wzroku, poczuł się nieswojo i szybko przerzucił kartki sprawozdań. W każdym bądź razie nie znalazł niczego, co by miało jakiegokolwiek znaczenie w tej sprawie.

Z ciężkim sercem powrócił do swojego gabinetu i zaczął obmyślać tematy, jakie można by omówić na wykładach z bezpieczeństwa. Pewne zagadnienia nie ulegały wątpliwości. Właściwe wykorzystanie wyciągów, metody odparowywania łatwopalnych rozpuszczalników, właściwe obchodzenie się z butlami ze sprężonym gazem, kąpiele wodne, druciane siatki, system wyginania rur i kilka innych spraw.

A co należało zrobić z metodami, w których używano pipetek? Stosowanie pipet wychodziło już z mody. W czasach Brade'a pipetę kładło się 'do ust i wciągało roztwór do dokładnie oznaczonego miejsca. Był to bardzo nieprzyjemny zabieg i do tego niebezpieczny, ponieważ nieuważne wes-

'sanie mogło doprowadzić roztwór do jamy ustnej, a roz-I twory bywały nieszkodliwe, ale bywały też żrące i trujące. I Jeszcze nie było takiego semestru, żeby przynajmniej je-; den student nie miał pełnych ust wodorotlenku sodu.

\ Obecnie niemal w powszechnym użyciu były kauczuko- i we gruszki. Służyły one do wywoływania ssania w pipe-! tach i wyposażone były w specjalne zawory wylotowe,

dzięki którym ssanie można było przerywać w dowolnej chwili. Trudność polegała na tym, że wydział wahał się zainwestować odpowiednią sumę pieniędzy na zakup stu takich urządzeń dla właściwego wyposażenia laboratoriów grup niezaawansowanych. Może w związku z zagadnieniem bezpieczeństwa w laboratoriach motywy ekonomicz-

. ne ulegną złagodzeniu. Brade zrobił sobie notatkę, żeby się tym zająć.

Tymczasem umysł jego -coraz bardziej odbiegał od spraw, którymi się zajmował, aż w końcu siedział beczynie wpatrzony w przestrzeń, z długopisem w uniesionym ręku.

Wyraźnie nielubiany Raif wzbudził, jak widać, sympatię u dwóch młodych panien; wystarczy to, aby pojawiły się gniew i złość. Przedziwne!

Skierowało to zagadnienie motywacji na 'zupełnie nowe tory. Teraz nie wystarczało już rozważanie drobnych pretensji i złośliwości kolegów-studentów czy też profesorów wydziału względem tego młodego człowieka o ostrym języku i kłótliwym usposobieniu. Nie wystarczało też rozważanie, jak mogło to przekształcić się w uczucie, które 'doprowadziło do dokonanego z zimną krwią morderstwa. "

Teraz należało wziąć również pod rozwagę niepowodzenia miłosne. I to mogło stanowić powód wystarczający dla dokonania zabójstwa.

99

I jeszcze jedna dziwna rzecz. O żadnej z tych dziewcząt, ani o Jean Makris, ani o Robercie Goodhue, nie można było powiedzieć, że jest ładna. Nikt by ich nie podejrzewał, że zdolne są wzniecić uczucie miłości u młodego człowieka,

a mimo to...

Ależ to bez sensu. Przecież zarówno piękne, jak i brzydkie kobiety wychodzą za mąż, także różni mężczyźni się żenią. Gdyby tylko hollywoodzkie ideały urody miały wzbudzać uczucia, ludzkość szybko by wymarła.

Liczą się przecież także inne zalety poza urodą. Przyjaźń, sympatia mogą mieć czasem większe znaczenie dla młodych ludzi niż powabne kształty. Czemuż by nie?

A chłopak taki jak Raif, który nienawidził i obawiał się



świata, mógł właśnie czuć nieodparty pociąg do zwyczajnej dziewczyny.

Jakżeby mógł się ubiegać o względy ładnej dziewczyny?

Jakżeby mógł stawać do współzawodnictwa z innymi mężczyznami i ryzykować, że zostanie odepchnięty, co mogło go jeszcze dotkliwiej zranić niż wszystkie poprzednie niepowodzenia? Wybierając taki obiekt swego uczucia unikał zapewne możliwości, że zostanie odrzucony. Czyż nie mogło to być umyślne (albo nawet podświadome) zwrócenie uwagi właśnie na taką dziewczynę, która pragnie, aby ktoś obdarzał ją względami i okaże wdzięczność za to, a nie będzie obiektem pożądania dla rywalizujących zalotników? Brade uśmiechnął się do siebie gorzko. Z konieczności

zabawiał się w psychologa i detektywa.

A taka dziewczyna jak ta, gdyby została porzuconą dla innej, takiej samej jak ona, czyż nie stworzyłaby piekła na ziemi?

Nadzieja zrodziła się w jej sercu, gdy wydawało się to beznadziejne, i nagle znów prysła. A jeszcze gorzej by by-

100

ło, gdyby to, co utraciła, przypadło kobiecie wcale od niej nie lepszej.

Zaczął podejrzewać, że Jean Makris musiała go nienawidzić. Pozostawało tylko pytanie, czy ta nienawiść mogła być aż tak silna, by pchnąć ją do morderstwa. A jeśli tak, to czy miała dostateczny zasób wiedzy, by popełnić takie morderstwo? Czy mogła mieć aż tyle wiadomości z zakresu chemii, by zaryzykować zamianę jednej substancji chemicznej na inną? Czy wiedziała dostatecznie dużo o pracy Raifa, by zrobić to aż tak inteligentnie? Mógł z nią przecież rozmawiać na temat swojej pracy. Mogła mieć za sobą niższy kurs chemii w college'u? Czy ona w ogóle chodziła do college'u? Będzie musiał to sprawdzić.

Jeśli już o tym mowa, to co należy myśleć o samej Robercie?

Młody człowiek porzucił już kiedyś jedną dziewczynę,

mógł to zrobić i z drugą. Gdyby Roberta została porzucona, byłaby z pewnością równie wściekła jak Jean Makris, a w dodatku lepiej przygotowana do popełnienia tego morderstwa.

†

Czy mógł młodzieniec tak podejrzliwy w stosunku do świata, o takiej chorobliwej naturze, długo pozostać przy jednej dziewczynie, niezależnie od tego, jak bardzo go kochała, jak była dla niego czuła? Ile czasu musiałoby upłynąć, zanim wystąpiłyby jakieś starcia, drobne nieporozumienia (rzeczywiste lub zmyślane, to nie odgrywa roli), by następnie przekształcić się w piekącą nieufność i nienawiść w jego mrocznym, samotniczym sercu?

; Rałf nie dał Robercie pierścionka. Nikomu nie wspomniął o swoich zaręczynach. Na przykład Charlie Emmett nic nie wiedział. Nawet matce widocznie o tym nie powiedział. Nie było żadnego obiektywnego świadectwa, że

101

naprawdę miał zamiar ożenić się z Robertą. Oświadczył to jedynie Robercie.

Musiała uświadamiać sobie kruchość swojej pozycji. Dziewczyna ta była z pewnością bardziej niż ktokolwiek inny na świecie wyczulona na formy oświadczeń i różne przejawy szczerości lub fałszu. A jeśli wyczuła, że z każdym dniem staje się dla niej coraz bardziej oziębły? A może zaczęła domagać się czegoś bardziej konkretnego, na przykład konkretnej daty ślubu, pierścionka, publicznego ogłoszenia ich narzeczeństwa? A jeśli on nie chciał spełnić

jej prośb?

O, na Boga, a co, jeśli na arenie pojawiła się jeszcze trzecia dziewczyna?

Na pewno Roberta znała chemię na tyle, żeby go zabić, i jeśli to zrobiła, to nie ulega wątpliwości, że wszystko, co mówi, jest fałszywe i pozorowane. W swoim smutku wydawała się bardzo szczerą, ale przecież mogła nadal go kochać, a zabiła tylko z powodu zdrady. Mogła nadal opłakiwać swoją ofiarę i odczuwać samotność po jego śmierci.

Robertą z pewnością znała szczegółowo jego badania. Z pewnością znała je lepiej niż ktokolwiek inny. Znacznie lepiej, niż nawet Emmett przypuszczał. Studenci przygo-

towujący prace naukowe zawsze rozmawiają o swoich badaniach, a jeśli nawet Raif był inny i z chorobliwą podejrzliwością zachowywał to, co robił, dla siebie, bez wątpienia zrobił wyjątek dla swojej ukochanej, dla jedynej ludzkiej istoty, której, jak sądził, może zaufać.

Ależ, do diabła, w jaki sposób udowodnić cokolwiek z tych rzeczy? Wszystko to piękne teorie. Może je tak snuć w nieskończoność. W pewnym sensie to nawet jego zawód. W chemii jednak wiedział, co robić, żeby sprawdzić jakąś teorię. W pracy detektywa nie miał pojęcia nawet o tak

prozaicznej rzeczy, jak odróżnienie dowodu od możliwości.

Krążył w kółko, aż w końcu zrezygnował.

Spojrzał na zegarek. Właśnie minęła czwarta.

Przed dwudziestu czterema godzinami myślał o pójściu do domu, żeby zdążyć na umówione na piątą spotkanie z Kapem Ansonem. Wziąłby od niego rękopis, wypił w towarzystwie starszka aperitif, przedyskutował jakieś fragmenty jego pracy, zaprosiłby go może na kolację.

Ale wstąpił do laboratorium Raifa, żeby wziąć trochę wzorcowego kwasu i powiedzieć do widzenia (jeszcze jeden z drobnych nawyków, które przyswoił sobie od Kapa Ansona)... i oto wszystko się zaczęło...

Teraz znów myślał o pójściu do domu, ale bez większej przyjemności. Nic specjalnego nie przewidywał. Nie przeczytał jeszcze rękopisu Ansona. Nawet nie wyjął go z teczki. Nie rozebrał też swojego ostatniego urządzenia do utleniania. Sterczało tak w jego prywatnym laboratorium, wytwarzając żywicę.

Wszystko było w straszliwym nieładzie.

Zbliżał się koniec tygodnia. Rozejrzał się zmęczonym wzrokiem dokoła za czymś, co mógłby z pożytkiem zabrać ze sobą do domu. Doris nie pochwałała jego zwyczaju przynoszenia do domu różnych prac, czasopism lub lektury na różne tematy (nazywał je weekendowymi drobnostkami), ale prawdę mówiąc, nikt nie podołałby swoim obowiązkom, gdyby chciał ograniczyć się tylko do zajęć w godzinach pracy.

Westchnął. Nie był absolutnie w nastroju, żeby zabierać do domu jakieś prace klasowe lub literaturę naukową. Miał już w teczce rękopis Ansona. Będzie musiał przeczytać gc

dzisiaj wieczorem. Później sobota, przyjdzie Anson, Wirginię trzeba będzie wziąć do ogrodu zoologicznego i wie-

103

czorem to całe przyjęcie u Littleby'ego. W niedzielę pewnie nie będzie miał chęci do niczego. Czeka go następny ciężki tydzień.

Dlatego też nie zabrał nic poza rękopisem. Zatrzasnął teczkę, narzucił płaszcz na ramiona i wziął do ręki kapelusz.

Skierował się ku drzwiom i stanął jak wryty. Za szklanymi drzwiami majaczyły mgliste kontury jakiejś postaci. W chwilę potem rozległo się pukanie do drzwi.

Nie był to nikt z jego studentów ani też nikt z wydziału. Potrafił już na ogół wszystkich odróżniać, nawet z ogólnego zarysu postaci.

Zaniepokojony, otworzył drzwi i do pokoju wkroczył jakiś nieznajomy człowiek o tłustych policzkach, który uśmiechnął się do niego jowialnie i wesoło powiedział: — Dzień dobry, panie doktorze. Nie pamięta mnie pan?

W jednej chwili, na dźwięk jego głosu, Brade przypomniał sobie wszystko. Był to agent policji, Jack Doheny, z którym rozmawiał poprzedniego wieczora.

## Rozdział 9

Brade upuścił z wrażenia kapelusz i schylił się, by go podnieść. Czuł, jak twarz oblała mu się purpurą, ale Doheny uśmiechał się do niego życzliwie. Agent policji, żuł gumę, poruszając rytmicznie szczękami.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał Brade. — Teraz już sobie pana przypominam.

— Sądzę, że niczym. Natomiast ja mogę panu czymś służyć. — To powiedziawszy sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wy dobył z niej klucz. — Prosił mnie pan przecież, żeby go panu oddać. Pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jak go panu osobiście przyniosę. To jest klucz do laboratorium tego chłopaka.

— O, dziękuję panu. — Brade poczuł przepływającą przez niego falę odprężenia. Oczywiście. Prosił przecież o zwrot klucza, oczywiście więc, że funkcjonariusz policji

sam mu go przyniósł.

— Jak pan wie zapewne, jedyną krewną chłopaka jest jego matka. — Oczy detektywa chłodno wędrowały po gabinecie Brade'a.

— Brade, z kapeluszem w ręku, stał oczekując z lekką niecierpliwością na moment, kiedy policjant usunie się i przestanie blokować drzwi. — Tak, wiem już o tym — odparł Brade.

— Byłem tam wczoraj wieczorem, żeby ją zawiadomić,

To, niestety, paskudna strona mojej roboty. Zastałem ją w opłakanym stanie. Dowiedziała się już wcześniej.

— Tak? •

— Była u niej jakaś dziewczyna. Jedna z pana studentek.

— Roberta Goodhue? (Mówiła mu przecież, że była u matki Raifa, ale nic nie wspominała o Doheny'm.)

— Tak. Ona przyniosła jej tę wiadomość. Pytałem ją, skąd się o tym dowiedziała. Mówiła, że ktoś z uczelni zadzwonił do niej.

— Sekretarka wydziału. Poinformowałem ją o tym, co się stało, a ona zawiadomiła Robertę. Roberta, hm... jak by to powiedzieć... przyjaźniła się z tym chłopakiem.

— Straszne to wszystko. — Doheny pokiwał głową, ale nie ruszył się, żeby dać przejście Brade'owi. — Czy to pana gabinet, panie doktorze?

— Tak, mój.

— Bardzo miły. Świetny stół, o... ten. Przydałby mi się 'taki do mojego warsztatu w piwnicy. Pan też zajmuje się majsterkowaniem?

— Nie, raczej nie.

— Słyszałem, że w dzisiejszych czasach profesorowie i pracownicy naukowcy przepadają za tym. Wie pan, co mam na myśli; robienie własnych mebli, wyjazdy na campingi i temu podobne rzeczy.

Brade pokiwał głową i zaczął już okazywać zniecierpli-

wienie.

— Ale może ja pana zatrzymuję po godzinach? Pewnie o tej porze pan wychodzi?

— Właściwie mój czas należy do mnie. Czasami siedzę tutaj aż do północy, czasami wychodzę już w południe. To zależy od rozkładu moich zajęć i od tego, jak się czuję.

106

— Ho, ho! — zawołał detektyw z widoczną na twarzy szczerością. — Tak właśnie powinna wyglądać każda praca. Czy wczoraj pracował pan tu do późnego wieczora?

— Nie, właściwie, niedługo. Miałem już wychodzić, gdy odkryłem... ciało Raifa.

— A dzisiaj wygląda na to, że pana zatrzymuję. — W końcu, bez zbyteźnego pośpiechu odstał na bok, żeby przepuścić Brade'a.

— Nic nie szkodzi — powiedział sztywno Brade. Wyszedł za Doheny'm na korytarz i zamknął drzwi na klucz. . Klucz Neufelda założył na swoje kółko do kluczy.

Doheny go obserwował. — To jest klucz uniwersalny do wszystkich drzwi, ten, który ma pan na kółku, prawda? — zapytał.

Wyprowadziło to Brade'a z równowagi. Szybko schował klucze do kieszeni i 'odparł: — Muszę mieć o każdej porze dostęp do budynku.-

.— Ależ to oczywiste. Pasuje do wszystkich laboratoriów?

— Pasuje do tych, które nie mają specjalnych zamków. Przypuszczam, że większość pracowników wydziału jest w posiadaniu takich uniwersalnych kluczy.

— Ach, tak — Doheny uśmiechnął się, pokiwał głową i dalej żuł gumę.

Wracając do domu Brade przez cały czas rozprawiał ze sobą. A więc policjant znów zjawił się u niego. Miał uzasadniony powód. Przecież sam prosił o klucz. Jego pytania

były całkowicie normalne; nie przejawiał ani wrogości, ani żadnych podejrzeń. Dlaczego zresztą miałby je przejawiać?

Ale... dlaczego go pytał, kiedy wyszedł z uczelni po-

107

przedniego wieczora? Skąd takie zainteresowanie uniwersalnymi kluczami? Jak szybko to zauważył?

Po co jednak wymyślać sobie kłopoty? Brade z wysiłkiem skierował myśli na inne tory.

Obiad przeszedł wyjątkowo dobrze. Wirginia już do tej pory zdążyła się dowiedzieć o wypadku. Wydarzenie, to stało się sensacją; przyjaciółki wydzwaniały do Doris, żeby się czegoś więcej dowiedzieć, a Wirginia uważnie przysłuchiwała się wszystkim telefonicznym rozmowom matki.

Jej samej nie wolno było zabierać głosu w dyskusji i wszelkie jej próby były, oczywiście, natychmiast tłumione przez oboje rodziców. Jednak ogólne podniecenie udzielało się i jej także, w rezultacie czego zjadała w mgnieniu oka wszystko, co jej podano.

Miało to z kolei zbawienny skutek, ponieważ widok córki pochłaniającej wszystko bez zachęcania i bez grymaszenia wprowadził Doris w tak dobry nastrój, że i ona była przyjemna. BwKe poczuł, jak ogarnia go odprężenie.

Przyjemny nastrój trwał też podczas deseru, po czym Doris zaproponowała (bez możliwości sprzeciwu), żeby Wirginia poszła na górę i odrobiła lekcje, tak, żeby mieć wolną sobotę i niedzielę, po czym miała się wykapać i pójść spać.

— A o dziewiątej wyłącz telewizor, Wirginio — powiedziała Doris.

Wirginia przechyliła się jeszcze przez poręcz schodów, mrugając z ożywieniem czarnymi oczkami, i zawołała: — Hej, tatusiu, nie zapomnij tylko, że jutro idziemy do ogrodu zoologicznego!

— Nie mów do ojca „hej” — skarciła ją Doris. — Żale-

108

ży, jak się będziesz dzisiaj wieczorem zachowywała. Jak będziesz broić, panienko, to nigdzie jutro nie pójdziesz.

— Tere-fere, właśnie, że nie będę broić. Idziemy jutro, prawda, tatusiu?

Brade nie miał innego wyjścia jak powiedzieć tak. — Jeśli nie będzie padało — dodał.

— Właściwie, Doris — odezwał się Brade nieco później — nie jestem taki pewny, czy będę mógł pójść.

— Co takiego? — zawołała z kuchni wypuszczając ze zlewozmywaka wodę z charakterystycznym gulgotem. Po chwili weszła do salonu. — Co powiedziałeś? — zapytała.

— Powiedziałem, że nie wiem, czy będę mógł jutro pójść do ogrodu zoologicznego.

— Dlaczego?

— Kap Anson do nas przychodzi.

Doris zachmurzyła się i zdjęła fartuch.— Jak to się stało, żeście się tak umówili?

' — Po prostu. Powiedział, że przyjdzie, a ja nie mogłem, powiedzieć nie.

— Dlaczego nie? Przecież to nie tak trudno powiedzieć.  
^ Ale nie mogłem. Nie w stosunku do Kapa Ansona. Wiesz zresztą, jaki on jest.

— Wiem, ale wiedzieć niekoniecznie znaczy zaraz go dzić się ze wszystkim. To jest jego książka, nie twoja. Dlaczego masz się nad nią tak męczyć?

— Ponieważ zapowiada się na dobrą książkę, będzie to poważna książka. Właściwie, to nawet jestem dumny, że mogę pomagać przy jej opracowywaniu.

— Wobec tego będzie musiał przyjść kiedy indziej.

— Już dwa razy go zawiodłem, Doris.

— Dwa razy?



— Wczoraj wieczorem to raz. Byłem z nim konkretnie umówiony, że spotkamy się o piątej, a wiesz przecież, jaką on wagę przywiązuje do punktualności. I wczoraj nie przyszedłem na umówione spotkanie.

Doris wzruszyła ramionami i zaczęła przerzucać egzemplarz Przeglądu Telewizyjnego. — Ostatecznie nic się nie stało. Po prostu oddał swoją pracę Wirginii.

— Wiem, ale z pewnością był zawiedziony i zdenerwowany. Traktuje niepunktualność jako osobistą obelgę.

— Wydawał się zupełnie normalny — powiedziała Doris, jakby ją to wszystko nic nie obchodziło. — Widziałam, jak dawał Wirginii kopertę. Wcale nie wyglądał na to, żeby był zawiedziony.

— Na pewno był rozczarowany, niezależnie od tego, czy dał to po sobie poznać, czy nie. A dzisiaj rano przyszedł znów o dziesiątej do mojego gabinetu, zaraz po wykładzie, a ja nie zdążyłem jeszcze przeczytać jego rękopisu. T<sup>u</sup> razem widać było, że jest zawiedziony. •

— Czy nie sądzisz, że z jego strony świadczy to tylko o braku rozsądku, jeśli oczekuje, że życie może toczyć się dalej swoim torem, gdy jeden z twoich studentów zginął w wypadku? — Wprawdzie delikatnie, ale zaakcentowała przy tym ostatnią część swojej wypowiedzi.

— Oczywiście, że tak, ale to stary człowiek i chemia jest całym jego życiem. To, co się stało z Raifem, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Toteż gdy Kap spokojnie oświadczył, że przyjdzie do nas do domu jutro rano, nie mogłem powiedzieć nie.

— Mimo wszystko będziesz jednak musiał zabrać Wirginię. Czekala na to przez cały tydzień. I nie próbuj mi wmawiać, że to ja ją mogę wziąć do zoo. Mam stos rzeczy do prania i już dostatecznie długo odkładałam.

110

— Posłuchaj — powiedział Brade. — Zadzwoń dzisiaj wieczorem do Kapa i zaproponuj, żeby przyszedł o dziewiątej. Nie ma sensu zabierać Wirginii na spacer przed jedenastą. Będzie jeszcze za zimno, a ja mogę wtedy mieć dwie godziny dla Kapa.

Doris nie dała na tę propozycję bezpośredniej odpowiedzi. Odwróciła twarz do telewizora i powiedziała zmęczo-

nym głosem: — Dają jakiś męczący program kabaretowy. Zupełnie nie jestem w nastroju, żeby go oglądać. Chętnie jednak obejrzałabym coś dobrego.

— A co jest na innych kanałach?

— O, mój Boże, mecz koszykówki, wznowienie jakiejś sztuki i stary film, który już kiedyś widziałam.

Usiadła z robótką na drutach i nieszczęśliwa skupiła uwagę na ekranie telewizyjnym. Nie robiła jednak na drutach i Brade był pewny, że nie oglądała też telewizji.

W końcu odezwała się, widocznie zła na siebie, że już dłużej nie może milczeć na ten temat: — Czy wiadomo coś nowego w sprawie tego Raifa?

Brade spojrzął na nią znad rękopisu Kapa Ansona, (Zszedłby już dawno na dół do warsztatu w piwnicy, gdyby, szczerze mówiąc, nie potrzebował towarzystwa, chociażby nieszczęśliwej Doris.)

— Ten policjant znów przyszedł dzisiaj do mojego gabinetu — odpowiedział.

Usłyszawszy to, od razu podniosła na niego swe piękne oczy, szeroko otwarte ze zdumienia. — Co mówisz?

— Przyszedł oddać mi klucz od laboratorium. Ten, który był u Raifa. Zdenerwował mnie tylko tym swoim rozglądaniem się po pokoju.

— Czy mówił coś?

### III

— Jeśli chodzi ci o to, czy powiedział coś na temat morderstwa, to nie.

— A widzę, że ty nie masz zamiaru o tym zapomnieć? Nie możesz zostawić tego w, spokoju?

— Nawet jeśli to było morderstwo?

— Już stało się. Nie żyje jeden człowiek, i to raczej nieprzyjemny. Przecież nie przywrócisz go do życia.

— Jeszcze niezupełnie wszystko skończone. Jest pewna młoda dziewczyna, która chyba go kochała i miała za niego wyjść za mąż. Jest też matka, która, jak się dowiedziałem,

przeżyła już w swym życiu wiele tragedii i która wiele przeszła, by wykształcić syna.

— Nic im to nie pomoże, jeśli ty sobie napytasz kłopotów.

— Już jestem w kłopotach i przez cały dzień myślę, jak się z nich wykaraskać.

— Nikt oprócz ciebie nie podejrzewa morderstwa.

— A jak długo to potrwa? Już dzisiaj ktoś zastanawiał się, jak to możliwe, żeby Raif pomylił cyjanek sodu z octanem sodu. Osoba ta znajduje się, oczywiście, jeszcze pod wpływem szoku, ale gdy się uspokoi i zacznie na serio zastanawiać się nad tą sprawą... Inni chemicy w uczelni też się pewnie zaczną nad tym zastanawiać. A może któryś z nich pójdzie na policję? Czy koniecznie chcesz, żeby wisiało to nad naszymi głowami niczym miecz Damoklesa?

— Kto jest tą „osobą”, o której mówiłeś?

— Roberta Goodhue. To dziewczyna, z którą Raif miał się żenić.

— Może ona to zrobiła? Może puścił ją kantem? — Z desperacją snuła Doris przypuszczenia, prawdopodobnie kierowana intuicją.

• — o tym też myślałem — powiedział Brade. — Myśla-

112

łem już o wielu różnych rzeczach. — Odłożył kartkę rękopisu, którą trzymał w ręku, i rzekł: —; Posłuchaj Doris.

— Tak, słucham.

— Pozwól, że przeanalizuję to razem z tobą. Czy muszę koniecznie sam się nad tym zastanawiać? A może dostrzeżesz coś, czego ja nie widzę. Może ty znajdziesz jakieś wyjście z tej sytuacji.

Doris pochyliła głowę nad robótką. — Dobrze, jeśli już musisz o tym mówić, to mów.

— Myślałem, że uda mi się wszystko spisać — zaczął.— To był mój pierwszy odruch. Wszystko spisywać. Ale potem pomyślałam sobie: co będzie, jeśli ktoś znajdzie te świstki, znajdzie jakieś strzępki w koszu na śmieci albo dostrzeże popiół i zacznie zastanawiać się nad tym, co spa-

liłem. Chodzi mi o to, że żyję obecnie w stanie jakiejś niepewności. To jest... to jest nie do zniesienia.

— Po pierwsze — ciągnął dalej — jeśli założymy, że to było morderstwo, musimy dojść, kto je mógł popełnić. Mówiłem ci już wczoraj wieczorem, że to musiał być ktoś, kto znał się na chemii i kto wiedział, jakie metody stosuje Raif w swoich badaniach. Wszystko wskazuje na mnie, w ten sposób ja jestem tym najbardziej podejrzanym, ale jeśli mnie wyłączymy, to kto inny mógł tego dokonać? Jest jeszcze jedna osoba, mająca dostęp do laboratorium Raifa i możliwość dokładnego obserwowania jego pracy.

— Kto to taki?

— Gregory Simpson, który pracował w jednym laboratorium z Raifem. Powiada, że Raif nigdy ani słowem się do niego nie odezwał, co może być prawdą. Ale mimo to, Simpson mógł obserwować Raifa przy pracy. Mógł widzieć, jak Raif przygotowywał kolby z octanem i odstawiał je do swojej szafki.

8 — Powiew śmierci

113

— Nikt więcej nie miał takiej wspaniałej okazji jak on, ale inni, jak Charlie Emmett lub pozostali studenci, albo chociażby Kap Anson, jeśli już o tym mówimy, wszyscy ci, którzy kręcili się w, tej części budynku, mogli również to samo zaobserwować. Teoretycznie, jest też możliwe, że do laboratorium Raifa w czasie jego nieobecności dostać się mógł ktoś z zewnątrz, przejrzeć jego notatniki i dowiedzieć się dostatecznie dużo, by uknuć plan zabójstwa. Ale Jak widzisz, wszystko to jest mało prawdopodobne.

— Jeśli chodzi o metodę popełnienia morderstwa, to przede wszystkim ja mogę tu wchodzić w grę, jako główny podejrzany. Simpson jest drugi, ale znacznie dalej. Pozostali ludzie z tego piętra stanowią znikome prawdopodobieństwo, wręcz w ogóle nie wchodzi w rachubę, jeśli chodzi o popełnienie tej zbrodni.

— Dlaczego uważasz, że Simpson stoi znacznie dalej od ciebie w kolejności? — wtrąciła Doris. — Wydaje mi się, że miał równie dobrą okazję, jak ty.

— Ma zaledwie dwadzieścia dwa lata i brak mu motywu.

— Motywu ty możesz nie znać, przecież nie jesteś wszechwiedzący. A poza tym, ty też przecież nie miałeś motywu.

— Jest jednak coś, co mnie martwi. Gdy Raif zginął i zacząłem ludziom zadawać pytania...

Doris natychmiast zachmurzyła się. — Dlaczego zadawałeś ludziom pytania, Louis? To najgorsza rzecz, jaką mogłeś zrobić.

— Byłem bardzo ostrożny. Zresztą mówili mi o różnych rzeczach, chociaż ich o to nie pytałem. W każdym bądź razie wydaje się, że Raif mnie nie lubił lub bał się mnie, albo jedno i drugie. Nie jestem co do tego całkowicie pewny.

— Dlaczego miałby cię nie lubić?

— Widocznie niechęć do ludzi przychodziła mu z łatwością. Nie wiem, dlaczego właśnie mnie nie lubił albo dlaczego miałby się mnie bać. To zresztą nie ma żadnego znaczenia. Niezależnie od powodów, jakie miał, policja może to uznać za motyw do morderstwa. Mogą powiedzieć, że zrobiłem wiele dla tego chłopca, albo wydawało mi się, że zrobiłem, a on tymczasem okazał mi niewdzięczność; oczerniając przed innymi. Wpadłem we wściekłość, no i go wykończyłem.

— Ależ to szaleństwo.

— Policja może sobie pomyśleć, że nagle oszalałem. Czasami tracę panowanie nad sobą. Znany jestem z tego, że wrzeszczę na studentów, gdy zrobią coś idiotycznego. Raif wyszedłby ode mnie na pół żywy, gdyby ta sprawa z cyjankiem rzeczywiście okazała się wypadkiem, a on zdołał to jakoś przeżyć. Każdy wie, jakim gniewem potrafię wybuchnąć.

— Każdy to potrafi — powiedziała Doris. — Nie ulega jednak wątpliwości, że ktoś inny miał lepszy motyw niż zdolność do wybuchania gniewem od czasu do czasu.

— Jeśli o to chodzi, to jest taka jedna. Jean Makris.

— O, a jakież ona miałaby motyw?  
Brade opowiedział jej, co zauważył.

— Wydaje się — powiedziała Doris — że trzymacie na uniwersytecie niezłe ziółko.

Brade wzruszył ramionami. — Tak by się mogło wydawać. W każdym bądź razie Jean Makris miała motyw do popełnienia morderstwa, ale nie miała odpowiedniej wiedzy, żeby je w ten właśnie sposób popełnić.

— Ile tej wiedzy potrzeba, żeby zamienić jeden proszek na drugi?

— Nie chodzi o samą wiedzę, lecz także o pewność siebie. Przypuszczam, że ktoś, kto nie ma do czynienia z chemią, bałby się cokolwiek robić z cyjankiem, bałby się, że może dotknąć trucizny palcami. Z drugiej strony Roberta mogłaby mieć motyw i odpowiednią wiedzę w tym zakresie, gdyby została porzucona, jak powiedziałaś. Jednakże nie mamy podstaw do przypuszczeń, że Raif ją rzucił.

— Oczywiście — ciągnął dalej Brade zmęczonym głosem — mogą jeszcze istnieć motywy, o których nie mamy pojęcia. Ranke bardzo nie lubił tego chłopca. Pozostaje tylko pytanie, jak bardzo. A może miało to jakiś związek z ich kontaktami, o czym nie wiemy? Foster niemal go oblał na egzaminie. Czy kryło się za tym coś jeszcze?

— Gdybym była na twoim miejscu, nie przejmowałabym się motywami. W zasadzie nikt go nie lubił. Jeśli chodzi o motywy, znajdziesz ich dostatecznie dużo, gdziekolwiek spojrzysz — wtrąciła Doris i zaczęła znów robić na drutach.

— Motywy, owszem, ale chodzi o motywy wystarczające dla zamordowania człowieka. O, mój Boże, gdybyśmy zabijali ludzi tylko dlatego, że ich nie lubimy albo nie możemy ścierpieć, wkrótce wyludniłaby się nasza ziemia. Nie, nie ma sensu rozważanie drobnych motywów.

— Nonsens — przerwała Doris. — Przestań wykluczać innych, pozostawiając siebie jako jedynego podejrzanego. Właśnie drobne motywy bywają przyczyną większości morderstw na świecie. Jestem tego pewna.

— Ale...

— Nie zaprzeczaj mi, Louis. Wiem, co mówię. — Pociągnęła włóczkę i zaczęła robić na drutach szybko jak maszyna. — Mógłbyś równie dobrze umieścić na tej liście jeszcze jedną osobę, która nie lubiła Raifa Neufelda. Ko-

goś, kto żywił do niego niechęć z powodu drobnego incydentu, a jednak z tego powodu z radością by go zamordował.

Brade był zaskoczony.

— Kogo? — zapytał.

Doris pociągnęła z wściekłością za nitkę, która się zaplątała, i wyrzuciła z siebie, jedno słowo: — Mnie.

## Rozdział 10

Naturalnie, w pierwszym odruchu Brade chciał się rozeźmiać, ale ograniczył się tylko do okrzyku pełnego niedowierzania: — Ciebie?!

— Nie dziw się — odparła 2 miejsca Doris. — Mówię poważnie.

— Przecież nie możesz tego mówić na serio?

— Pamiętasz pewnie, jak Raif Neufeid był u nas w domu w zeszłe Boże Narodzenie. Przypominasz sobie?

— Tak, razem z innymi studentami. Wszystkich ich wtedy zaprosiliśmy — przypomniał sobie. — I wtedy zbił się twój wazon.

— -To także pamiętasz? Świetnie. Wobec tego, czy pamiętasz dokładnie, w jakich okolicznościach się zbił?

Brade wzruszył ramionami. — Raif go rozbił. — Powiedział to, bo taka tylko odpowiedź pasowała do kontekstu

rozmowy.

Doris spojrzała na niego zrozpaczonym wzrokiem, jakby chciała obudzić w nim wspomnienie tego okropnego wydarzenia. — Chodzi o sposób, w jaki go rozbił. To był mój wazon, Louis. Sama go zrobiłam na zajęciach z ceramiki.

— Wiem o tym, Doris.

Jednak Doris nadal rozpamiętywała swoją stratę. — Była to jedyna ładna rzecz, jaką mi się udało wykonać

w tej szkole. Miał akurat odpowiedni kształt, kolory dobrze wypalone i był mój własny. Nie kupiłam go. Zrobiłam go sama. — Znow odłożyła robótkę i druty na kolana. — Opowiadałam im o tym wazonie i potem pokazywałam. Były nawet moje inicjały na dnie.

— Pamiętam — powtórzył Brade, trochę już zniecierpliwiony, ale nie miał odwagi jej tego okazać. Wazon stał u nich w domu ponad pół roku i był obiektem zainteresowania na wszystkich przyjęciach, jakie wydawali. Doris bywała niby to zawstydzona z powodu tego wazonu i żartowała na temat jego asymetryczności. Jednocześnie czuła się z niego dumna, świadczył bowiem o tym, że ludzie, nie posiadający uzdolnień twórczych, potrafią czasem wykonać coś, co w końcu okazuje się wytworem talentu.

— Raif Neufeid stał obok tego stołu przy ścianie. — Doris wskazała na stół w pobliżu wielkiego fotela. Nic tam teraz nie stało, nic od czasu, kiedy zbił się ten wazon, i Brade nagle uświadomił sobie, że był to objaw żalu po utraconym wazonie.

— On stał tam właśnie i zaledwie poruszył łokciem, a wazon spadł rozpryskując się na drobne kawałki. — Wpatrywała się teraz w puste miejsce na podłodze, jak gdyby widziała znowu roztrzaskane kawałki. — Przez wiele dni próbowałam go znowu złożyć i zlepić. Nie mogłam. Za dużo było kawałków.

Brade stropiony powiedział: — Wypadki zawsze się zdarzają.

— To nie był wypadek i już najwyższy czas, żebyś o tym wiedział. Nic do tej pory nie mówiłam, ponieważ nie chciałam psuć twoich stosunków na uczelni. Ale teraz winowajca nie żyje i mogę to powiedzieć. To nie był wypadek. Akurat się t<sup>o</sup>ik złożyło, że w tym momencie spoj-

119

rzałam na niego. Widziałam, jak poruszył łokciem. Nie miał potrzeby nim ruszać. Po nic nie sięgał ani niczym się nie przestraszył. Wsunął spokojnie łokieć do tyłu, dostatecznie daleko, żeby to zrobić. I wcale nie odskoczył. Wszyscy inni odskoczyli i krzyknęli słysząc brzęk, ale on nie. Jak widzisz, spodziewał się tego. Zupełnie spokojnie obejrzał się za siebie, na rozbity wazon, i odstał na bok. Nie powiedział nawet przepraszam, ani wtedy, ani potem. Po prostu uśmiechnął się lekko. Naprawdę uśmiechnął się.



Moja rozpacz go uszczęśliwiła.

Brade potrząsnął niedowierzająco głową. — Wyolbrzymiasz to...

— Opowiedziałam ci dokładnie, jak to się stało. — Oczy jej płonęły, ale były suche. — I powiem ci jedno, Louis. Dla niektórych ludzi mogłoby to nie mieć istotnego znaczenia, po prostu wazon się rozbił i już. Ale dla mnie mogło to stanowić motyw morderstwa. Gdybym miała wówczas nóż pod ręką, Louis, wbiłabym mu go w serce i sprawiłoby mi to wielką radość. Zabiłabym go na miejscu.

Brade starał się ukryć w swym głosie wzburzenie: — Wydaje ci się tylko, że byś to zrobiła. Ale nawet gdybyś rzeczywiście miała nóż, na pewno byś go nie zabiła.

— O, przestań się wygłupiać, Louis. Zrobiłabym to z pewnością.

— Mogłabyś zrobić tyle innych rzeczy, Doris. Mogłaś wpaść w szal, nawymyślać mu, pobić. Nic takiego jednak nie zrobiłaś. Pamiętam, byłaś doskonale opanowana i wspaniale wypełniałaś rolę pani domu. Na koniec powiedziałaś wszystkim bardzo ładnie do widzenia i dopiero później...

— Z nim się wcale nie pożegnałam.

— Mimo to nie straciłaś panowania nad sobą. A jeśli

120

mogłaś powstrzymać się od wymyślań, powstrzymałabyś się również od zabicia go.

—' Nie. Nic by to nie pomogło, nawet gdybym mu nawymyślała. Nie tego chciałam. Powiem ci, co czułam do niego. Byłam zadowolona, gdy dowiedziałam się, że nie żyje. Przykro mi było i martwiłam się jedynie dlatego, że • my jesteśmy w to uwikłani, ale tylko dlatego. Minał już prawie rok i do tej pory mu tego nie wybaczyłam i jeszcze dzisiaj myślę, że zasłużył na to, aby zginąć. Taki człowiek zresztą może budzić nienawiść u wielu ludzi.

— No, już dobrze, Doris — powiedział Brade starając się przerwać rozmowę. — I tak przecież niczego w ten sposób nie dowiedziesz.

— Nie dowiodę? Staram się wykazać ci, Louis, że nic

nie wiesz o motywach. Nie masz pojęcia, z jakich powodów może jeden człowiek zabić drugiego człowieka. Skąd zresztą miałbyś to wiedzieć? To przecież nie twoja dziedzina. Sam pękałbyś ze śmiechu, gdyby jakiś detektyw, choćby nie wiem jak sprytny, przyszedł do twojego laboratorium i próbował ci wyjaśnić, jak masz prowadzić swoje badania. Dlaczego więc ty myślisz, że możesz być detektywem, chociaż jesteś tylko chemikiem? Nie masz odpowiedniego doświadczenia ani wiedzy i tylko przysparzasz sobie kłopotów. A więc przestań się tym zajmować. Przestań.

Brade milczał.

— Niech to będzie wypadek, Louis, a jeśli ktoś go zabił, trudno. Nie do ciebie należy wymierzanie kary.

Odwrócił się i wymamrotał pod nosem: — Muszę zadzwonić do Kapa.

Następnie Brade spędził dwie nieszczęsne godziny nad początkiem rękopisu Ansona. Ta część omawiała wczesne

121

lata kariery J. J. Berzeliusa, szwedzkiego chemika, który w swoim czasie był absolutnym władcą w chemii. W wielu gałęziach wiedzy, j ego wkład był olbrzymi, odkrył kilka pierwiastków, wymyślił termin „kataliza”, opracował symbole chemiczne, które są w użyciu do dzisiejszego dnia, i tak dalej.

Spośród wszystkich sławnych chemików Berzelius był największym bohaterem Ansona. Brade czytając rękopis zastanawiał się, jak dalece, choćby podświadomie, Anson utożsamiał siebie z Berzeliusem. W pierwszej połowie dwudziestego wieku nikt, oczywiście, nie mógł stanowić takiej potęgi, jaką był Berzelius w dziewiętnastym wieku. Nauka za bardzo poszła naprzód w ciągu tego czasu.

A mimo to, Berzelius również, jeszcze przed śmiercią, był świadkiem zamierania epoki, w której żył. Wynałazł on teorię rodnikową w chemii organicznej i trzymał się jej z wielkim zapałem i przekonaniem o jej słuszności, aż w końcu nagromadziło się tyle nowych negujących ją danych, że utrzymywała się ona jedynie dzięki osobistemu poparciu wynalazcy. Niezależnie od tego, w okresie starości Berzeliusa, coraz większe uznanie zyskiwały poprawniejsze pojęcia strukturalne w chemii organicznej, i w końcu, już po jego śmierci, wszechwładnie zapano-

wały w tej dziedzinie nauki.

Czy Anson także widział siebie w tym procesie? Czy uważał się za ostatniego wielkiego wyznawcę chemii „re-torty i kurka”, dopóki chłopcy od mechaniki kwantowej nie przejęli prowadzenia za pomocą swoich izomerów g i elektronów? " ;;

W końcu Brade odłożył na bok rękopis. Był zmęczony 't i przygnębiony. Doris wtrącała kilka uwag na tematy neu- ;

tralne, jak na przykład, że trzeba powiedzieć mleczarzo-

122

wi, by nazajutrz rano zostawił w skrzynce dodatkową bu-telkę mleka. Następnie Brade sprawdził, czy drzwi są zamknięte, czy gaz wyłączony w kuchni, i poszedł na górę

spać.

Zasnął szybko, ale był to sen niespokojny, wypełniony majakami.

Nagle stwierdził, że wpatruje się w swoją poduszkę. Pa-nująca wokół cisza i ciemność świadczyły o tym, że do rana jeszcze daleko. Uniósł głowę, by zobaczyć oświetloną tarczę małego budzika na nocnym stoliku. Było dziesięć po trzeciej.

Odwrócił poduszkę na drugą stronę i ostrożnie położył głowę na chłodnym płótnie. Następnie ułożył ramiona i nogi w pozycji, która wydawała się przynosić największe odprężenie. Z wołna przymknął oczy...

Nic to nie pomagało. Nie mógł zasnąć.

Lękał się tego. Zdarzało mu się to coraz częściej w ostatnich latach, gdy głowę miał przeładowaną różnymi kłopotami. Każdy drobiazg, trochę niewygodna pozycja, najlżejszy hałas na zewnątrz budziły go pośrodku nocy, między drugą a czwartą nad ranem. Wtedy leżał nie mogąc już zasnąć, a jego zmartwienia rosły i wydawały się przybierać rozmiary nie do przewyciężenia.

Czasami potrafił z tym walczyć; wiedział, że to wszystko mistyfikacja i figle wyobraźni. Wiedział dobrze, że wraz z nadejściem poranka i pojawieniem się słońca więk-szość tych straszliwych nocnych koszmarów minie bez śladu. Zdarzało się czasami, że potrafił skierować swoje

myśli na jakieś nowe planowane doświadczenie lub szkic wykładu. Zdarzało się też od czasu do czasu, że potrafił

123

pójść z książką do łazienki i czytać, dopóki znów go sen nie zaczął morzyć.

Bywały też chwile, kiedy brakowało mu tej siły do samoobrony i po prostu leżał na łóżku przytłoczony myślami.

Doris spała twardo. Światło z ulicy przedostawało się przez szczeliny w roletach i zasłony wydobywając z mroku zarysy jej twarzy.

Zawsze spała na boku, on zawsze na brzuchu. Brade czasami zastanawiał się, dlaczego ludzie w czasie snu przyjmują różne pozycje, dlaczego jakaś pozycja jest dla jednego wygodna, a dla drugiego nie. Czy to jedynie kwestia nawyku przyswojonego jeszcze w niemowlęctwie, czy też polega to na fizycznym zróżnicowaniu w rozmieszczeniu naczyń krwionośnych i zakończeń nerwów.

Przez chwilę starał się na tym zagadnieniu skupić swoje myśli, wyobrażał sobie różne eksperymenty w tym zakresie, wymyślał sztuczne teorie, które zdołałyby ukołysać go do snu... tak jak inni w tym celu liczą owce... Jednak wszystkie te myśli pierzchały szybko, ustępując innym.'

Po chwili jeszcze jedno zagadnienie nasunęło mu się na myśl: ciekaw był, czy śni jej się teraz ten wazon.

Wazon i łokieć. Dlaczego ten chłopak miałby to zrobić? Jeśli umyślnie i złośliwie rozbił wazon, to czy dlatego, że wiedział, jakie on ma znaczenie dla Doris? Że nie da się go żadnym innym zastąpić? Czy zrobił to, żeby jej sprawić przykrość, a w ten sposób i Brade'owi? Czy był to przejaw nienawiści Raifa do Brade'a?

Jak długo był już wtedy studentem Brade'a? Zdarzyło się to w Boże Narodzenie ubiegłego roku, a więc pracował już wtedy pod jego opieką około pół roku. Nie znał Doris.

124

Nigdy jej przedtem nie widział. Nie mógł przecież chcieć jej sprawić przykrości.

Tylko Brade'owi. To właśnie jego nienawidził i Jean

Makris miała rację.

A w takim razie, jaki mógł być motyw tej nienawiści?

Ludzie swobodnie rozprawiają na temat motywów, jak gdyby były to po prostu siły zaprojektowane z matematyczną dokładnością, ciągnące człowieka w tym czy innym kierunku, w pełni widoczne, dające się przewidzieć i podlegające analizie.

Jednakże tak nie jest. Doris miała rację. To sprawy bardzo skomplikowane. Co było motywem dla jednego, mogło nim nie być dla drugiego, tak jak wygodna pozycja do spania dla jednego, mogła komuś innemu być niewypowiedzianie przykra.

Jak rozplatać ten węzeł? Nie potrafił nawet rozpoznać motywów postępowania własnej żony, którą widywał codziennie. Wiedział o jej dążeniach do zabezpieczenia bytu, rozumiał jeszcze kilka mnych spraw, które wpływały na jej postępowanie. Nie mógł jednak dostrzec związku między rozbiciem wazonu a tą niemal niepokorną żądzą krwi.

Jeśli już o to chodzi, to jakie motywy kierowały nim samym? A co będzie, jeśli policja powie: Brade, pan jest mordercą. Pan miał motyw dla popełnienia tej zbrodni.

Jak mógłby się przeciwko temu bronić? Czy znał swoje własne motywy? A co będzie, jeśli powiedzą, że zrobił to z powodu wazonu Doris? Czy mógłby powiedzieć, że nie? Doris powiedziała przecież, że by go za to zabiła. Powiedzieliby, że zmusiła go do tego, żeby to dla niej zrobił, i przez prawie rok... przez prawie rok... przez prawie rok (myśli zaczęły mu się stopniowo gmatwać), przez pra-

125

wie rok spiskowali wspólnie, by zmusić go... Raifa... albo odtworzy wazon, albo... zaduszą go, otrują... przez...

O siódmej, zanim budzik zdążył zadzwonić, już nie spał. Pamiętał, że budził się w nocy, ale nie mógł sobie przypomnieć, o czym rozmyślał.

Poza tym, że dotyczyło to w jakimś sensie rozbitego wazonu.

Tuż przed przebudzeniem śniło mu się, że wazon stoi na stoliku przy ścianie, jak dawniej, tylko na całej jego

powierzchni rysowały się cienkie jak włoski linie, tam, gdzie rozbite kawałki zostały na powrót złożone. Doris krzyknęła, żeby nie dotykał, bo klej jeszcze nie wysechł. A te linie kleju były czerwone... jak krew.

I w tym momencie się przebudził.

Dopiero gdy brał poranny prysznic, wazon ostatecznie ulotnił się z jego myśli.

Kap Anson, zgodnie z telefonem Brade'a poprzedniego wieczora, przyszedł punktualnie o dziewiątej. Brade, już po śniadaniu i gotowy na przyjęcie gościa, wprowadził go prosto do swojej pracowni w suterenie. Anson odłożył laskę i usiadł na krześle. — Jak ci się czytało o starym Berzeliusie? — zapytał.

— Człowiek pewny siebie — odpowiedział Brade z wymuszonym uśmiechem.

— Miał prawo takim być. Czy wiesz, że nadano mu tytuł barona?

— Naprawdę?

— Omawiam to w jednym z dalszych rozdziałów. Było to w dzień jego ślubu. Ożenił się późno, z dziewczyną o trzydzieści lat od niego młodszą, a król Szwecji nadał

mu tytuł barona w prezencie ślubnym. Zajmuję się tym dość szczegółowo. Nie widzę powodu, dlaczego by historia chemii organicznej nie miała być jednocześnie historią chemików, ludzi, którzy ją tworzyli.

Brade nie był pewien, co wypadło w takim wypadku powiedzieć. Anson wyraźnie rozdzielał w swoim życiu chemię od chemików. Jego własne, prywatne życie nie mogło nigdy kolidować z jego pracą.

I Wszyscy wiedzieli, że kiedyś była jakaś pani Anson, ale już nie żyła i Anson mieszkał samotnie z gospożą, która o niego dbała. Wiadomo było również, że miał zamężną córkę, mieszkającą wraz z dziećmi gdzieś na Środkowym Zachodzie.

I Nigdy nie mówił ani o córce, ani o wnukach. Nie dlatego, że stosunki między nimi były oziębłe, ale po prostu (dlatego, że nie miały nic wspólnego z chemią.

I — Jeżeli sprawy osobiste mają wpływ na rozwój chemii organicznej — powiedział Brade — powinny bez wąt-

lpienia zostać omówione. Na przykład, nadanie Berzeliusowi tytułu barona było miarą uznania, jakim społeczeństwo tamtych czasów darzyło jego osiągnięcia naukowe. Chemia organiczna stawała się dziedziną dostatecznie ważną dla codziennego życia, by przynieść tytuł barona badaczowi tej dziedziny nauki.

Anson pokiwał powoli głową. — Trafnie to zauważyłeś. Dziękuję ci. Usunąłem pewne paragrafy dotyczące odkry-

cia selenu i całą sprawę analizy palnikowej. Zagadnienia te są oczywiście bardzo ciekawe, ale nie jest to chemia organiczna.

— Zgadzam się z panem — rzekł Brade. — Książka i tak będzie dość duża, nawet bez tego.

— Świetnie. Teraz bądź łaskaw spojrzeć na stronę

osiemdziesiątą drugą. Nie dotarłem jeszcze do teorii rodników, ale tu właśnie wydaje się być właściwe miejsce na jej omówienie...

W ten sposób pracowali nad rękopisem, z pochylonymi głowami, podnosili strony rękopisu i przekładali je gdzie indziej, odsuwali, to znów przysuwali, dopóki nie rozległ się głos Doris, ostentacyjnie uprzejmy ze względu na obecność Ansona: — Louls, zdaje mi się, że Wirginia już jest gotowa.

Brade spojrział znad rękopisu. — Dobrze, Doris. No cóż, myślę, że zrobiliśmy większą część z tego, co zamierzaliśmy zrobić. Może resztę zostawimy do przyszłego spotkania?

— Gdzieś się wybierasz? — zapytał Anson.

— Idziemy z Wirginią do ogrodu zoologicznego. Ma napisać jakieś wypracowanie z angielskiego w przyszłym tygodniu, a taka wycieczka dostarczy jej materiału, pozwoli przyjemnie spędzić czas, a poza tym, mam nadzieję, da chwilę wytchnienia jej matce. Ubiję trzy ptaki za jednym strzałem. — Uśmiechnął się lekko i wstał. Złożył wszystkie stronice rozdziału razem i postawił na nich Zszywacz jako przycisk. \*

Anson zebrał też swoje materiały. — Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym z wami poszedł? Jest jeszcze nad czym podyskutować.

— Cóż — Brade zawahał się nie wiedząc, w jaki sposób odmówić tak delikatnej prośbie. — Będzie się pan nudził.

Anson uśmiechnął się ze smutkiem w oczach i wziął do ręki laskę. — W moim wieku większość rzeczy jest nudna.

1.28

Był przyjemny, słoneczny dzień, niezwykle ciepły jak na tę porę roku. Choć słońce świeciło jak w lecie, nie było dużo ludzi i Brade pomyślał z pewną satysfakcją, że przynajmniej z tym dobrze się złożyło. Wirginia weszła do małpiarni, a Brade i Anson usiedli na ławce na zewnątrz.

Brade wpatrywał się bezmyślnie w klatkę ustawioną na wysokich palach pośrodku okrągłego trawnika. W klatce siedział stary, złocisty orzeł, który zachował jeszcze ospałą krwiożerczość w swych małych żółtych oczkach. Brade zastanawiał się, od jak dawna ptak jest więźniem w tej klatce.

Anson kupił sobie prażonej kukurydzy, położył na kolanach i z wyraźną przyjemnością chrupał ziarenka.

— Rozmawiałem wczoraj po południu z Littleby'm — powiedział.

— Tak? •

— Mówił mi o wykładach z bezpieczeństwa pracy, jakie chce wprowadzić. Ten stary .oszukiwiec twierdzi teraz, że już od bardzo dawna je planował.

— Tak, wiem o tym. — W zasadzie, wcale to Brade'a nie interesowało.

— A później pytał o ciebie.

Brade wyprostował się, nagle jakby zeszywniał. — O mnie?

— Dlatego właśnie przyprowadziłem cię tutaj. Z dala od twojej żony, jak widzisz.

— O co pytał?

— Nic specjalnego. Nic konkretnego. Odniosłem jednak wrażenie, że odnowią ci kontrakt na jeszcze jeden, ostatni rok. Otrzymasz przy tym zawiadomienie, żebyś



w ciągu tego roku poszukał sobie nowej pracy.

9 — Powiew śmierci

Rozdział 11

Wydawało się, że temperatura spadła, a słońce, choć świeciło wprost na ramiona Brade'a, wcale nie grzało.

. Głos Kapa Ansona dobiegał skądś z daleka, nawet swoje głosy ludzi wypoczywających w parku umknęły gdzieś w dal. Brade nie tyle się niepokoił o to, że zostanie przerwana jego dotychczasowa, długa linia życia, że wszystko mu się wyróci na opak — niepokoił się przede wszystkim o Doris.

Przepowiedziała to. Jak długo nie miał etatu, był na lasce Littleby'ego lub innego kierownika wydziału, który mógł go zawsze pozbawić stanowiska.

Brade z uporem twierdził, że nic takiego się nie stanie. Jego sytuacja rodzinna całkowicie opierała się na tej pewności.

Jak teraz będzie mógł spojrzeć Doris w oczy?

Nawet nie przyszło mu na myśl, że Kap Anson mógł się mylić, że mógł źle zrozumieć Littleby'ego. Wnioskowanie Ansona zgadzało się z niepokojem Brade'a. Czuł wczoraj rano, że Littleby przyjął go bardzo chłodno. A przecież to było rano, a potem tego samego dnia po południu rozmawiał z Ansonem.

— Czy to z powodu tego... — zaczął Brade i zatrzymał się w połowie. O mało co nie wypowiedział słowa „mor-

130

derstwo". Spróbował jeszcze raz: — Z powodu tego, co się zdarzyło?

Anson wyglądał na zakłopotanego. — Masz na myśli wypadek Raifa Neufelda?

— Tak.

— Nic nie mówił na ten temat. Dlaczego miałby istnieć jakiś związek między tymi sprawami?

Brade wzruszył ramionami i spojrzął w inną stronę.

— Chodzi raczej o wyniki badań naukowych — powiedział Anson. — Niezbyt dużo publikujesz.

— Publikuj albo giń. — W głosie Brade'a brzmiała gorycz.

— No cóż, wiesz o tym dobrze, to stara historia. Na tym opiera się reputacja naukowca, ona tylko ma wartość dla uniwersytetu. Reputacja człowieka zależy od jego wkładu w rozwój badań naukowych. A jego wkład mierzy się ilości publikacji.

— W takim razie — powiedział Brade — gdybym zgromadził wszystkie moje prace, spisał je razem, po kilka fragmentów wydzielał do opublikowania w tym lub innym czasopiśmie, gdybym z każdego etapu badań zrobił tuzin artykułów, przypuszczam, że wtedy dopiero zostałbym wielkim człowiekiem. Stąd wniosek, że osiągnięcia naukowe mierzy się tylko jego umiejętnością dzielenia swojej pracy na jak najmniejsze części.

— Co ty opowiadasz! — Stary chemik podniósł uspokajająco dłoń, pomarszczoną i pokrytą żyłami, i poklepał Brade'a po kolanie. — Gdy mówisz o ilości, nie trać z oczu jakości. Prace, które opublikowałeś w ciągu ostatnich dziesięciu lat, były staranne i kosztowały wiele czasu, ale nie stanowiły jakiegoś nadzwyczajnego wkładu do nauki. — Niemal zachłysnął się w uznaniu dla tego sformułowania

131

i nawet powtórzył je: — Nie stanowiły jakiegoś nadzwyczajnego wkładu do nauki.

— Nie miałem też nadzwyczajnych studentów — odrzekł rozdrażniony Brade i prawie natychmiast zawstydził się swoich słów. Nie miało sensu zrzucanie winy na innych.

Anson odpowiedział mu na to: — Słusznie. Ale czyja to wina?

— Co pan chce, żebym robił? Mam gryzmolić podania

o przyznanie dotacji, abym mógł za nie kupować studentów? Nie będę tego robił. Już dawno postanowiłem, że nie będę potulnie jeździł do Waszyngtonu z coraz to nowymi projektami, mającymi na celu wyłudzenie pieniędzy od

rządu. Nie mam też zamiaru dopasowywać moich badań naukowych do tego, co jest aktualnie modne. Badam to, co mnie interesuje, i na tym koniec. Jeśli to, co robię, warte jest dotacji ze strony społeczeństwa, przyjmę je, ale bez żadnych ubocznych warunków z tym związanych. Jeśli nie, to też dobrze. — Wyładował całą swoją złość i starał się przed samym sobą usprawiedliwić, gdy jeszcze raz danym mu było wysłuchać praktycznych argumentów, w świetle których był głupcem, bo stawiał znak równości między ubóstwem i cnotą, a dobrobyt uważał za grzech.

,— O, daj że spokój — powiedział Anson. — Wiesz dobrze, co myślę o tym wariactwie ze stypendiami, którymi jesteście związani. I wcale nie sugeruję, żebyś się w to wplątywał. Ale czemu jesteś taki zdenerwowany? Nie potrafisz znaleźć sobie innej pracy? — Mówiąc to wbił w Brade'a ostry, nieubłagany wzrok.

Brade nie chciał mu spojrzeć prosto w oczy. Cóż mógł powiedzieć? Czy mógł powiedzieć, że wchodzi tu w grę negatywne sprzężenie zwrotne? Że dotychczasowy brak awansu uniemożliwia awans w przyszłości? Po tylu latach

132

pracy na stanowisku adiunkta, przy każdorazowej możliwości awansu budziło się mnóstwo wątpliwości.

Dlaczego tak długo był adiunktem? Jakimi mieli zastrzeżenia wobec niego? Dlaczego przez tak długi czas nie otrzymał awansu?

W takiej sytuacji awans uzależniony jest od znalezienia odpowiedzi na te pytania.

Z roku na rok, gdy nie otrzymywał awansu, pytania te nasuwały się coraz bardziej natarczywie i coraz trudniej było znaleźć na nie odpowiedź.

A gdy będzie szukał nowej pracy, znowu pojawią się te same pytania. Problem nie polegał na tym, że jest już za stary, żeby znaleźć nową pracę, albo że nie jest dostatecznie dobrym chemikiem. Po prostu zbyt długo trwał na tym samym stanowisku.

Przed oczyma Brade'a szybko przesunęła się wizja uprzejmych rozmów, uprzejmych oprowadzań po różnych wydziałach chemii, uprzejmych uścisków dłoni przez pracowników wydziału, uprzejmych dyskusji na temat dotychczasowych badań, uprzejmej wymiany odbitek prac

naukowych i artykułów, w sumie wizja tylu uprzejmości, że chyba nie zdołałby ich strawić.

Cała ta uprzejmość sprowadzałyby się do faktu, że nikt nie zechce być na tyle nieuprzejmy, żeby zadać mu to jedno pytanie, które rzeczywiście miało jakieś znaczenie:

dłaczego był pan tak długo adiunktem, panie doktorze? Dlaczego uczelnia woli pana raczej zwolnić niż awansować?

Czy można odpowiedzieć: nie awansują mnie, ponieważ do tej pory mnie nie awansowali. Zwalniają mnie, ponieważ mają mnie dość i są zakłopotani, że nie otrzymuję awansu.

133

Nadal próbował spojrzeć Ansonowi w oczy.

— Mogę wykorzystać swoje wpływy — zaczął znowu Anson — żeby ci jakoś pomóc.

Co za wpływy? — pomyślał Brade z bezsilną goryczą. — O, Kap, Kap, jakie wpływy? Ma on wpływy tylko tutaj, na uczelni, ponieważ jest przeżytkiem, którego nikt nie chce urazić. A gdzie indziej? Gdzie indziej ceniono tylko prawdziwego Ansona. Prawdziwy Anson jednak już nie żyje. Minęły czasy, gdy dawał tak wielki wkład do chemii organicznej. Ten stary człowiek, który mieni się Ansonem, jest jedynie uzurpatorem, posiadającym od lat już tylko fizyczny związek z prawdziwym, rzeczywistym Ansonem; jego wpływy dawno już przeminęły.

— Jeśli wolałbyś zostać na uniwersytecie — powiedział Anson — mogę wpłynąć na nich, żeby cię zatrzymali. Masz czas do czerwca, kiedy będą musieli się zdecydować, czy dać ci wymówienie. Zrób coś do tego czasu.

— Zrób coś! — powtórzył Brade. — Ale co?

Anson uderzył laską o żwir, aż fontanna małych kamyczków podskoczyła z chrzęstem do góry. — Poddajesz się? Walcz, człowieku. Nie jesteś na uniwersytecie po to, żeby wegetować. Nauka jest walką! — mówiąc to zacisnął z wściekłości swoją starczą pięść.

Ależ ja jestem na uniwersytecie, żeby wegetować, stary człowieku. Dość już walk na świecie, za które zresztą dobrze płacą. Ja nie chcę walczyć.

Wirginia wybiegła z małpiarni. Proste, ciemne włosy, splecione w dwa ciasne warkoczyki, podskakiwały za nią nie dotykając nawet brązowego sweterka; w biegu rozpryskiwała na boki żwir.

— Tatusiu, czy mogę teraz pójść do gadów?

Brade podniósł wzrok i przez mgnienie oka jakby nie

134

poznawał swojej córki. W końcu powiedział: — Tak, oczywiście. Gdzie to jest?

— O, tam dalej. Widzisz ten napis?

— Czy chcesz, żebyśmy z tobą poszli, Wirginio? — wyciągnął do niej ręce opanowany nagłym, silnym pragnieniem, aby ją przytulić do siebie i znaleźć u tej małej istoty pociechę w strapieniu.

Nie zdając sobie jednak z tego sprawy i wpatrując się tylko w wejście do pawilonu gadów, dziewczynka usunęła się z zasięgu jego ramion i zawołała: — Mogę tam sama pójść. Za chwilę wrócę.

Pobiegła w podskokach w kierunku pawilonu. Miała jedenaście lat i była już zupełnie samodzielna.

— A co z pracą, którą Raif robił? — zagadnął Brade.

— Badanie kinetyczne? — Anson skrzywił się z niezadowoleniem, potrząsnął gwałtownie głową i rzekł: — Zapomnij o tym!

— Zapomnieć? Dlaczego? To przecież otwiera nowe możliwości w dziedzinie reakcji w chemii organicznej. Dodawszy do tej pracy kilka końcowych danych, ostatecznie potwierdzających tę teorię (nagle, gdy tak myślał głośno, zrodziły się w nim nowe nadzieje), mógłbym opracować rozprawę, która by narobiła wielkiego hałasu.

Pomysł ten jednak nie zdołał wykrzesać iskry zainteresowania u Ansona. — Jak zamierzasz dokończyć tę pracę? Przecież nawet nowy student, który by się do niej zabrał, nie uzyskałby dyplomu doktora na podstawie tylko dokończenia cudzej pracy.

— No, nie.

— Zamierzasz sam ją dokończyć, Brade?

Brade nie odpowiedział. Rozgarniał butem żwir, pozostawiając łatą wilgotnej, ubitej ziemi.

135

Anson ciągnął dalej: — Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie masz przygotowania do tego rodzaju pracy. — Pokiwał z powątpiewaniem głową. — Gdybyś przyszedł do mnie przed przydzieleniem mu tego rodzaju badań, przestrzegłbym cię przed nimi. Żaden profesor nie powinien dawać swoim studentom pracy badawczej, która wykracza poza jego własne umiejętności. Zawsze przestrzegałem zasady, aby wiedzieć i dokładnie rozumieć, co moi studenci robią. Gdyby któryś z nich nagłe zniknął, mogłem zawsze sam doprowadzić doświadczenia do końca. A teraz ty nie jesteś w stanie tego zrobić, prawda?

Brade zaczerwienił się. Z obowiązku przeglądał kopie notatek, jakie dostarczał mu Raif, ale daleko mu było do zrozumienia integracji i obliczeń konfiguracyjnej entropii.

— Myślę jednak, że mógłbym się tego nauczyć — powiedział Brade. — Nie jestem aż tak zarozumiały, mogę się jeszcze uczyć.

— Nie chodzi tu o zarozumiałość, ale po prostu nie masz na to czasu. Pozwól, że ci powiem, co powinienesz zrobić. — Anson położył delikatnie rękę na ramieniu Brade'a i po chwili Brade uświadomił sobie, że jego stosunek do starego profesora jest w tej chwili taki sam, jak jego własnych studentów do niego. — Gdybym był na twoim miejscu, zacząłbym wytyczać zupełnie nowy szlak. Znalazłbym dziedzinę, która by była tak nowa, tak słabo obsadzona, że musiałbym dokonać oszałamiających odkryć. Taką dziedzinę, której nie zaanektowali jeszcze ci faceci żerujący na dotacjach. Weźmy tego orła.

Brade spojrział w górę zdumiony. Oczy ptaka były zamknięte, skrzydła złożone. Dziób powoli otwierał się i zamykał, jak u starego człowieka mamroczonego przez sen.

— Co z nim? — spytał Brade.

136

— No, po pierwsze, jest mięsożerny. Jada tylko mięso. Małpy w tamtym pawilonie jadają wprawdzie owady, ale główne ich pożywienie to owoce i jarzyny. A jednak roślin-

nożerne małpy są blisko spokrewnione z mięsożernym człowiekiem, podczas gdy mięsożerny orzeł nie jest z człowiekiem wcale spokrewniony. Jakie to znajduje odbicie w chemicznej strukturze tych trzech stworzeń?

— Co to wszystko ma do rzeczy? — zapytał Brade.

— Mówię o biochemii porównawczej. O różnicach chemicznych pomiędzy różnymi gatunkami organizmów. Nieliczni ludzie, którzy zajmują się tymi sprawami, bardzo mało wiedzą o chemii organicznej. Ty byłbyś w posiadaniu specjalnej wiedzy, dzięki której mógłbyś wiele osiągnąć w takich badaniach, co? To by było urzekające. — Wskazał następnie na pawilon gadów. — Albo jakie są, chemicznie rzecz traktując, narządy trawienne pytona, który pożera zwierzę w całości, nie przeżuwać go, po czym spędza całe dni na trawieniu, a potem miesiące, zanim powtórnie zabierze się do jedzenia.

— Niestety — powiedział Brade, mimo woli uśmiechając się do siebie. — Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

— Właśnie o to chodzi. Powinieneś przetrzeć własną ścieżkę.

— Nie, o nie. To do mnie nie przemawia. Po prostu nic mnie nie ciągnie do pracy na zwierzętach.

Anson zmarszczył brwi. — Gdybyś się tym zajął, Brade, jestem przekonany, że mógłbym nakłonić Littleby'ego, by zrezygnował z zamiarów, jakie ma w stosunku do ciebie; albo przynajmniej dałby ci jakąś szansę w związku z nowym kierunkiem. Mógłby cię nawet awansować. Przypuszczam, że to całkiem możliwe.

137

— Dziękuję, ale nawet wtedy...

— Czy obawiasz się tylko dlatego, że jest nowe?

— Nie, ale to musi mnie interesować, a obecnie interesuje mnie właśnie kinetyka. Spróbuję dokończyć pracę Raifa. Przynajmniej spróbuję.

Anson podniósł się z miejsca. — Pójdę już sobie. Wiedz jednak, że popełniasz błąd.

Brade popatrzył za oddalającą się postacią z tak mie-

szanymi uczuciami, że absolutnie nie potrafił rozeznaczyć się w swoim własnym nastroju.

Biedny człowiek. Widać było wyraźnie, że odszedł wściekły. Nadal starał się rozdzielać tematy, dyktować dziedziny badań, którymi należało się zająć. Oczywiście, czuł wstręt do kinetyki i mechanizmów reakcji. Właśnie te dziedziny przesłoniły ongiś jego osiągnięcia.

Biochemia porównawcza?

Brade spojrzął jeszcze raz na orła i pomyślał: Co z tym fantem zrobić?

Poczuł lekkie podniecenie na myśl o tym problemie, ale wpłynęła na to jedynie obietnica Ansona, że wstawi się w jego sprawie. Ale wiedział przecież, że Anson nie mógł absolutnie nic wskórać u Littleby'ego. Brade był nawet tego pewny. Tylko jeden Anson nadal wierzył w swoje siły.

A praca zapoczątkowana przez Raifa?...

Brade ponownie uchwycił się nikłego cienia nadziei, jaka mu zaświtała przed chwilą, ale nadzieja ta była złudna. Oczywiście, gdyby przeczytał książkę Ranke'ego z kinetyki...

Dość często jednak widywał tę książkę i zdawał sobie sprawę, że musiałyby wiele pracy włożyć, aby rzeczywiście znać się na kinetyce; być może nawet nie podołałby temu.

138

Siedział na ławce czekając na Wirginię i czuł się bardzo samotny.

Wrócili do domu około czwartej. W całym mieszkaniu panowała atmosfera porządkowania. Doris w czasie nieobecności męża i córki odkurzyła i sprzątnęła mieszkanie, tak że przybrało ono nieco fantastyczny wygląd.

Doris, jeszcze zajęta, zerknęła na nich i spytała Wirginie: — Przyjemnie było?

— Wspaniale — ' odpowiedziała Wirginia streszczając pracowite sześć godzin w jednym wyrazie.

— Co jadłaś na lunch?



Wirginia zaczęła wyliczać na palcach: — Zjadłam dwie parówki i dwie bułki, lody, pudełko sucharków, butelkę l wody sodowej i torebkę orzeszków, i... i... i to wszystko.

— To wszystko! — zawołała Doris przerażona. — I jak ; się po tym wszystkim czujesz?

Wirginia mrugnęła wesoło i wyznała: — Nie jestem l głodna.

— A ty jadłeś coś? — zapytała Doris męża.

) — O, nie martw się o mnie.

— Dlaczego nie? Wyglądasz strasznie. Co się stało? A może i ty zjadłeś dwie parówki, lody i tuzin różnych innych świństw, tak jak Wirginia? Dlaczego nie poszłście i na normalny lunch? Czuję, że zamiast kolacji dostanie •' tylko coś na przeczyszczenie.

— Nic jej nie będzie — powiedział Brade. — Dzieci mają strusie żołądki. Poza tym każde od czasu do czasu ma prawo do bólu brzucha.

— O, mój ty filozofie — powiedziała sucho Doris. — Tylko na tym polega różnica, że nie ty będziesz przy niej siedział przez całą noc. Teraz idź się ogolić i porządnie 'sobie wyczyść buty, te brązowe. Wyjęłam już twój gar-

139

nitur i koszulę, a o wpół do szóstej pójdziesz po Nadine, żeby została z Wirginią. Na pewno jadłeś coś? Wyglądasz jakoś blado. Co się stało?

— Obawiam się, że uraziłem Kapa — odpowiedział Brade.

— To rzeczywiście straszne — rzekła Doris pogardliwie. — Warto psuć sobie z tego powodu humor na cały dzień! Cóżes tym razem zrobić?

— Dawał mi rady odnośnie dalszego toku moich badań — powiedział Brade ostrożnie — a ja nie całkowicie się z nim zgadzałem.

— Przecież już nie jesteś jego studentem. Najwyższy czas, żeby to sobie uświadomił.

— Tak, oczywiście, że masz rację.

Doris usiadła. Była w halce i miała lokówki we włosach. Zapaliła papierosa, a po chwili zapytała: — Czy to wszystko?

— Jakie wszystko?

— Czy to wszystko, co się zdarzyło?

Brade zawahał się na ułamek sekundy, po czym zdecydowanie odparł: — Nic więcej się nie zdarzyło i nie uczynaj tego swojego śledztwa.

— Coś mi się nie wydaje, żebyś miał wielką ochotę na to przyjęcie dzisiaj wieczorem.

— Nigdy nie miałem na nie ochoty, Doris. Czy kiedykolwiek udawałem, że jest inaczej? To przecież nudna konieczność.

, — Dlaczego nie wyzyskasz dla siebie tej nudnej konieczności? Przecież będziesz mógł porozmawiać z Littleby'm.

— O czym?

— Jak to o czym? O swoim awansie.

140

Brade przesunął językiem po wargach: — Doris, tego | się nie da zrobić. Po pierwsze, nie omawia się spraw administracyjnych na tego rodzaju spotkaniach, a po wtóre, | to nie jest sprawa, o której można by dyskutować.

| — Chcesz powiedzieć, że tylnie możesz dyskutować...

| — Ponadto — zakończył Brade niezręcznie — jeszcze | nie pora na to. Teraz, kiedy Raif został otruty...

| — Czy jest jeszcze coś na ten temat, czego mi nie | wiedziałeś? Coś nowego? — zapytała Doris.

— Nie, nic nowego — odpowiedział wystraszony Brade.

— Jesteś pewny?

— Tak.

A potem — zupełnie nie na temat — Doris oznajmiła ? nagle; — Dzwonił Foster.

l.. — Foster? Nasz Foster?

t — Profesor Merrill Foster, który wykłada dla zaawan-

sowanych, co właśnie ty powinieneś robić. Czy taka prezentacja ci wystarczy?

I — Dobrze już, Doris, dobrze. Nie mam nastroju, aby docenić twoje ironiczne uwagi. Dzwonił Foster. Zostańmy przy tym. Czego chciał?

— Chciał z tobą rozmawiać.

— O czym znowu, u licha?

— Nie powiedział. Wydawał się jakby zdenerwowany, że to właśnie ja odebrałam telefon, i chciał się upewnić, że przyjdiesz dziś wieczorem do Littleby'ego.

I — Hm, jak myślisz, czego on może chcieć ode mnie?

— Nie wiem, ale jedno mogę ci powiedzieć. Mówił tak, jakby mu było strasznie wesoło. Wyczuwało się w jego głosie podniecenie, a znając Fostera, powiedziałabym, że ma dla ciebie, Louis, tylko złe wieści.

## Rozdział 12

Zła wieść? Co jeszcze może usłyszeć w najbliższych dniach? A może to ta sama zła nowinka, którą przyniósł mu już Kap Anson? Tylko że jeszcze raz potwierdzona, wygładzona, upiękuszona błyskotliwymi słówkami?

Brade już jakoś zdołał się opanować. — Przestań krakać, Doris — powiedział. — Jeśli to Foster, nie może to być nic szczególnego, pewnie usłyszał jakąś świńską historyjkę i chce mi powtórzyć. Mam chyba jeszcze pół godziny na drzemkę, więc zostawmy tę sprawę w spokoju.

Rozebrał się i położył, ale nie zmrużył nawet oka. Gniew w nim aż kipiał. Potrafił zrozumieć, że Littleby omawiał tę sprawę z Kapem Ansonem. Anson to stary pracownik wydziału, wybitna osobistość, ponadto dzięki jego wstawiennictwu Brade uzyskał pracę na uniwersytecie. Ale żeby omawiać tę sprawę z Fosterem?

„Obmacywacz”, pomyślał o Fosterze z nagłą zjadliwością.

Wpatrywał się w sufit, jak gdyby rozpostarto na nim biały ekran, na którym przewija się film z jego wspomnień. Przypomniał sobie dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczył Fostera. Był on wtedy jeszcze bardzo młody, nie miał chyba trzydziestu lat, świeżo po studiach na jakiejś

Oprowadzano go po laboratoriach, przedstawiano pracownikom wydziału i od samego początku sprawiał wrażenie,

że jest wielki, choć fizycznie wcale taki nie był. Stwarzał atmosferę jowialnej pewności siebie, orientował się w zakresie badań każdego pracownika i rozprawiał o tym z taką znajomością rzeczy, jakby to wszystko znał doskonale, jakby się wcale nie przygotowywał, chociaż

bez wątpienia musiał to właśnie zrobić.

Zachowywał się tak, jakby cały świat do niego należał. Właśnie za to Brade go nie lubił i robił, co mógł, żeby mu

- uświadomić niewłaściwość postępowania, nawet wówczas, gdy Foster zrobił szybką karierę na wydziale i objął równorzędne mu stanowisko.

Doris od samego początku go nie cierpiała. „Brak mu ogłady i wcale nie wydaje mi się zabawny” — tak o nim kiedyś powiedziała.

Niewątpliwie był źle wychowany. Z lubością opowiadał przeróżne żartobliwe historyjki, a robił to, trzeba przyznać, mistrzowsko. Utrzymywał zawsze nastrój kpiarskiej zalotności, nawet w stosunku do osób poważnych. Przewracał oczami do sekretarek, laborantek, a także do studentek z wyższych lat. Miał też zwyczaj, niby to przypadkowo, obejmować kobiety, które koło niego stały.

Wydawało się, że nikogo tym nie uraża. Przynajmniej, jak Brade sięgnął pamięcią, żadna kobieta nigdy go nie skrzyczała, nie spoliczkowała ani nie poskarżyła się do Littleby'ego. Czasami nawet Brade zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje. Czyżby Foster posiadał w sobie jakiś zwierzęcy magnetyzm, który tak przyciągał do niego kobiety?

Z przyjemnością dowiedział się kiedyś, zresztą zupełnie przypadkowo, że Merrill Foster zdobył sobie przezwisko,

znane każdej studentce chemii — „Obmacywacz” Foster.

Brade wymówił teraz bezgłośnie: „Obmacywacz” Foster. Tak, takie przezwisko przedstawia go we właściwym świetle.

Dlaczego Littieby musiał omawiać tę sprawę właśnie z Fosterem? Jeśli już chcą go zwolnić, przynajmniej mogliby zatroszczyć się o jego godność osobistą. Na tyle chyba zasłużył.

Przymknął oczy. Gdyby jednak do tego doszło, gdyby miał zostać usunięty w taki sposób, gdyby wszyscy' mieli się z niego naigrawać, znalazłby odpowiedni sposób, żeby się zemścić. W tej chwili uważał, że najbardziej istotne jest skończenie pracy Raifa. Potem poszuka sobie innej posady, opublikuje tę pracę i zrewolucjonizuje naukę, już w nowej instytucji. Niech gdzie indziej dzielą z nim jego zwycięstwo... -

Był w tej chwili na pograniczu jawy i snu, a plany zemsty przybierały różne, najbardziej fantastyczne kształty. Nagle marzenia jego przeciął rzeczowy głos Doris: — Myślę, że czas już się ubierać.

Littieby mieszkał na przedmieściu I w starej dzielnicy, gdzie domy pozostały w stanie nienaruszonym i czujnie strzeżono je przed naporem nowoczesnych projektów budowlanych. W ten sposób utrzymywano społeczny standard tej dzielnicy i niski podatek od nieruchomości.

Littieby wkuł się w tę społeczność jakieś dziesięć lat temu i obecnie był właścicielem domu, który zachował urok staroświeckości, osobliwy, ale nie pozbawiony wygód. Boazerie i cała stolarka, szerokie schody i wysokie pokoje nasuwały wspomnienia dni, gdy robocizna była

tania, a te dodatkowe elementy dekoracyjne stanowiły prawdziwą oznakę zamożności.

Tam, gdzie aura dawnych dni mogła wydać się mniej przyjemna, wzywano na pomoc nowoczesną technikę, tak że kuchnie i łazienki zostały całkowicie unowocześnione przez zastosowanie nierdzewnej stali i barwnej glazury, a w obszernych piwnicach pojawiły się pralki, suszarki i inne rekwizyty współczesnej czystości.

Pani Littieby przyjęła ich w drzwiach (w dawnych czasach, kiedy jeszcze istniało coś takiego jak służba domowa, bez wątplenia zastępowałby ją w tym starszy lokaj). Była niską kobietą, nie posiadającą powszechnie uznawanych cech arystokratycznego pochodzenia. Mysiobure włosy, jeszcze nie całkiem pokryte siwizną, miała starannie ułożone, choć wcale nie było tego widać. Oczy jej zdawały się jak gdyby stworzone do okularów, ale ich nie

nosiła. Miała na sobie jakąś sukienkę tak pozbawioną smaku, jakby chciała w ten sposób wyróżnić się spośród swoich gości.

Była zawsze bardzo miła i troskliwa dla gości. Nigdy nie zapomniała ich nazwisk, tytułów ani ostatecznie zdobytych wyróżnień. Nie można jej było nie lubić, chociażby z tego powodu.

— O, panie doktorze — powiedziała do Brade'a z ciepłym uśmiechem. — Jak miło, że pan przyszedł — a do jego żony: — Co za czarująca suknia! Gdyby państwo zechcieli położyć w tym pokoju płaszcz i kapelusze. 'Panie doktorze, jakże się zmartwiłam tym nieszczęśliwym wypadkiem. Powiedziałam profesorowi (profesor to, oczywiście, jej mąż), że ten młody człowiek, biedaczysko, wyrwał się z tego padołu cierpienia. Ale jakie to nieszczęście dla jego bliskich, a opiekujący się nim profesor jest w

pewnym sensie jak gdyby członkiem rodziny. Zawsze tak uważałam. Cóż, nawet przez chwilę zastanawiałam się, czy nie należałoby odłożyć naszego dzisiejszego spotkania, ale wiem przecież, że wielu naszych gości miało ochotę dzisiaj przyjść...

Brade wymamrotał coś potwierdzającego, po czym uśmiechając się i przytakując głową wycofał się z zasięgu słów pani domu, która zamieniła jeszcze kilka zdań z Doris, a następnie skierowała swoją uwagę na nowych gości.

Ledwie Brade wydostał się z hallu, usłyszał głos Fostera. Mężna go było od razu rozpoznać po sposobie mówienia. Głos jego bowiem górował ponad wszystkimi. Nie wiadomo, czy barwa tego głosu, czy też wysokość sprawiały, że jak gdyby przesywał człowieka na wskroś.

Foster stał w pobliżu stołu z zakąskami i w czasie rozmowy beztrudnie się pożywiał. Coraz to podnosił coś do ust z ogromną zręcznością i wprawą nie przerywając rozmowy ani na chwilę.

Yardley i Gennaro, dwaj asystenci, stanowili jego bezpośrednie audytorium, co bez wątpienia dogadzało Fosterowi. Łatwiej okazać swoją wyższość wobec młodych ludzi, łatwiej nadawać ton rozmowie i kierować nią.

Foster mówił: — Jedyne inny przypadek, jaki znam, dotyczył Wakefielda z Południowej Nebraski. Ożenił się ze studentką, swoją własną doktorantką. Miał ich pod opieką pięć czy sześć, ale właśnie wybrał sobie tę jedną.

Całkiem niebrzydka, wprawdzie zbyt mało zaokrąglona jak na mój gust, ale poza tym niczego sobie. Właśnie miałem tam kurs wakacyjny i stąd znam tę historię,

• — Wakefield był kawalerem, może miał wtedy ze czter-

146

dzieści lat. Nawet przystojny, ale za to typowy stary kawaler, taki, o którym powiedzielibyście, że chyba nigdy się nie ożeni. Chodzi mi o to, że wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, że nigdy w żadnym naukowym czasopiśmie nie wyczytał, po co są dziewczęta i jak się z nimi obchodzić, i pewno myślał, że dziewczęta to też chłopcy, tylko tak śmiesznie ubrani.

W tym miejscu zrobił przerwę, jak ktoś doświadczony, kto wie, kiedy należy oczekiwać śmiechu. I wcale się nie zawiódł. Zachowując powagę, jednak wyraźnie zadowolony z uznania, z jakim spotkała się jego wypowiedź, podniósł do ust szklankę i powoli sączył cocktail.

— Wreszcie jednak — ciągnął dalej — facet ten przeczytał widocznie jakieś czasopismo, i to nie chemiczne, w którym pisano coś o dziewczętach. Albo może jakiś kumpel wziął go za stodołę i narysował mu to i owo, bo facet ni stąd, ni zowąd sprosił do siebie do domu cały wydział i ogłosił zaręczyny. Była tam też ta jego dziewczyna, cała w uśmiechach i rumieńcach. A później wzięli ślub. Byłem na ich weselu.

— Kiedy to było, Merrill? — zapytał Gennaro. Foster nałożył sobie pasty z krewetek i wydał w zamyśleniu pełne, mięsiste wargi. — Jakieś dziesięć lat temu. Słyszałem zresztą ostatnio, że ciągle jeszcze są małżeństwem. Ale... — w tym momencie wciągnął powietrze, jakby nabierając długiego oddechu — o co mi chodzi. Jest studentka, którą uważasz za całkiem przyjemną i postanawiasz załatwić sprawę legalnie i ożenić się z nią. W porządku. Ale jak masz do tego doprowadzić? Przecież zanim człowiek dojdzie do etapu obrączek, wpierw się zastanawia: a może to ta? Czy nam będzie dobrze? Czy to właśnie to? Jak to stwierdzić?

147

— Wydaje mi się — powiedział Yardley w zamyśleniu (był bardzo solidnym młodzieńcem, ale zastanawiał się długo, gdy miał coś powiedzieć, i chyba właśnie z tego powodu kiepsko się zapowiadał jako wykładowca) — że jest

ku temu wiele sposobności. Mogą na przykład chodzić razem na seminarium, a potem umówić się na obiad, żeby wspólnie zastanowić się nad jej badaniami naukowymi.

— O, do diabła! — wykrzyknął pogardliwie Foster. — Nie zrozumiałeś, o co chodzi. Przecież nie o przebywanie razem i pogaduszki. Chodzi o to, kiedy ma po raz pierwszy mocniej ucisnąć jej rękę. Kiedy ma ją pocałować albo jeszcze coś. Bo jeśli zacznie krzyczeć i wzywać na pomoc policję, to jest zrobiony na szaro. Moralne zepsucie. Nawet nie utrzyma swojego etatu. A poza tym narażony jest na jeszcze jedno ryzyko. Założmy, że zacznie się koło niej kręcić, a później dojdzie do wniosku, że mu się wcale nie podoba. Wtedy co? Nadal będzie przecież jego studentką. Jak ma się jej pozbyć? Jak ma...

W tym miejscu nagle przerwał, ponieważ zbliżyła się do nich szczupła, ciemnowłosa młoda osoba; wyglądała bardzo młodo i była bardzo nieśmiała. Powiedziała coś niemal- szeptem, a jednocześnie głos Fostera nabrał jakiejś miękkości, jak gdyby nagle wszedł w skórę zupełnie innego człowieka. Powiedział do niej: — Tak, kochanie — skinął jej głową i dziewczyna oddaliła się.

Brade znał ją, oczywiście. Była to Joan Foster, żona Merrilla. Zazwyczaj chłodna w obejściu, zachowywała się z subtelną elegancją, podczas gdy Foster był hałaśliwy i grubiański. Mimo to, jego zachowanie jakby wcale jej nie denerwowało, on zaś nie zmieniał stylu, nawet gdy była przy tym obecna. Chyba że mówił coś do niej bezpośrednio.

148

Do licha, pomyślał Brade z nagłym obrzydzeniem. Ze też ten człowiek musi tak demonstrować swój brak ogłady towarzyskiej, wyrażać się żargonem niewykształconego motłochu, wygłupiać się... podczas gdy każdy doskonale wie, że jest wykształconym, kulturalnym chemikiem. Dlaczego podrywa inne dziewczęta, mimo że ma taką żonę, którą przecież uwielbia, co nie jest nawet tajemnicą dla podrywanych dziewcząt.

Podrywacz, pomyślał Brade i uśmiechnął się mimo woli. I on potrafiłby być równie uwodzicielski jak Foster. Prawdopodobnie każdy to potrafi. Ale Foster robił to głośno. Na tym polegała różnica.

Foster mówił dalej, podejmując temat w miejscu, w którym przerwał: — A więc cała sprawa polega na umie-



jętności w podrywaniu. Cóż taki świeżo upieczony profesor może wiedzieć na temat podrywania? Albo w wypadku, gdy cała masa frajerów zaczyna... — Przypadkowo obrócił głowę pod takim kątem, że wzrok jego padł na Brade'a. Natychmiast rozpromienił się w uśmiechu... — Ależ to ty, Louis. Przysłuchiwałaś się?

— Owszem, słyszałem cię — zaczął ostrożnie Brade.

— To świetnie. Wobec tego zakończ dyskusję. Znasz się na tym zagadnieniu. Jesteś przecież wielbicielem płci pięknej. — Mrugnął przy tym znacząco do młodych asystentów, którzy uśmiechając się, powstrzymywali się od uczestniczenia w tej potyczce słownej między profesorami. — Opisz kolejne posunięcia tej szczególnej partii szachów, które doprowadziłyby do zwycięskiego mata na ślubnym kobiercu.

— Jeśli to zagadnienie — odpalił Brade — dotyczy rozgrywki między studentką i profesorem, a twoje doświadczenia są niewystarczające w tej dziedzinie, to nie

149

mam pojęcia, kto na świecie mógłby się na tym znać lepiej.

Ten i ów się uśmiechnął, natomiast Foster wybuchnął gromkim śmiechem. Klepał się po biodrach i aż potrząsał głową z radości. Oczywiście, jego reakcja była znacznie silniejsza, niż należało oczekiwać, ale jak sobie nagle Brade uświadomił, był to jeden z sekretów Fostera. Zawsze śmiał się do rozpuku z dowcipów na swój temat. A ponieważ tak sportowo przyjmował dowcipy o sobie, więc potem mógł odpłacać pięknym za nadobne.

Śmiech taki, przy dużej wprawie, mógł być nawet, rzeczowistym śmiechem.

Foster po chwili opanował się i nagle poufnym szeptem zwrócił się do Brade'a: — A propos, Louis, masz teraz \_ chwilkę czasu?

Brade tylko pomachał komuś ręką w uprzejmym powitaniu i ruszył w przeciwną stronę, rzucając do Merrilla zdawkowe: — Jeszcze się zobaczymy później.

Foster został sam pośrodku pokoju, a jego tajemniczy szept trafił w próżnię.

Pokój powoli się zapełniał, aż wreszcie otwarto podwójne drzwi wiodące do jadalni. Dwaj służący, zajęci dotąd ustawianiem potraw na stole, zniknęli i goście z talerzami ustawili się w kolejce po plastry szynki i sera, po kotleciki i makaron, fasolkę po bretońsku i sałatkę z kapusty, a później po ciasto i filiżanki z kawą.

Brade unikał Littleby'ego, gdy przechodził przez pokój, a kierownik katedry mógł go nawet nie zauważyć. I chyba tak było, bo inaczej, bez względu na okoliczności, Littleby przynajmniej by się uśmiechnął, choćby nawet mechanicznie.

Brade znalazł się w pobliżu Otto Ranke'ego, którego

otaczała niewielka grupka osób, i tu postanowił się przyłączyć. Rzucił szybkie spojrzenie do tyłu — Foster nie szedł za nim.

Świetnie. Nie był po prostu w nastroju, żeby wysłuchiwać, jak oplakuje go i grzebie za życia człowiek, który w końcu ma tylko skorzystać na tym całym interesie. Było przecież oczywiste, że adiunkt Merrill Foster jakąś korzyść z tego wyniesie. Bardzo szybko zdobywał sobie pozycję. Potrafił walczyć o swoje prawa, potrafił bezczelnie rozpychać się łokciami, co Brade'owi nawet by na myśl nie przyszło. A na przeszkodzie do kariery Fostera stał właśnie Brade. Littleby mógł nie mieć ochoty (albo powiedzmy nie miał ochoty) do wywyższania młodego pracownika ponad starszego. Ale gdy tylko Brade odejdzie, Foster szybko doczeka się awansu.

Brade wzdrygnął się. W końcu uniwersytet jest częścią całego świata. Obrośnięte bluszczem stare mury nie stanowiły granicy oznaczającej koniec dżungli. Była to po prostu tylko linia w wyobraźni, oddzielająca jedną dżunglę od drugiej, z jeszcze większą dżunglą pośrodku.

Zabezpieczenie na starość? Brade zauważył, że rozmawia z panią Gennaro, młodą i bardzo uprzejmą, jak przystało żonie asystenta. Prawdopodobnie niedawno po ślubie, może nawet nie miała kolegi, w każdym bądź razie widać było w załoczonej dostojeństwem nowej pozycji znalazła jakieś zabezpieczenie w tym

Coraz wyraźniej docierał do niego głos Ranke'ego. Fizykochemik zwagał go osób z wielką pasją: — Bo Brade nie dał mówić. — Choroba. Ale co tr

uczni sądzą, że choroby'aw^'

wagi humorów w organizmie człowieka. Gdy Pasteur stwierdził, że choroby wywołane są przez pasożytnicze mikroorganizmy żyjące w ciele ludzkim, wyśmiano go i zwymyślano, ale, do pewnego stopnia, miał rację. Proszę także na jedno zwrócić uwagę, że nie był lekarzem, lecz chemikiem. Lekarze śmiali się z jego teorii i dopiero niezbita fakty mogły ich przekonać, jaka jest prawda.

— Obecnie lekarze myślą o chorobach w kategoriach bakterii i wirusów, ale nadszedł czas, by ich chwycić za uszy i zmusić, aby spojrzeli wreszcie prawdzie w oczy. Wiemy już, że przyczyną choroby mogą być nie tylko jakieś tam bakterie, ale również brak jakiegoś składnika chemicznego. Niedobór jakiegoś składnika odżywczego lub jakiejś witaminy, jakiegoś szczególnego aminokwasu lub minerału, wrodzony lub nabyty brak jakiegoś hormonu lub enzymu, wszystko to prowadzi do chorób przemiany materii, które obecnie, kiedy większość chorób zakaźnych została już opanowana, nabierają coraz większego znaczenia.

— Nadeszła pora dla nowych uogólnień. Wszystkie choroby wynikają z modyfikacji cząsteczek białka. Modyfikacje te mogą być skutkiem wadliwej reprodukcji białka i wtedy mamy do czynienia z mutacjami. Do ciała ludzkiego mogą przedostać się też inne organizmy i wytworzyć zmodyfikowane białka, tak jak to się dzieje w wypadku chorób wirusowych, albo mogą wytworzyć toksyny modyfikujące białko, co ma miejsce w wypadku zaatakowania organizmu przez bakterie.

— Musimy skoncentrować uwagę na układzie genetycznym. Wszelkie życie zależy od jąder białka, a choroby świadczą o istnieniu w organizmie niewłaściwych białek. W badaniach nad jądrami białka — podniósł głos, a temat

152

coraz bardziej go porywał — nie możemy opierać się na biochemikach. Wiedzą za mało, a niektórzy lekarze są po prostu beużyteczni. Białko należy badać metodami fizykochemicznymi. Powinni to robić ludzie wyszkoleni w dyscyplinie chemii fizycznej i co więcej, w bardzo zaawansowanej chemii fizycznej.

— Zwróciłem się do Służby Zdrowia z podaniem o dotację na przeprowadzenie szczegółowych badań nad białkami. Potrzebuję dwieście tysięcy dolarów. To duża suma,

I tak, ale proponuję przeprowadzenie niezmiernie ważnych ! i rozległych badań. Kwestionują mi tę sumę. Usiłują mnie "przekonać, że pięćdziesiąt tysięcy dolarów wystarczy. Pięćdziesiąt tysięcy. A dlaczego? Ponieważ warunkiem. stypendium jest powiązanie badań z etiologią raka. Automatycznie oznacza to, że rozpatrują to faceci od patologii. A co, u diabła, ta banda patologów wie o raku? Może mi to powiecie? Co, u diabła...

Brade odwrócił się od mówcy. Cel mógł być inny, ale stosunek był wyraźny. Był to stosunek przemysłowca zarzucającego się na subsydia rządowe jeszcze przed wszczęciem jakichkolwiek transakcji. Nie różniło się to niczym od...

Niemal podskoczył, gdy nagle ktoś dotknął jego ramienia. Spojrzał za siebie. Był to Foster z wyrazem powagi na szerokiej, rumianej twarzy.

Schwycił Brade'a za rękaw. — Słuchaj, Louis. Muszę koniecznie z tobą porozmawiać.

Brade zmusił się do uśmiechu: — Brzmi to złowieszczo. Czy jakaś niedobra wiadomość?

— Nie wiem, jak ją nazwać, ale pomyślałem sobie, że powinieneś o tym wiedzieć. — Rozglądał się dokoła skonsternowany, ale akurat nikt nie patrzył w ich kierun-

153

ku. Zniżył głos i szepnął: — To w związku z Raifem Neufeldem.

— W związku z Raifem?

— Tss... posłuchaj, jakiś detektyw czy ktoś taki chodzi po uczelni i wypytuje się o różne rzeczy. Nazywa się Doheny. Taki mały, gruby facet.

— Po co? Dlaczego?

— Nie wiem dlaczego. Ze mną nie rozmawiał. Ale mówił z jednym z moich chłopców. Ten mój chłopak odniósł wrażenie, że Doheny sądzi, iż śmierć Raifa nie była przypadkowa.

## Rozdział 13

Brade spojrział na młodego człowieka. Zaskoczyła go ta wiadomość.

— Po prostu myślałem, że powinieneś o tym wiedzieć — wymamrotał Foster zmieszany.

Brade czuł zamęt w głowie. Przez wiele godzin kojarzył Fostera z wiadomością o zwolnieniu z pracy, z niczym więcej.

Starał się mówić tak, jakby to, co usłyszał, nie wywarło na nim żadnego wrażenia. — Czyżby śmierć Raifa mogła nie być nieszczęśliwym wypadkiem? — spytał.

— Wiesz co, ja sam myślę, że to trochę dziwne. Tylko nowicjusz mógłby pomylić cyjanek z octanem. A twój chłopak już nie był takim nowicjuszem.

— Czy to ten detektyw tak powiedział?

— Idź do diabła, Louis. Nie wiem, co ten detektyw gadał. Rozmawiał tylko z jednym z moich chłopców, jak ci wspominałem, i wypytywał się, czy Raif był przygnębiony, jak mu szła praca, czy nie opowiadał o jakichś swoich kłopotach.

. Pani Littleby przerwała im podchodząc z tacą, na której 'poustawiane były cocktaile. Foster podziękował kiwnięciem głowy i lekkim uśmiechem, natomiast Brade chwycił szklankę w pośpiechu. Upił trochę, nie spuszczaając wzroku z Fostera.

tał.

— Myślę, że policja podejrzewa samobójstwo — odparł Foster,

Brade spodziewał się usłyszeć to słowo, a jednak było to dla niego wstrząsające. (Ostatecznie samobójstwo było już lepsze niż morderstwo, nieprawdaż? To nawet jakieś wyjście z sytuacji.)

— Dlaczego samobójstwo? — zapytał.  
"— A dlaczego nie?

— Praca szła mu całkiem dobrze. ,

— To co z tego? Co wiesz o jego życiu osobistym?

— A czy wiesz coś, co mogłoby podtrzymać koncepcję, samobójstwa?

Brade nie miał zamiaru mówić tak ostro, jednak napięcie z powodu ostatnich wydarzeń źle na niego wpłynęło i tracił kontrolę nad swoimi nerwami.

Foster zareagował natychmiast. Brwi zmarszczyły mu się wrogo. — Słuchaj, nie naskakuj tak na mnie. Usiłowałem ci tylko wyświadczyć przysługę i ostrzec cię. Jeśli się tym denerwujesz, to przepraszam. Uznaj, że nic nie mówiłem.

— Dlaczego mówisz to w taki sposób, jakby miało to jakiś związek ze mną? — odpalił Brade z oburzeniem w głosie. — Nawet jeśli to było samobójstwo...

Nagle stanął pomiędzy nimi Ranke, bacznie przyglądając się to jednemu, to drugiemu. — O jakim samobójstwie opowiadacie?

Brade spojrzał na niego surowo i milczał. Foster wzruszył lekko ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć, że cóż, zrobił, co do niego należało, a jeśli Brade ma ochotę rozgłaszać to wszem i wobec, niech sam ponosi konse-

kwencje. — Rozmawialiśmy właśnie o Raifie Neufeldzie — wyjaśnił Foster.

— Samobójstwo? — Wargi Ranke'ego rozchyliły się w jadowitym uśmiechu, a jego wskazujący palec znalazł się poniżej drugiego guzika u koszuli Brade'a. — Wiesz, to możliwe. Ten chłopak był szalony. Dosłownie szalony. - Mamy szczęście, że nie zabrał ze sobą całego budynku chemii. Mógłby nas wszystkich wysadzić w powietrze.

Brade czuł, że dostaje febry. Stał pomiędzy nimi. Obaj byli przekonani, że to samobójstwo. Dlaczego? (Głos wewnętrzny tłumaczył mu, że samobójstwo jest lepsze od morderstwa, że to w każdym razie jest jakieś wyjście z sytuacji. A mimo to, bez rozważenia sprawy, bez żadnych argumentów, bez przemyślenia, wiedział, że o wiele bardziej potrzebuje prawdy niż wyjścia z sytuacji. Reszta była tylko iluzją.)

— Dlaczego samobójstwo? — zapytał Brade. — Skąd przypuszczenie, że to było samobójstwo? Miał przecież za ledwie pół roku do zrobienia doktoratu.

I- Ranke nadal utrzymywał cierpki ton: — Jesteś tego pewien? Jak posuwała się jego praca?

— Bardzo dobrze — odpalił Brade.

— Skąd wiesz?

Brade już chciał odpowiedzieć, ale nagle dostrzegł pułapkę, jaką Ranke na niego zastawił. Nie mógł jej w żaden sposób uniknąć, a milczeniem jeszcze się bardziej pograżał.

— Od niego zapewne wiedziałeś, że praca mu dobrze idzie? — zagadnął Ranke.

— Oczywiście, że od niego — odparł Brade nie dając za wygraną.

— Skąd wiesz, że mówił prawdę?

— Miałem przecież kopie jego notatek.

Ranke uśmiechnął się, tak samo Foster. Brade teraz dopiero uświadomił sobie ciszę panującą w pokoju. Wszyscy nagle zamilkli i spoglądali w ich kierunku. Doris zmięła chusteczkę i przygryzła dolną wargę.

Brade wiedział, że nie zdoła przekonać żadnego chemika znajdującego się na tej sali, iż zna się dostatecznie dobrze na kinetyce, by móc ocenić, czy praca Raifa rzeczywiście posuwała się naprzód, jak należy.

Głos Ranke'ego był słodki jak miód. — Wiem, na czym polegały pierwotne teorie Neufelda i mogę ci powiedzieć, że były stekiem głupstw. Pozwoliłem mu je wypróbować, żeby sam się o tym przekonał, wychodząc z założenia, że może przypadkowo natknąć się na jakiś boczny szlak, który go do czegoś w końcu doprowadzi. Oczywiście, nic z tego nie wyszło. W ogóle nie można było z nim wytrzymać. Potem przeszedł do ciebie i stało się to jego prawdziwą klęską. Praca studenta nad tego rodzaju zagadnieniem, bez żadnej konsultacji u znawcy danej dziedziny, z góry skazana jest na niepowodzenie.

Ambicja Ranke'ego musiała porządnie ucierpieć, pomyślał Brade. Raif nigdy nie konsultował się u tego wielkiego człowieka. — Trudno oskarżać chłopaka o samobójstwo i skazywać na potępienie tylko dlatego, że nigdy nie zwrócił się do ciebie z prośbą o pomoc — odgryził się Brade.

— Nie zależało mi na tym, czy przyjdzie do mnie, czy nie — powiedział Ranke unosząc wyniośle głowę. — Dlaczegoż, u diabła, miałbym się tym przejmować? Wydaje mi się po prostu, że chłopak znalazł się w impasie. I jeszcze jedną rzecz ci powiem, Louis. Został w końcu zmuszony do uznania tego faktu. Krążył ślepo dokoła proble-

mu zataczając coraz to większe kręgi, dokonywał pomiarów, interpretował je w kółko, aż w końcu znalazł się w ślepej uliczce, bez wyjścia. Potrafił ci wmawiać, jak dobrze mu idzie, dopóki nie znalazł się w ślepym zaułku. A to oznaczało nici z doktoratu. Więc zabił się. Dlaczegoż by nie?

— W dalszym ciągu twierdzą — powiedział Brade ze złością — że praca szła mu dobrze. Może nie jestem fizykochemikiem, ale też nie jestem hydraulikiem. Wiem, kiedy wiatr wieje z północo-zachodu i potrafię odróżnić przekształcenie Waldena od łańcuchowej reakcji fotochemicznej. Czytałem jego sprawozdania i uważam, że posuwał się w pracy naprzód.

Nie był w stanie dostrzec, co się naprawdę dzieje w pokoju. Patrzył jakby przez mgłę, wszystko było jakieś zamazane. Przed sobą widział twarze mężczyzn i kobiet, jak gdyby wszyscy ustawili się frontem do niego, z Ranke'em i Fosterem na czele. Za nim, wydawało mu się, otwierała się już tylko przepaść.

Wilki. Walczył i opędzał się od wilków. Wydarzenia minionych czterdziestu ośmiu godzin skupiły się nagle w jednym, jasno oświetlonym punkcie. Gwałt i przemoc nawiedziły akademicką społeczność i posiały wśród niej panikę. W popłochu wszyscy szukali sposobu dla ubłagania nieprzyjaznych bogów. Przygotowywali się do pokuty za swój grzech, a po to, żeby odwrócić karę, chcieli złożyć w ofierze Brade'a.

Gdyby to był wypadek, winę ponosiłby Brade. Gdyby zostali zmuszeni do przyjęcia tezy o samobójstwie, zrobiliby to, ale wyjaśniając jednocześnie, że winę ponosi Brade, bo nie otaczał dostateczną opieką swoich studentów. A w końcu (o tym był przekonany), gdyby wysunięto tezę

159

o morderstwie, jeden człowiek mógłby wchodzić w grę jako podejrzany. Byłoby nawet wygodnie, gdyby jeden



człowiek mógł zginąć za cały wydział.

Ale jeśli myśleli, że ze stoickim wyrazem twarzy odsłoni swoją pierś dla sztyletu, to bardzo się mylili.

— Taki jesteś pewny, że Raif sam się zabił, Hanke, iż mimo woli zaczynam się zastanawiać, czy to nie poczucie winy skłania cię do takich przypuszczeń.

— Poczucie winy?

— Właśnie. Wypędziłeś go ze swojej grupy. Potępiłeś go za to, że chciał pracować nad czymś, co ty uważałeś za nieodpowiednie. Całkiem jasno dałeś mu do zrozumienia, że nie popierasz jego teorii, jeszcze zanim zaczął prowadzić doświadczenia — Brade podniósł w tym momencie głos, aby stłumić próbę protestów ze strony swego przeciwnika, a jednocześnie wcale nie przejmował się faktem, że cały pokój przysłuchuje się temu, co mówi — i że strasznie go nie lubisz. Może Raif przeczuwał, że zetrzesz w pył jego i jego pracę na egzaminie ustnym, bez względu na jej prawdziwą wartość. Możliwe, że wpadł w depresję na myśl, że musi się przeciwstawić mściwemu tyranowi, którego próżność została urażona.

Twarz Ranke'ego pobladła, wybełkotał coś zupełnie niezrozumiałego.

— Myślę, że powinniśmy zostawić tę sprawę policji — wtrącił się Foster.

Brade jednak jeszcze nie skończył. Odwrócił się do Fostera i wyrzucił z siebie: — Albo może wykończyła go twoja słaba ocena z syntezy organicznej, jaką mu wystawiłeś.

— O czym, ty znowu mówisz? — zapytał Foster nagle

160

stropiony. — Musiałem mu dać taką ocenę, na jaką zasłużył.

— Czy zasłużył sobie na ocenę zaledwie dostateczną? Widziałem jego pracę egzaminacyjną i zasługiwała na więcej. Jestem specjalistą od chemii organicznej, chyba to mi przyznasz, więc potrafię ocenić tego rodzaju pracę. „.. Foster zaczął się odgryzać: — Na wynik końcowy składa się coś więcej niż sama praca piśmienna. Wchodzi tu . jeszcze praca w laboratorium, ogólna postawa...

Brade przerwał mu ze złością: — Cholerna szkoda, że nikt nie stawia ocen z twojego zachowania, szkoda, że nikt nie zastanawia się nad tym, z jakim zadowoleniem mieszasz z błotem studentów, którzy nie mogą ci się odgryźć, • Może kiedyś który z nich spotka cię w jakimś ciemnym zaułku i wyrówna od dawna zaległe porachunki.

Pani Littleby, poruszona całą sceną, zwróciła się do gości łagodnie i cicho: — Państwo pozwolą, proszę do stołu... może byśmy teraz coś zjedli.

Ranke i Foster usunęli się, Brade przeszedł do jadalni, czując się tak, jakby wkoło powstała nagle próżnia. Zbliżyła się do niego Doris. — Co się stało? — zapytała

urywanym, zadyszonym szeptem. — Jak to się wszystko zaczęło?

Brade odpowiedział jej przez zaciśnięte zęby: — Daj teraz z tym spokój, Doris. Cieszę się, że tak się stało.

Rzeczywiście był zadowolony. Teraz, kiedy posada przepadła, nie miał już nic do stracenia, poczuł jakąś cudowną swobodę, wspaniałe odprężenie. Jego praca na uniwersytecie zbliżała się już do końca i żaden Foster, żaden Ranke, nikt z tej bandy ambitnych karierowiczów nie będzie nim pomiatał bezkarnie, on też ma ostre zęby.

11 — Powiew femferot

161

Atmosfera napięcia utrzymywała się nadal. Unikano go w czasie jedzenia, pozostawiono samemu sobie. Odszukał więc Littleby'ego.

— Panie profesorze...

— A, to pan. — Zdawkowy uśmiech na twarzy szefa wydziału krył zakłopotanie.

— Chciałbym zaproponować, żeby wykłady z bezpieczeństwa złożyć na barki całego wydziału, ponieważ cały wydział jest za to odpowiedzialny. Jeśli ja wezmę je na siebie, jak pan proponował, chciałbym, aby wpłynęło to

korzystnie na moją pozycję na wydziale.

Skinął krótko głową i odszedł. Nawet nie czekał na odpowiedź Littleby'ego.

To też poprawiło mu samopoczucie... i nic nie kosztowało. Skoro tyle miał stracić, wszystkie inne straty nie miały właściwie znaczenia.

Brade i Doris wyszli tak wcześnie, jak tylko pozwalała na to przyzwoitość. Brade przedzierał się siłą przez natłoczone ulice, jak gdyby każdy nadjeżdżający samochód miał twarz Ranke'ego, a każdy pojazd nacierający z tyłu był Fosterem. Przygarbiony nad kierownicą parł do przodu, zostawiając po bokach tych, którzy ustępowali mu z drogi, przeciskając się pośród tych, którzy nie chcieli

mu ustąpić.

— No i masz. Nigdy więcej nie pójde na takie przyjęcie, nawet gdyby...

Miał zamiar powiedzieć „nawet gdyby mnie zatrzymano na uczelni”, ale ugryzł się w język i nie skończył zdania. Doris nie znała jeszcze prawdziwej sytuacji.

Zapytała natomiast z zadziwiającą delikatnością: — Ale od czego to wszystko się zaczęło?

— Foster ostrzegł mnie — odpowiedział Brade — że

policja nie wierzy, że to był wypadek. Foster zresztą również. Żaden chemik nie uwierzyłby w to, że Raif popełnił tę pomyłkę przypadkowo. Myślę, że ktoś musiał się skontaktować z policją w tej sprawie.

— Ale dlaczego? Dlaczego ktoś miałby to zrobić umyślnie?

— Niektórzy ludzie to lubią. A są i tacy, którzy uważają to za swój obowiązek obywatelski. Problem polega na tym, że wydział chętnie przyjmie teorię samobójstwa i w ten sposób zakończy całą historię, zwłaszcza że wtedy można będzie rzucić na mnie całą winę; Ci cholerni głupcy nawet nie przypuszczają, jaką burzę sami sprowadzają na swoje głowy.

— Ale...

— Żadnych ale. To było morderstwo. Muszą też sobie

z tego zdawać sprawę, bo w przeciwnym wypadku, nie paliliby się tak do tej teorii samobójstwa. Sposób, w jaki to się stało, był zbyt skomplikowany jak na samobójstwo. Miał przecież cyjanek sodu pod ręką. Dla popełnienia samobójstwa wystarczyłoby, gdyby włożył kilka kryształków do ust. Po co miał przygotowywać wszystko do przeprowadzenia doświadczenia, żeby tylko wciągnąć do płuc cyjanowodorek po zakwaszeniu? Nikt o zdrowych zmysłach nie próbuje popełnić samobójstwa metodą pośrednią, która zresztą może zawieść, gdy ma pod ręką metodę bezpośrednią i niezawodną.

Myśl jego poszybowała teraz w innym kierunku - Niebezpieczeństwo utraty pracy jeszcze raz przytłumiła groźba oskarżenia o morderstwo.

192

Brade spał tej nocy mocno i nie dręczyły go żadne sny. Przyczyną było zmęczenie nagromadzone w ciągu dwóch bezsennych nocy, a także znużenie spowodowane tym przyjęciem.

Gdy się przebudził, powitał go szary, ponury ranek. Lekko mżyło, w powietrzu zdecydowanie czuć było jesień.

Sam też był w ponurym nastroju. Wprawdzie to, co przed pójściem do łóżka wydawało mu się okrutną walką, teraz, po przespanej nocy, przypominało już tylko zwykłą kłótnię przekupek, ale jego własne niebezpieczeństwo znów wysunęło się na czoło i nie widział już żadnego wyjścia z tej trudnej sytuacji.

Oczywiście, można było zakładać, że właśnie ci, którzy z największym zapałem popierali teorię samobójstwa, mogą się okazać tymi, którzy się najbardziej obawiają koncepcji morderstwa. A już chyba najbardziej ze wszystkich obawiałby się tego określenia sam morderca.

Czyżby to w takim razie oznaczało, że Ranke lub Foster zabili Raifa? Niech to wszyscy diabli... Jedząc jajka na szynce rozmyślał: jakież motyw nimi kierował?

Motyw. Cała sprawa, od samego początku, obracała się wokół motywu.

— Wybieram się dzisiaj na uczelnię — powiedział do Doris.

— Dzisiaj? W niedzielę?

— Właśnie dlatego, że niedziela. Zamierzam popracować nad notatkami Raifa z przeprowadzanych przez niego doświadczeń. .-

— Po co?

— Słyszałaś, co Ranke wczoraj mówił, prawda? Uwa-

184

ża, że praca Raifa szła źle i że ja nawet nie potrafiłbym tego zauważyć.

— A potrafiłbyś? — zapytała Doris bezbarwnie. Brade stracił nagle chęć do obrony. — Nie jestem pewien — wyjaśnił — ale lepiej będzie, jak się o tym przekonam. A poza tym, lepiej będzie także, jak dokończę tę pracę i pokażę tym... hubkom coś niecoś.

— Wiem, rozumiem cię, ale straszliwie się boję — powiedziała Doris.

Pod wpływem nagłego impulsu Brade podniósł się, podszedł do stołu i objął żonę. — Strach nic nam nie pomoże. W tej sprawie trzeba walczyć. To wszystko.

I oparła głowę o jego ramię i przymknęła oczy. — Tak, Kochanie — szepnęła i w tej chwili rozległ się tupot nóg Wirginii zbiegającej po schodach. Doris odsunęła go od Biebie i zawołała: — Spóźniłaś się, Wirginio, i będziesz musiała jeść zimne jajka!

Gdy Brade skręcił z Piątej Ulicy na Drogę Uniwersytecką, wśród zieleni drzew pojawiły się dwie murowane wieżyczki budynku administracyjnego. Budynek wyglą-

dał dziwnie i nienaturalnie, pogrążony w ciszy, bez pisku

; opon przy hamowaniu i warkotu motorów, bez mocnego

,zapachu -benzyny.

I Cały uniwersytet wydał mu się nagle dziwny i wrogi. Prawdopodobnie dlatego, że to była niedziela albo ponieważ czuł, że już tu nie należy. Poprzedniego wieczora zerwał wszelkie więzy z uczelnią. Uznał, że już nie jest jej częścią..

Z parkingu, gdzie zazwyczaj ustawiał swój samochód, powiało ku niemu wrogością. Widać było tylko trzy inne

165

auta, podczas gdy zazwyczaj parking był wypełniony po brzegi. Budynek chemii wydawał mu się obcy. Kancelaria wydziału i muzeum chemiczne były zamknięte, mimo że zarówno jedno, jak i drugie winno być otwarte. Kroki jego rozbrzmiewały nienaturalnie głośno wśród ciszy niedzielnej.

Wsiadł do samoobsługowej windy i wjechał na czwarte piętro. Wszystkie drzwi laboratoriów i gabinetów były pozamykane, także korytarz spowijała ciemność. Zapalił światło i przeszedł mniej więcej połowę drogi dzielącej go od laboratorium Raifa.

Sięgnął po kółko z kluczami i zaczął je szybko przekuć w poszukiwaniu właściwego klucza. Przez chwilę był zdziwiony czymś, czego nie mógł sobie z początku uzmysłwić. W końcu doszedł do wniosku, że ma o jeden klucz więcej niż zwykle.

Przypomniawszy sobie z uczuciem zakłopotania, że detektyw przyniósł mu w piątek klucz Raifa z powrotem.- Zakłopotanie to wzrosło, gdy jednocześnie uświadomił sobie, że tenże sam detektyw nie był skłonny do pozostawienia sprawy tak, jak była, ale podejrzewał samobójstwo. W każdym razie, nie przypadkową śmierć.

W posepnym nastroju Brade przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i wszedł do środka. Nagle stanął jak wryty, bo nie spodziewał się tam zastać nikogo.

Ta druga osoba w laboratorium, równie oniemiała jak Brade, patrzyła na niego wystraszonymi oczyma, z ustami na pół otwartymi jakby do krzyku.

#### Rozdział 14

Brade ochłonął trochę, po czym odezwał się nieco drżącym, ale mimo to opanowanym głosem: — Dzień dobry, Roberto. Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie twoja obecność.

Roberta Goodhue złożyła ręce na kolanach. Przerzucała notatnik z doświadczeniami (szuflada w biurku Raifa była szeroko otwarta) i teraz go zamknęła.

— Dzień dobry, panie doktorze — odpowiedziała.

—'- Jak. się tu dostałaś? — zapytał.

— Właśnie... właśnie przeglądałam jego rzeczy. Pogrzeb  
fcbuł wczoraj po południu i myślałam... myślałam — po-

•szczególne słowa wydobywała z siebie z coraz większą

•trudnością — że może tutaj znalazłabym coś, co mogła-

pbym zatrzymać, coś...

' "Przerwała i Brade dokończył za nią: — Coś na pamięt-  
kę po nim?

Bardzo jej współczuł. Cóż mogło stanowić odpowiednią  
pamiętkę po romansie między dwojgiem doktorantów che-  
mików? Jakaś stara probówka, w której zasechł jeden  
z przygotowanych przez niego roztworów? A może ja-  
kieś rozsypane kryształki odczynników, które można było  
wsypać do malutkiej koperty i włożyć ją między kartki  
książki? Albo jakaś kolba, którą można by schować do  
pudełeczka i wdychać z żalem na jej widok?

— Przepraszam, że nie byłem na pogrzebie, Roberto  
powiedział. — Nie wiedziałem, kiedy miał się odbyć. (Idio-  
tyczna wymówka, pomyślał w duchu. Mogłem się przecież

zapytać.)

— To nic nie szkodzi. Była tylko jego matka i ja. Nie

spodziewaliśmy się nikogo.

Brade zaczął się zastanawiać nad jej obecnością w la-  
boratorium. Był pewny, że zamknął drzwi na klucz, gdy  
ostatnio stąd wychodził. Czy to możliwe, że ktoś inny  
przyszedł do laboratorium po nim i wychodząc nie za-  
mknął drzwi? Czyżby detektyw? Al- musiałby mieć drugi

klucz...

O, Boże, zaczyna już teraz widzieć detektywów wszę-  
dzie, pod każdym laboratoryjnym stołem, za każdą kolbą.  
Mógł to być przecież Greg Simpson, który dzielił z Rai-  
fem laboratorium. Miał prawo tu wchodzić i nie musiała  
wcale zamykać drzwi na klucz.

V

Jednakże Roberta, jak gdyby w końcu dosłyszała jego pytanie, odpowiedziała cichutko: — Mam swój własny klucz.

— Ooo? A skąd go masz?

— Raif mi dał.

Brade przez chwilę nic nie mówił. Zamknął drzwi laboratorium i przekreślił klucz w zamku. Usiadł na stołku przy drzwiach i spojrzał z powagą na Robertę. Siedziała na krześle, na którym siadywał Raif, przed biurkiem będącym jego warsztatem pracy. Słońce przedzierając się przez chmury i przez niezbyt czyste okno (okna w laboratoriach uniwersyteckich słabo zazwyczaj przepuszczają światło) rzuciło swe promienie na piękne włosy dziewczyny.

Nie jest wcale taka brzydka, jakby się mogło wydawać,

168

pomyślał Brade z lekkim zdziwieniem. To prawda, że nie jest wysoka ani szczupła jak hollywoodzka piękność. Ale ma długie rzęsy, delikatnie" ukształtowane wargi, skórę gładką i o ciepłym zabarwieniu.

Po cóż zakładać, że Raif musiał powodować się jakąś inną wewnętrzną potrzebą? Dlaczego w tym przypadku nie mogła zadziałać taka prosta i nieskomplikowana rzecz jak zwykły popęd?

\,

— Nie wiedziałem, że Raif dawał komukolwiek klucz

do tych drzwi — powiedział. — Oczywiście, wiem, że ty mogłaś stanowić wyjątek. Wyglądała żałośnie.

— Czy istniał jakiś powód, dla którego Raif chciał, żebyś miała klucz do jego pracowni? — zapytał Brade. Po chwili zwrócił się do niej jeszcze łagodniejszym tonem: — W normalnych warunkach nic by mnie to nie obchodziło, ale jak wiesz, sytuacja wcale nie jest normalna.

Szybkim ruchem odgarnęła włosy do tyłu i podniosła ku niemu twarz. — Wiem, o czym pan myśli, panie doktorze, ale nie mam powodu kłamać. Czasami spotykałam się z nim tutaj... po godzinach. Ponieważ miałam klucz, mo-



głam przychodzić tu sama.

— Dla uniknięcia rozgłosu? Bo bardziej by się rzucało w oczy, gdybyście przychodzili tu razem?

— Tak.

Brade poczuł, że zaczyna ogarniać go zakłopotanie, dlatego też szybko, bez zastanowienia, zadał następne pytanie, ponieważ wierzył, że tylko przez zaskoczenie może wydusić z dziewczyny prawdę. — Czy jesteś w ciąży? — zapytał.

Poruszyła się niespokojnie i spuściła oczy. — Nie. —

169

Wcale nie czuła się dotknięta ani oburzona. Odpowiedziała po prostu: nie.

— Jesteś tego pewna?

' — Całkowicie. ..

— To dobrze, Roberto. Nie będziemy już: powracali do tego tematu.

— Dziękuję panu, panie doktorze — powiedziała. — Pragnę, aby pan wiedział, że zdaję sobie sprawę, jak nie-łjalni byliśmy wobec pana, i przepraszam za to. Gdyby nas na tym przyłapano, byłoby to bardzo przykre. Pan też miałby nieprzyjemności.

— Wszyscy mielibyśmy poważne nieprzyjemności — stwierdził Brade.

— To tylko dlatego, że chcieliśmy się pobrać i prawdę mówiąc, nigdzie nie mogliśmy być zupełnie sami. Ale może teraz uzna pan, że powinnam rzucić studia? Zrobię to. Zresztą nie ma to już wielkiegoznaczenia. "Naprawdę.

— Nie — odparł Brade energicznie. — Na miłość boską, wcale nie żądam od ciebie, żebyś rzucała studia. A jeśli chodzi o to, co było między tobą i Railem, to już należy do przeszłości. Nie moja sprawa i nie zamierzam do niej wracać. Pytałem jedynie dlatego...

Nagle zamilkł. Nie mógł jej przecież powiedzieć, ^ że przez chwilę wyobraził ją sobie jako brzemienną kochan-

kę, znieawidzoną przez chłopaka za ciągle żądania, by małżeństwem przywrócił jej cześć; palającą nienawiścią za zdradę, zwłaszcza że osobnik o tak ostrym języku jak Raif mógł jej to wyrazić w formie nie do zniesienia; żadną zemsty — nawet śmierci.

Ale nie była w ciąży... w każdym razie twierdziła/że nie jest. Mimo to gdzieś w zakamarkach jego umysłu ciągle jeszcze czaiło się podejrzenie.

170

Niezręcznie ciągnął dalej: — Pytałem tylko dlatego, że jeśli coś, hm, zaistniało między wami, mogłoby to tłumaczyć jego roztargnienie, które doprowadziło do wypadku. Wyobrażam sobie, jaka musisz być załamana po tym wszystkim. Posłuchaj, weź sobie tydzień wolnego albo nawet więcej, ile zresztą uznasz za potrzebne. Na kursie laboratoryjnym poradzą sobie przez ten czas bez ciebie. Znajdę kogoś na zastępstwo. A później, jak już najgorsze będzie za tobą...

Potrząsnęła przecząco głową. — Dziękuję panu, ale będę dalej pracować. Czuję się o wiele gorzej, gdy jestem sama w domu.

Podniosła się z krzesła i wcisnęła torebkę pod pachę. Podeszła do drzwi i zatrzymała się na chwilę, by otworzyć drzwi z zamka, i wtedy nagle Brade'owi przyszła nowa myśl do głowy.

— Roberto, zaczekaj chwilę.

Stanęła, nie odwróciła się jednak, by na niego spojrzeć. Brade milczał, bo czuł się bardzo głupio i nie wiedział, jak sformułować pytanie.

— Mam nadzieję, że nie obrazisz się, jeśli ci zadam bardzo osobiste pytanie — powiedział w końcu.

— Jeszcze bardziej osobiste niż to, które pan już zadał?

Brade odchrząknął. — Może, w pewnym sensie. Mam jednak swoje powody, żeby cię o to spytać. Chciałbym tylko wiedzieć, czy miałaś kiedykolwiek jakieś kłopoty z doktorem Fosterem?

Teraz zwróciła się twarzą ku niemu. — Kłopoty? — Głos jej zabrzmiał pytająco, uniosła ze zdziwieniem po-

wieki.

^

171

Brade myślał z niechęcią: no do licha, przyznaj, że tak było.

— Mówiąc prosto z mostu — powiedział — czy doktor Foster kiedykolwiek cię zaczepiał.

— To wcale nie jest osobiste pytanie — odpowiedziała Roberta. — Doktor Foster nie robi żadnych tajemnic ze swoich zaczepki. Tak, ja też przez to przeszłam. Nie więcej niż każda inna dziewczyna na wydziale, ale i nie mniej. Doktor Foster ma bardzo dobre serce i udziela się szczerze i sprawiedliwie.

— Czy Raif wiedział o tym?

Znów zamarła w bezruchu. — Dlaczego pan o to pyta?

— Ponieważ sądzę, że Raif wiedział, prawda?  
Dziewczyna milczała.

— Skoro Foster nie robi specjalnej tajemnicy i jawnie studentki zaczepia (a być może chodzi tu o szczególne zaczepki — pomyślał Brade — nie darmo nazywają go „Obmacywaczem”), Raif mógł się o tym dowiedzieć. Bez wątplenia bardzo mu się to nie podobało-i swoje niezadowolenie mógł wyrazić doktorowi Fosterowi.

— Nikt nie zwraca uwagi na doktora Fostera — odpowiedziała Roberta ze złością. — Czasami jest męczący, ale to, co robi, nie ma najmniejszego znaczenia. Gdyby któraś z dziewcząt choć trochę mu się odwzajemniła, wyskoczyłby ze strachu przez okno i uciekł, gdzie pieprz rośnie.

— Ale problem polega na tym, że Raif mógł to zauważyć i powiedzieć coś doktorowi Fosterowi.

— Chyba już pójdę. Czuję się... niezbyt dobrze... — Skierowała się ponownie do drzwi, po czym odwróciła się nagle i z nutą smutku w głosie powiedziała: — Ciekawa jestem, czy będą panu potrzebne notatniki Raif a z przeprowadzanych przez niego doświadczeń?

172

— Przez pewien czas tak, ale później, myślę, że będziesz mogła je sobie wziąć.

Zawahała się przez chwilę, jak gdyby chciała jeszcze coś powiedzieć. Ale w końcu nic nie powiedziała i wyszła.

Pięć minut później Brade widział ją przez okno laboratorium, jak wyszła przez główne drzwi budynku chemii i skierowała się wyłożonym cegłą chodnikiem przez teren uczelni.

Nie odpowiedziała na jego ostatnie pytanie, a ten unik, Oczywiście, równał się odpowiedzi twierdzącej.

Niewątpliwie Raif musiał być bardzo zazdrosny i straszliwie bał się utraty wszystkiego, co było jego własnością. Podczas gdy inni przepuszczali mimo uszu te drobne sztuczki Foster, Raif zapewne reagował na nie piekielną złością.

Był człowiekiem tego pokroju, że mógł w przyпіływie wściekłości pójść do Foster, zażądać, by zaprzestał swoich praktyk, i zagrozić, że pójdzie z tą sprawą do wyższych władz uczelni. A to była już bardzo poważna groźba.

Administracja uczelni mogła przymykać oczy na zachowanie Foster tak długo, póki nikt nie zwracał nań specjalnej uwagi, póki nie było wokół tego hałasu. Ale gdyby to się stało głośne, to już by stanowiło różnicę, zasadniczą różnicę.

Ostatecznie, profesor mógł upijać się co wieczór do nieprzytomności, mógł bełkotać wykłady tak, że nikt nie potrafił nic z tego zrozumieć, mógł kąpać się tylko raz na rok około Wielkiej Nocy, mógł być wyjątkowo arogancki, nie do wytrzymania nudny, odrażająco nieprzyjemny;

wszystko to by mu wybaczone. A już zwłaszcza gdyby był pracownikiem etatowym.

173

Istniały jednak dwa powody, dla których można go było usunąć niezależnie od etatu. Jeden z nich to nielojalność (stosunkowo nowoczesna zbrodnia), a drugi, równie stary jak Abelard, to upadek moralny. Jeśli chodzi o Foster, to pod tym względem stale ślizgał się na cieniutkiej warstwie lodu. Wystarczyłaby jakaś skarga, a mógł znaleźć się pod lodem i utonąć.

Czy prawdopodobieństwo wniesienia takiej skargi mogło stać się motywem popełnienia morderstwa? Czy morderstwo miało być metodą pozbycia się ewentualnego oskarżyciela?

A może to tylko wyjaśniało bardzo słabą ocenę z egzaminu?

Bądź co bądź, dawało to Fosterowi tylko motyw, ale nie wyjaśniało absolutnie możliwości dokonania zbrodni. Skąd mógłby Foster znać metody stosowane przez Raiffa w przeprowadzanych przez niego doświadczeniach? Skąd mógł wiedzieć, że erlenmeyerki zawierające octan sodu czekają już w laboratorium?

Wzruszył ramionami i zabrał się do notatników, w których chłopak opisywał przeprowadzane doświadczenia. Było ich pięć, wszystkie starannie ponumerowane. Brade otworzył jeden na chybił trafił.

Kopie tych notatek miał u siebie w gabinecie, ale jeśli Raif był taki sam jak większość zaawansowanych studentów, to z pewnością prowadził drobne obliczenia i uwagi na odwrotnej stronie białego arkusza oryginału, ażeby je mieć pod ręką.

Przekartkował kilka stron i doszedł do przekonania, iż Raif nieomal idealnie prowadził swoje notatki. Pisał jas-

174

no, zwieźle i z zadziwiającą dokładnością. Brade widział stare notatniki Kapa Ansona, pełne trudno czytelných notatek do jego pracy doktorskiej, ale nawet tamten wzór sumienności został teraz prześcignięty przez Raiffa.

Na pewno, pomyślał Brade, będę mógł prześledzić jego pracę. Raif tak dokładnie objaśniał wszystko, jak gdyby z góry zakładał, że będą to czytali tylko ludzie posiadający zaledwie podstawową znajomość tych zagadnień. (Z poczuciem winy pomyślał, że Raif pisał to dla niego.) Do diabła... wobec tego powinien wszystko zrozumieć. Musi po prostu mniej obawiać się matematyki.

A więc należy przerobić to systematycznie. Zacznijmy już teraz.

Wrócił do notatnika Numer Jeden. Pierwsze strony poświęcone były pracy Neufelda pod kierownictwem Ran-

ke'ego; wykaz artykułów, które przeczytał przed rozpoczęciem właściwej pracy badawczej, streszczenia zawartych w nich uwag, jego własne uwagi i teorie. Wszystko było bardzo starannie i umiejętnie rozmieszczone i uszeregowane. Brade przypomniał sobie, jak przeglądał te notatki już dawniej, półtora roku wcześniej, kiedy przyjął go pod swoją opiekę.

Znając Ralfa, zdumiał się nagle, jak mało z życiowego niezrównoważenia tego chłopca znalazło odbicie w jego pracy. Te notatki były w pełni obiektywne.

Brade znalazł tego rodzaju uwagi, jak: „Profesor Ranke wykazał sprzeczność w koncepcji...” albo „Profesor Ranke wydaje się nie być przekonany, że...”. Mimo wszystko nie dawał się ponieść osobistym uczuciom. Uwagi były związane i dotyczyły tylko tematu.

Nawet zakończenie pracy pod kierownictwem Ranke'ego zostało odnotowane zwykłym stwierdzeniem: „Dziś

t75

przestaję być studentem profesora O. Ranke'ego". Brak jakiegokolwiek wzmianki o pobiciu się z innym studentem, absolutny brak jakiegos tłumaczenia się lub przejawów rozgoryczenia. Tylko to jedno zdanie i nic więcej na ca-

łej stronie.

Następna data przypadała w miesiąc później i nowa strona rozpoczynała się od zdania: „Dzisiaj zostałem studentem doktora L. Brade'a”.

Dalsze zapiski były mu już znane. Na początku studiów Raifa pod jego kierownictwem, arkusze notatek otrzymywał co tydzień i Raif objaśniał mu je strona po strbnie. Później doręczał je mniej regularnie, a objaśnienia stawały się bardziej pobieżne i ogólnikowe. W końcu" zaprzestał nawet tego. Czyżby Raif zniechęcił się przez to, że Brade nie potrafił wszystkiego zrozumieć? Czy to był powód, dla którego Raif go nienawidził? (Ale Charlie Emmett uważał, że to był strach, a nie nienawiść.)

Brade przygryzł dolną wargę i przez chwilę zastanawiał się, co zrobić z lunchem. Potrzęsął głową. Bufet z kanapkami w budynku był w niedziele zamknięty, z domu nic sobie nie przyniósł do jedzenia, a najbliższa przyzwoita restauracja znajdowała się w odległości dziesięciu

minut szybkiego marszu.

Postanowił obejść się bez lunchu i wrócił do notatków.

•

Raif był wyjątkowo dokładny przy opisach poszczególnych doświadczeń. Przy każdym doświadczeniu podawał najpierw powody, dla których je przeprowadzał, a w za-

176

kończeniu wyjaśniał otrzymane wyniki. Gdy wyniki nie zgadzały się z założeniami, Raif umieszczał w notatkach swoje teorie i spekulacje, uzasadniał niepowodzenie danego doświadczenia.

Było to bardzo pomocne, a nawet więcej niż pomocne, i nastrój Brade'a zaczynał się poprawiać. Wprawdzie obliczenia były pobieżne, ale przynajmniej prowadzone systematycznie, bez opuszczeń.

Jedyną ewentualną wadą Raifa jako badacza w dziedzinie chemii, stwierdził Brade, mogło być chyba zbyt przywiązanie do powziętych z góry teorii. To znaczy, każde doświadczenie, które jakby potwierdzało jego myśli i koncepcje, pozostawiał nie sprawdzone, natomiast doświadczenia, które przeczyły jego teoriom, były wielokrotnie sprawdzane, a czasami nawet na siłę tłumaczone na korzyść wysuniętych teorii.

W notatniku pierwszym i drugim znalazł wiele doświadczeń zaprzeczających teoriom Raifa i zauważył, że stopniowo w jego uwagach zaczęła pojawiać się nutka sarkazmu. Nastąpiły też uwagi w rodzaju: „Muszę ulepszyć kontrolę temperatury. Zobaczyć się z Brade'em w sprawie porządnego termostatu, jeśli, ta praca ma w ogóle mieć jakieś znaczenie”.

Opuścił słowo „doktor”, które przedtem z drobiazgową dokładnością zawsze umieszczał, a to świadczyło chyba o narastającej niechęci do Brade'a. (Czy może nienawiści?) A przecież człowiek ten potrafił panować nad sobą, gdy pracował w bardziej napiętej atmosferze pod kierunkiem Ranke'ego. Czy dlatego, że Ranke, nawet wtedy, gdy nie zgadzał się z Raifem, był opoką, skałą, na której mógł się wesprzeć, podczas gdy Brade był... niczym?

To mniej więcej w tym okresie kopie notatek zaczęły

docierać do niego nieregularnie i w grubszych plikach, tak że Brade nie rozpoznawał już poszczególnych stron i nawet nie bardzo je sobie przypominał. (W dużej mierze wina za to spadała na niego. Czuł się boleśnie zawstydzony i nawet przysięgał sobie w duchu, że w przyszłości żaden student nie będzie prowadził badań bez jego aprobaty.)

Gdzieś na początku trzeciego brulionu wyniki badań uległy nagle znacznej poprawie. Z jednej strony, Raif wypracował taki kierunek doświadczeń, który okazał się owocny i...

Brade aż się zachłysnął ze zdumienia, gdy przewrócił następną stronę. Raif szczegółowo opisywał metodę prowadzenia doświadczeń, włącznie z wcześniejszym przygotowaniem i odważaniem octanu sodu w dziesięciu kolbach. Brade'a przeszły ciarki po krzyżu. Doszedł do wniosku, że nawet początkujący chemik przeczytawszy tę stronicę wiedziałby dokładnie, jak otruć Raifa.

Zaniechał jednak dalszych dociekań. Do diabła z morderstwem! W tej chwili za 'wszelką cenę musi zorientować się we własnych szansach i możliwościach kontynuowania badań rozpoczętych przez Raifa.

Dalsze doświadczenia szły dobrze. Wykresy na papierze milimetrycznym wyznaczały punkty, które układały się pięknie w linię prostą. Brade odetchnął z ulgą. Wczoraj wieczorem, broniąc pracy Raifa wobec Ranke'ego, w dużej mierze bluffował, ale oto znalazł te wykresy i równania, wszystko od A do Z. Każdy, kto zechce, może je sprawdzić i przekonać się, że praca Raifa szła dobrze, że jego teorie się sprawdzały.

Nawet Ranke mógł się o tym przekonać.

Brade chciał zobaczyć pobieżne obliczenia, jakie zwykle się robi na odwrotnej stronie arkusza, ale okazało się, że zostały wytarte.

Brade zmarszczył brwi. Teoretycznie rzecz biorąc, nie powinno się niczego wycierać w notatnikach. Nieprawidłowe obliczenia czy też jakieś pomyłki należało tylko lekko



przekreślić, tak żeby nie wprowadzały w błąd, a jednocześnie były dostatecznie czytelne dla przyszłych badaczy zagadnienia. (Nawet omyłki mogą być czasami pozytywne.)

Oczywiście, takie wycieranie zapisków na odwrocie arkusza było praktykowane. Odwrotna strona arkusza w zasadzie nie stanowiła części notatnika. Przyjrzał się cyfrom nieco uważniej i zmarszczki na jego czole pogłębiły się. Zastanowił się przez chwilę, przerzucił jeszcze kilka stron i trafił na dalsze ślady wycierania.

Następnie przez długi czas siedział nie zaglądając do notatników. Popołudniowe godziny przedłużały się w nieskończoność.

To chyba niemożliwe. W ciągu całej swojej kariery naukowej nigdy dotychczas nie natrafił na taki przypadek. A jednak to, co dostrzegł, wydawało się niewątpliwe.

Teraz już był pewien. Przekonał się, że Charlie Emmett miał rację. Raif musiał się go panicznie bać. Teraz wiedział dlaczego. Na samą myśl aż mu się zrobiło niedobrze.

## Rozdział 15

Minęło trochę czasu, zanim pełne znaczenie dokonanego odkrycia przeniknęło do świadomości Brade'a, który siedział jak ogłuszony.

Teraz już kontynuowanie pracy Raifa było niemożliwe. Nie ukaże się żaden artykuł, który zadziwi świat, nie będzie rewelacyjnego wkładu do nauki, niczego, czym mógłby olśnić wydział i pozauczelniany świat chemii. Kap Anson miał rację. Otto Ranke miał rację. Tylko on jeden

się mylił.

Pukanie do drzwi powtórzyło się trzykrotnie, zanim je usłyszał. Gdy w końcu krzyknął: „Proszę wejść!”, usłyszał tylko daremne szamotanie klamką.

Brade podniósł się, żeby przekreślić klucz. Poruszał się mechanicznie. Miał tak zaprzątnięty umysł, że nawet nie zastanawiał się, kto może dobijać się do drzwi laboratorium przy niedzieli. Nie zdziwił się również, gdy przed drzwiami zobaczył agenta policji, Jacka Doheny'ego,

w tym samym ciemnoniebieskim garniturze w białe prążki, który miał na sobie owego wieczora, gdy po raz pierwszy, spotkali się nad martwym ciałem Raifa Neufelda.

Doheny rozejrzał się pobieżnie dokoła i powiedział: —;

Mam nadzieję, że zechce mi pan poświęcić trochę czasu na rozmowę, panie doktorze.

180

— Jeśli pan sobie życzy — odpowiedział Brade dość obojętnie, choć był okropnie roztrzęsiony.

— Byłem u pana w domu, ale żona powiedziała, że jest pan tutaj, dlatego przyszedłem. — Rozejrzał się znów po pokoju. — Czy mogę zapalić?

— Proszę bardzo.

Doheny zapalił cygaro i w odpowiedzi na milczące zaproszenie ze strony Brade'a usiadł na krześle. Przysunął do siebie popielniczkę i powiedział: — Wygląda na to, że zarówno pan, jak i ja odrabiamy trochę roboty w niedzielę.

— Czy chciałby pan dowiedzieć się czegoś jeszcze o Raifie Neufeldzie — zapytał Brade — czy też mogę panu pomóc w jakiejś innej sprawie?

— Tak, chodzi o tego chłopca. Jakoś nie może mi ta sprawa wyjść z głowy. Śmieszne. Od samego początku wydawała mi się niewyraźna.

— W jakim sensie niewyraźna? — zapytał ostrożnie Brade.

— No cóż, jak pan wie, panie doktorze, nie znam się nic a nic na chemii. Absolutnie. Dlatego też, gdy byłem tu za pierwszym razem, zupełnie nie mogłem się w tym wszystkim połapać. Niemniej już od tak dawna siedzę w swoim zawodzie, że nie mogłem się pozbyć uczucia, iż coś w tym wszystkim nie gra, chociaż próbowałem sobie tłumaczyć: „Uważaj, Jack, nie jesteś na swoim podwórku”.

— Nie rozumiem.

— To nie takie łatwe do wyjaśnienia. Niech pan posłucha. Załóżmy, że ma pan w probówce jakiś nowy od-

czynnik chemiczny i zastanawia się pan nad jego działaniem. Założę się, że może pan to odgadnąć jeszcze przed

181

wypróbowaniem go. Sam pan potrafi powiedzieć, czy ten odczynnik wygląda na to, że może eksplodować, albo że na tamten trzeba uważać, bo jest trujący, a jeszcze inny robi się czarny, gdy doda pan do niego trochę jakiejś substancji.

— Oczywiście — powiedział Brade. — Znając wzór struktury jakiegoś nowego związku, mogę wyciągnąć pewne wnioski co do jego właściwości.

— I za każdym razem niewiele się pan pomyli, prawda?

— Sądzę, że w większości wypadków wnioski moje będą trafne.

— Tak, to z pewnością przychodzi wraz z doświadczeniem i praktyką. Jakieś wyczucie, którego czasami nawet nie potrafimy określić.

— Może i tak — odparł z powątpiewaniem Brade.

— Otóż właśnie, panie doktorze. Tak jak pan pracował nad odczynnikami chemicznymi, tak ja spędziłem dwadzieścia pięć lat nad zgłębianiem psychiki ludzkiej. Tego nie uczą w szkole, ale potrafię dostrzec, że w jakimś człowieku coś nie gra, tak jak pan spostrzeże coś niezwyklego w substancji chemicznej. Czasami mogę się znaleźć na niewłaściwym tropie, tak jak pan z chemikaliami, ale w większości wypadków trafiam bezbłędnie, tak jak pan w swojej dziedzinie.

Brade czuł narastające zdenerwowanie, ale starał się panować nad sobą, bo może to wszystko jest tylko po to, żeby go wyprowadzić z równowagi.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał bezbarwnie.

— Chcę przez to powiedzieć, że gdy rozmawiałem z panem w czwartek, coś mi u pana nie grało.

— Oczywiście, że mogło tak być. Po raz pierwszy w życiu widziałem nieboszczyka, którym w dodatku był jeden

183

z moich studentów. Po prostu nie byłem wtedy sobą.

— Ach tak? Rozumiem. Naprawdę. Ale niech pan posłucha. — Doheny poruszał powoli cygarem w ustach, metodycznie wypuszczając kłęby dymu i od czasu do czasu przekręcając je, by paliło się równomiernie. — Widzi pan, chemia w pewnym stopniu przypomina gotowanie. Ma pan składniki, miesza je pan, ogrzewa i wyczynia z nimi różne diabelskie (przepraszam za wyrażenie) sztuczki. Chemia być może jest bardziej skomplikowana, ale kucharka w kuchni przypomina chemika w laboratorium.

— Załóżmy teraz, że kucharka zamierza upiec ciasto. Bierze do tego mąkę, mleko, jajka, wanilię, proszek do pieczenia i Bóg wie co jeszcze. Kładzie to wszystko na stole i zaczyna mieszać, wyrabiać i tak dalej. Po użyciu składników zostawia na stole różne torebki, buteleczki i pudełka. No, może mleko schowa z powrotem do lodówki, ale małe są szansę, żeby utykała tam też mąkę lub wanilię. Natomiast nie robi tego w ten sposób, że idzie do spiżarni po mąkę, wysypuje jej trochę na stolnicę, później zanosí mąkę z powrotem do spiżarni, bierze mleko, wlewa trochę, wstawia z powrotem do lodówki, po czym znów bierze proszek. Rozumie pan, o co mi chodzi?

— Rozumiem. Ale jakie to ma znaczenie w tej sprawie?

— Przecież pana student mieszał swoje ciasto i dodawał do tego — Doheny szybko rzucił okiem na małą kartkę, którą wyciągnął z kieszeni koszuli — octanu sodu, tylko zamiast niego dosypał cyjanku sodu. A więc dlaczego w pobliżu jego miejsca pracy nie było buteleczki z cyjankiem? Dlaczego znalazła się ona z powrotem na półce?

— A jakaż to różnica, gdzie była? — Brade wiedział

1&3

dobrze, na czym polegała różnica, ale chciał się przekonać, co sądzi o tym ten nagle groźny człowiek o okrągłej, mało inteligentnej twarzy.

— Może — powiedział rozsądnie Doheny — to nie mieć żadnego znaczenia, a może, na przykład, stała na pulpicie laboratoryjnym obok niego i pan odstawił ją automatycznie na półkę, znalazłszy ciało zmarłego. Wie pan... tak odruchowo... Zrobił pan to?

Brade wywahał pułapkę. Nie śmiał kłamać. Powiedział:

— Nie.

— A może chłopak miał to już w charakterze, że robił różne szalone rzeczy. Może nasypał trochę proszku i później przeszedł kilka kroków, by odstawić butelkę, zanim zabrał się do dalszej roboty. Ponadto zauważyłem, że trzymał jeden pusty słoik z tyłu za wszystkimi szklanymi naczyniami, których używał, i w tym słoiku, butelce, czy co to tam było, zostało trochę jakiegoś proszku, a więc to pewnie taki typ, który nie od razu sprzątał po sobie. Wydawało mi się to śmieszne, więc dlatego zapytałem.

Cienkie wargi Brade'a pozostały zaciśnięte. Nie odzywał się./

Doheny mówił dalej: —'Zaniepokoiło mnie to. Przedstawiłem butelkę z trucizną z półki tam, gdzie chłopak pracował, dokonałem kilku czynności i wtedy zapytałem pana: „Czy nie zauważył pan w tym nic szczególnego?” Myślałem, że dowiem się, że pan też odniósł takie dziwne wrażenie. Sądziłem, że pan odpowie: „Ale, ale, jak to się stało, że ta butelka jest na półce zamiast tam, gdzie pracował?” Jednakże pan na to nie zareagował. Spojrzał pan tylko na mnie z zakłopotaniem. Wtedy powiedziałem sobie: Jack, coś tu jest dziwnego z tym doktorem. Jest za

184

sprytny, żeby być aż tak głupi. Wie pan teraz/o co mi chodzi? Pan i chemikalia; ja i ludzie.

— Niech to diabli — rzekł Brade ze złością. — Byłem zdenerwowany. Nie mogłem jasno myśleć.

— Z pewnością pan nie mógł, panie doktorze. Ta cała historia wydała mi się dość dziwna, a więc pomyślałem sobie, że popytam się jeszcze tu i ówdzie, zanim dam panu spokój. I wie pan co? Powiedzieli mi jedni, że ten octan zachowuje się zupełnie inaczej niż cyjanek, gdy się włoży do niego łyżkę. Czy to prawda?

Brade znów zawahał się chwilę, ale i tym razem nie próbował kłamać. — W pewnym sensie tak — odpowiedział.

— Poza tym, niektórzy uważają, że ten chłopak był bardzo uważnym pracownikiem, i w głowie im się nie

może pomieścić, jak mógł popełnić taką pomyłkę. Wydaje się, że należał do takich, co zawsze wszystko dwa razy sprawdzają. Zgadza się pan, panie doktorze?

— Rzeczywiście, był bardzo uważnym studentem.

— A wie pan — dobrotliwy uśmiech nie zniknął z rumianej twarzy Doheny'ego — że pan w zdenerwowaniu nie powiedział mi żadnej z tych rzeczy. Ani razu nie wspomniał pan, że chłopak nie należał do takich, co by mylili butelki. A co więcej, miał pan od tego czasu ponad dwa dni na ochłonięcie, i mimo to nie zadzwonił pan do mnie i nie powiedział: „Halo, przypomniało mi się coś, o czym panu nie powiedziałem”. A więc może moje pierwsze wrażenie, że coś z panem jest nie w porządku, było słuszne.

— Niezupełnie — powiedział Brade w nagłym przy-  
pływie złości — poza tym, nie znam się na tych sprawach. Nie jestem przecież detektywem. To wszystko.

185

Doheny pokiwał głową. — Tak, tyle to muszę panu przyznać... ale tylko tyle. Niech pan posłucha jeszcze. Może rzeczywiście był pan wtedy tak bardzo zdenerwowany, a jednak nie zapomniał pan prosić o zwrot klucza do laboratorium tego chłopaka. Pamięta pan?

— Tak, pamiętam.

— No dobrze, ale dlaczego prosił pan o ten klucz? Mógł

pan przecież zadzwonić następnego dnia albo wpaść do nas do komisariatu, żeby go odebrać czy zostawić go nam, bo prawdopodobnie ma pan swój własny klucz do tego laboratorium. Pan jednak poprosił o tamten klucz. Niech mi

pan wyjaśni, po co?

Brade był wzburzony: — Bo akurat przyszedł mi na

myśl. Nic więcej. Po prostu akurat pomyślałem o nim. (Przecież nie miałem żadnego celu prosząc o ten klucz, pomyślał zrozpaczony Brade. W co ja się teraz wpakowałem?)

Doheny uniósł pulchną dłoń. — Ależ tak, tak. Może

rzeczywiście tak sprawa wyglądała. Nie mówię przecież,

że nie. To moja robota, jak pan wie, wyszukiwać różne inne wyjaśnienia. Może pan bardzo chciał, żeby nikt inny nie wchodził do laboratorium bez pana wiedzy. A może denerwowało pana to, że policja zatrzymała klucz. — Popiół na jego cygarze znacznie się wydłużył, więc strząsnął go delikatnie do popielniczki. — Po prostu zastanawiałem się nad tym — dodał.

Brade zdał sobie sprawę, że popełnił błąd rezygnując

z lunchu. Pustka w żołądku, w połączeniu z zapachem dymu z cygara, przyprawiała go o nudności i przytępiła myśli. — Mogę pana zapewnić, że nie miałem żadnego

powodu — oznajmił.

— A ja wtedy pomyślałem sobie, że sprawdzę, panie

doktorze. Było i tak już dostatecznie dużo niezwykłości w pana zachowaniu, więc po wyjściu stąd pokręciłem się jeszcze trochę po dziedzińcu. W laboratorium chłopaka zapaliło się światło i świeciło się przez dłuższy czas. Pan pozostał tu jeszcze dobrą godzinę po moim wyjściu. Poleciłem moim chłopcom, żeby mi przynieśli z powrotem klucz, wszedłem znów do laboratorium i stwierdziłem, że pan tam nad czymś pracował. Stały jakieś chemikalia, których przedtem nie było, i kilka słoiczków z proszkiem.

Brade odchrząknął z trudem.

Doheny mówił dalej: — Wezwałem więc jednego z naszych chemików, żeby tu przyszedł. My w policji mamy także własnych chemików. Rozejrzał się po tym pokoju i powiedział, że prawdopodobnie przeprowadzał pan próbę na obecność cyjanku. Wziął ze sobą trochę tych substancji z małych słoików do laboratorium policyjnego i powiedział, że to był octan. A więc, tak naprawdę, to co pan robił w tym laboratorium, panie doktorze?

Brade nie widział wyjścia z sytuacji. Niskim, miarowym głosem opowiedział Doheny'emu, co robił w laboratorium Raifa w czwartek wieczorem, o kolbie z cyjankiem, o jej siostrzanych kolbach z octanem, a także o metodzie pracy Raifa.

— I nic pan nam o tym nie powiedział? — zdziwił się Doheny.

— .Nie.

— Bał się pan, że zostanie wplątany w sprawę o morderstwo?

— Jeśli ma pan na myśli to, czy bałem się, iż podejrzenie o morderstwo spadnie na mnie, to ma pan rację.

— No cóż, zrobił pan właśnie to, czego nie należało ro-

187

bić. To tylko umocniłoby podejrzenia co do pana winy wśród sędziów przysięgłych.

— Dlaczego? — zapytał Brade rozgorączkowany. — Gdybym był mordercą, nie musiałbym przecież sprawdzać tych kolb. Wiedziałbym, co w nich jest.

— A jeśli pan nie jest mordercą, to po co pan robił to po kryjomu? Nad tym właśnie zaczęłby się zastanawiać sąd przysięgłych. Wystarczy, że nie będzie pan szczery i prawdomówny, a zaraz zaczną się zastanawiać, co, u diabła, pan naprawdę robił w tym laboratorium.. Możliwe zresztą, że nawet teraz nie mówi pan prawdy.

— Przysięgam panu...

— Nie musi mi pan przysięgać. Niech pan to zachowa na salę sądową, jeśli kiedykolwiek dojdzie do rozprawy. — Znów strząsnął popiół z cygara i dodał: — Sedno tkwi w tym, że pan od samego początku podejrzewał morderstwo.

— Morderstwo albo samobójstwo.

— Samobójstwo?

— Przecież i pan myślał, że to mogło być samobójstwo. W każdym razie słuchy chodziły, że pan wypytywał o nastrój Raifa w ostatnim czasie.

' — Kto panu o tym powiedział?

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Nie. Po prostu ciekaw byłem, czy mi. pan powie. Oczywiście, że zadawałem takie pytania, by sprawdzić możliwość samobójstwa, ale niezbyt w to wierzyłem. W wypadku samobójstwa zwykle pozostaje jakiś list czy

coś w tym rodzaju.



— Nigdzie nie jest powiedziane, że zawsze tak musi być.

— Też prawda<sup>^</sup> Ale zazwyczaj tak jest. Problem pole-

ga na tym, że samobójca zwykle lituje się nad sobą. Wyobraża sobie, że kiedy umrze, wszyscy ludzie, którzy byli podli dla niego, będą tego żałować. To jak gdyby w pewnym sensie podtrzymuje go na duchu, myślę o tej chwili, kiedy przygotowuje się do skończenia ze sobą. Wyobraża sobie, jak strasznie ci inni ludzie będą się czuli. Przeważnie jednak zostawia kartkę do osoby, która będzie najbardziej cierpieć, zazwyczaj do matki lub żony. Ale gdy samobójca nie zostawia żadnego listu, to znaczy, że jest przekonany, że i bez jego udziału cierpieć będą właściwi ludzie. Najczęściej jednak nie jest tego pewien i ja, osobiście, nie trafiłem jeszcze na samobójcę, który by nie zostawił jakiegoś listu lub kartki. Ten chłopak nie tylko że nie zostawił żadnej kartki, ale jeszcze, o ile to rzeczywiście było samobójstwo, zadał sobie nie lada trud, żeby upozorować wypadek. Czy nie mam racji, panie doktorze?

Brade skwapliwie zgodził się z tą opinią. — Tak, ma pan rację.

— Czasami samobójcy tak robią. Wchodzi w grę kwestia ubezpieczenia, ale ten chłopak nie był ubezpieczony. Czasami jest to problem hańby spadającej na rodzinę ze względów religijnych, ale chłopak miał tylko matkę i oboje nie byli zbyt religijni. Próbowałem spojrzeć na to z różnych punktów widzenia, ale nie doszedłem do niczego. Po prostu nie było sensu popełniać samobójstwa pozorując wypadek. Natomiast można znaleźć sens w pozorowaniu wypadku, gdy to było zabójstwo. A więc ktoś inny musiał mu podstawić ten cyjanek.

— Ale kto? — zapytał Brade.

— Nie jestem pewien — rzekł Doheny. — A może pan to zrobił?

— Nie miałem powodu, żeby to zrobić. — Umysł Brade'a był zupełnie otepiały, jakby pod wpływem jakiegoś środka znieczulającego. Mógł bezboleśnie rozmawiać na ten temat.

— A może jednak miał pan jakiś powód. Wypytyjąc ludzi o różne rzeczy zdołałem zebrać trochę wiadomości. Na przykład, odniosłem wrażenie, że panu się niezbyt do-  
'brze wiedzie na uczelni, że może znalazł się pan na równi pochyłej. Nie twierdzę, że tak jest naprawdę, ale kilka osób wyraźnie dało mi to do zrozumienia. Dowiedziałem się też, że ten Raif nie potrafił z panem współżyć. Jeśli teraz założymy, że pana własny student ch—lził i rozpo-  
wiadał po ludziach, że pan niewiele umie — a to mogłoby się też dodatkowo przyczynić do usunięcia pana z pracy — to można się dopatrzeć w tym dla pana motywu, by zamknąć mu usta raz na zawsze.

Brade czuł się wyraźnie wzburzony. Było to aż tak absurdalne, że nawet nie podlegało dyskusji. — Podobnie i ja — powiedział Brade — natknąłem się przypadkowo na coś, co tłumaczy bardzo logicznie samobójstwo i wyjaśnia powód, dlaczego Raif usiłował upozorować wypadek. (Czemuż by nie, pomyślał. Ostatecznie, mogło to być i tak.)

— Naprawdę? To może mi pan opowie. — Wydawało się, że ta wiadomość nie zrobiła zbyt wielkiego wrażenia na Doheny'm.

— Właśnie mam zamiar to zrobić. — Brade spoglądał ze smutkiem na notatniki Raifa. Poprzedniego wieczora powiedział Ranke'emu, że posiada dostateczną znajomość chemii fizycznej, by móc ocenić, czy praca Raifa szła dobrze, czy źle. Wprawdzie mówił wówczas w nerwowym podnieceniu, ale był przekonany, że da sobie radę. Potra-

190

fiłby w każdym razie zrozumieć wyniki wydedukowane z danych zdobytych przez Raifa i wykazać, jak pasują do jego teorii. Jedną tylko rzecz przyjmował na wiarę... zresztą zawsze przyjmowano ją na wiarę... uczciwość badacza.

— Raif Neufeid miał pewne teorie — zaczął Brade — których usiłował dowieść bądź obalić za pomocą pewnych doświadczeń. Gdyby powiodło mu się w udowodnieniu tych teorii, zdobyłby sławę i prawdopodobnie dobrą pracę. Gdyby nie udało mu się tego dokonać, mógł nawet przepaść jego doktorat. Rozumie pan, o co chodzi?

— Oczywiście.

— Właśnie dzisiaj rano przeglądałem jego notatki

z przeprowadzanych badań i stwierdziłem, że z początku praca szła mu słabo. Coraz bardziej się niecierpliwił i denerwował, aż w końcu podjął takie kroki, aby jego teorie znalazły potwierdzenie. Zaczął fałszować wyniki doświadczeń. Umyślnie dostosowywał pomiary, by pasowały do jego teorii.

— Tak jak pracownik banku, który zszedłszy z drogi uczciwości, podrabia zapisy w księgach finansowych dla ukrycia swoich przestępstw — powiedział Doheny.

— Tak, właśnie tak.

Doheny zamilkł na chwilę i przetrawiał w myślach odkrycie Brade'a. W końcu zapytał: — Czy złożylby pan to oświadczenie pod przysięgą w sądzie?

Brade zastanowił się nad tym, co znalazł w notatnikach Raifa — nagłe przejście do pomyślnych doświadczeń i powycierane wyniki. Przypomniały mu się różne drobne szczegóły, chociażby opowiadanie Simpsona, z jaką to furią Raif napadł na swego kolegę w laboratorium, kiedy ten podszedł zbyt blisko, gdy Raif wpisywał wyniki prze-

prowadzonego doświadczenia. W końcu odpowiedział: — Myślę, że mógłbym złożyć takie oświadczenie. Ale pan wie, o co tu chodzi, prawda? Do samego końca z największą sumiennością przeprowadzał swoje doświadczenia, jak gdyby coś wewnątrz zmuszało go do udawania uczciwego naukowca, chociaż nim j-uż nie był. Straszne było to, co robił, i w końcu nie mógł już dłużej znieść swojej hańby. Skończył ze sobą.

— Ale dlaczego miałby pozorować wypadek?

— Ponieważ w przypadku samobójstwa ludzie zaczęliby się zastanawiać nad przyczynami, które pchnęły go do tego kroku. Mogliby przejrzeć jego notatki i wykryć fałszerstwo. Natomiast wypadek nie budzi podejrzeń i nikt nie doszukiwałby się motywów. Pamięć po nim pozostałaby czysta.

— Mógł przecież zniszczyć swoje notatki.

— Ale u mnie były ich kopie.

— Czyżby nie pomyślał o tym, że pan może zechcieć kontynuować jego pracę i tak czy inaczej wykryć te fałszerstwa?

— Chyba nie — powiedział Brade cicho. — Nie miał wielkiego wyobrażenia o moich umiejętnościach do kontynuowania tego rodzaju pracy. Chyba przypuszczał, że ja zrezygnuję z pracy nad tym tematem, gdy jego zabraknie. Czy widzi pan teraz, jak samobójstwo pasuje do tych faktów? .

Doheny pocierał mocno dłonią brodę. — Widzę, jak doskonale pasuje — powiedział — ale nie do samobójstwa. To, co mi pan w tej chwili powiedział, może się okazać zgubne dla pana. Stanowi to znacznie lepszy motyw morderstwa niż wszystkie, jakie mi przychodziły do głowy.

## Rozdział 16

Brade patrzył z prawdziwym przerażeniem w oczach. — Więc pan tak łatwo pozbywa się koncepcji samobójstwa? Wyjaśniłem przecież, dlaczego nie pozostawił po sobie listu. A może pan nie rozumie, jak olbrzymią zbrodnią dla naukowca jest fałszowanie wyników doświadczeń?

Doheny nie reagował na palący wzrok Brade'a. Wyciągnął do niego rękę i zapytał: — Czy mogę spojrzeć na jeden z tych notatników?

Brade podał mu i Doheny zaczął przerzucać kartki. W końcu potrząsnął głową: — Dla mnie one nic nie znaczą. A panu chyba wystarczy spojrzeć na nie i od razu dostrzeże pan, gdzie coś nie gra z podliczeniami, prawda?

— Oczywiście, że tak.

• — Pan ma w tej dziedzinie duże doświadczenie. A ja znów mam dostateczne doświadczenie, aby stwierdzić, że coś tu nie gra, jeśli chodzi o koncepcję samobójstwa. Niech pan posłucha, panie doktorze, z mojego doświadczenia wynika, że są dwa rodzaje ludzi kończących gwałtowną śmiercią. Jeden rodzaj, to ludzie, którzy nienawidzą siebie samych. Uważają, że nie są dobrzy. I wszystko, co im się przydarza, jest niedobre. Nigdy nic im się nie udaje. Jeśli coś złego się stanie, a wszystko, co się dzieje, jest złe, uważają, że to z ich winy. Może pan podejść do takiego faceta i bez żadnego powodu kopnąć go w tyłek,

a on nawet nie zareaguje. Uważa, że ma właśnie tyłek do kopania i że to także jego wina, że go kopnięto. Czasami tacy ludzie czują się dobrze, a nawet zachowują się wesoło, ale to jest tylko chwilowe. Po pewnym czasie znów

wpadają w ponury nastrój.

— Depresja maniakalna — zauważył Brade.

— Tak by pan to określił? — spytał Doheny. — W każdym bądź razie, tego rodzaju faceci mogą skończyć śmiercią tragiczną. Tacy właśnie skłonni są do popełnienia samobójstwa. Przed takimi musi pan chować noże, sznury — bo inaczej koniec. Ale mamy jeszcze inny rodzaj ludzi. No, jak? Mam nadzieję, że ta moja paplanina nie nudzi pana? — Rozgniół koniec cygara w popielniczce. — Wyraźnie poniósł mnie ten temat. A może pana to nie

interesuje?

— Proszę, niech pan mówi dalej. Jak pan widzi, bardzo interesują mnie te sprawy.

— A więc dobrze. Otóż ludzie tego drugiego rodzaju

nienawidzą całego świata. Nie siebie samych, rozumie pan, tylko wszystkich innych ludzi. Cokolwiek się stanie, zawsze jest to czyjaś wina. Taki facet zrobi największe świństwo i będzie przekonany, że zrobił to słusznie, ponieważ ktoś kichnął o kilkadziesiąt metrów od niego. Taki facet kopnie pana w tyłek i jeszcze pójdzie na policję z pretensją, że miał pan w tylnej kieszeni spodni książkę, o którą uraził się w palec. Co więcej, jest przekonany, że wszyscy czyhają na niego, spiskują przeciwko niemu, że wszyscy gotowi są rozerwać go na strzępy.

— Typ paranoidalny — określił Brade.

— W porządku. Nazwijmy to tak. Wobec tego zmarły chłopak należał do tej drugiej grupy. Mam rację?

— Przypuszczam, że tak — odpowiedział powoli Brade.

194

— Ależ na pewno tak. Otóż ludzie tego rodzaju nie zabijają siebie, ponieważ nigdy nie poczuwają się do winy. Pan, panie doktorze, mógłby popełnić samobójstwo, gdyby sfałszował pan swoje notatki i owładnęło nim uczucie wstydu i hańby. Ten chłopak jednak by tego nie zrobił. Wcale nie wzięłby winy na siebie. Byłby przekonany, że to ktoś inny zawinił. Uważałby, że został do tego zmuszony. Powiedziałby, że zrobił to po prostu, żeby siebie ochronić, albo, być może, uratować całą ludzkość. Niezależnie jednak od wszystkiego, facet siebie nie zabija; zabija ko-

goś innego... albo ktoś inny jego zabija.

Brade przełknął ślinę z zakłopotaniem, ponieważ w tym, co mówił Doheny, mimo że stosował dość niezwykłą terminologię, było jednak dużo sensu.

— Teraz zopomnijmy o samobójstwie i przeanalizujemy tę sprawę do końca — ciągnął dalej Doheny. — Przypuśćmy, że chłopak by się nie zabił. Przypuśćmy, że skończyłby tę swoją pracę. Co stałoby się wtedy?

— Mógłby wpaść w pułapkę na ustnym egzaminie u profesora Ranke'ego — odpowiedział Brade.

— A jeśli założymy, że ten profesor też by go nie złapał na oszustwie? ~ . . . •

— Tak, to całkiem możliwe, że Ranke mógł; go na tym nie złapać. Nikt by nawet nie pomyślał o kwestionowaniu jego doświadczeń. A więc otrzymałby dyplom i wydałby swoją rozprawę drukiem. Gdyby jednak jakiś inny badacz usiłował znaleźć potwierdzenie dla swoich wyników, wówczas okazałoby się, że Raif nie miał racji.

— Czy mogliby powiedzieć, że sfalszował wyniki?

— Jego wnioski byłyby tak niesłuszne, że mogłoby się zrodzić podejrzenie.

— Co by to wtedy oznaczało dla pana, panie doktorze?

195

— To by mi nic dobrego nie wróżyło — mruknął Brade. Po co właściwie temu zaprzeczać?

— Mogło to chyba wyrządzić panu wielką szkodę?

— Tak.

— Niektórzy ludzie zaczęliby przypuszczać, że pomagał pan w tym fałszerstwie. Czy to możliwe?

— Wątpię, żeby komukolwiek mogło nawet coś takiego przyjść do głowy — odpowiedział oburzony Brade. Pomyślał jednak o zgrzyźliwości Ranke'ego i o tym, do czego był zdolny.

Doheny spokojnie go obserwował. — A może powiedzieliby po prostu, że Neufeid na pańskich oczach wy-

strychnął pana na dudka, bo pan był za głupi, by go na tym złapać, z czego chłopak zdawał sobie sprawę.

Brade zaczerwienił się i ledwie wydobył z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk.

— A więc — ciągnął dalej detektyw — gdyby pan odkrył to fałszerstwo, powiedzmy, w zeszłym miesiącu...

— Odkryłem je dzisiaj — wyjaśnił Brade,

— Wcale nie mówię, że nie. Mówię tylko gdyby. A więc, gdyby pan odkrył to w ubiegłym miesiącu, musiałby pan jakoś tę sprawę zakończyć, jednocześnie nie demaskując chłopaka, prawda? W przeciwnym bowiem razie wyglądałby pan nadal dość głupio. A może jedynym wyjściem dla pana było właśnie zaaranżowanie takiego wypadku, usunięcie notatników i pogrzebanie na zawsze całej tej sprawy?

— Aż do dnia dzisiejszego — oznajmił Brade — miałem szczerzy zamiar kontynuować jego pracę. Mam na to świadków.

— Może pan mieć świadków na to, że tak pan mówił.

196

Ale' czy rzeczywiście ma pan zamiar kontynuować jego pracę?

— Teraz już nie mogę.

— A gdybym tu dzisiaj nie przyszedł, czy podałby pan komukolwiek prawdziwą przyczynę zaniechania tej pracy? Brade zacisnął wargi.

— Widzi pan teraz — powiedział Doheny — do czego zmierzałem mówiąc, że miał pan cholernie dobry motyw. Pańskie oświadczenie, że odkrył pan to fałszerstwo dopiero dzisiaj, to jeszcze nie dowód.

— Czy chce pan mnie aresztować? — zapytał z wściekłością Brade.

— Nie.

— Dlaczego nie, skoro miałem taki dobry motyw? Doheny uśmiechnął się. — Nie jestem jeszcze przekonany, czy pan to zrobił, panie doktorze. Nadal jeszcze

myślę. Ale faktem jest, że znalazł się pan w kłopotach, a więc jeśli chce się pan z nich wydostać, niech mi pan pomoże. Na przykład, jeśli nie pan to zrobił, to kto?

— Nie wiem.

— Nie ma pan żadnych podejrzeń? Może ktoś miał jakiś motyw?

— No cóż, brak mi konkretnych powodów, żeby podejrzewać kogokolwiek, a rzucanie nazwiskami na wiatr byłoby nieuczciwością i... i tchórzostwem.

Doheny poruszył się na krześle. — Jest pan dość niezwykłym facetem, doktorze. Zazwyczaj ludzie bez najmniejszego wahania opowiadają wszystko, co najgorsze, o swoich bliźnich. Byle pretekst, a gotowi sypać, ile się da i wcale nie uważają, że sypią. Wie pan, o co mi chodzi? Wystarczy, jak sobie wmówią, że pomagają w rozwikła-

197

niu zbrodni, a są już usprawiedliwieni i sypią. Jak to się dzieje, że pan jest inny niż oni?

— Co mi to pomoże, jeśli będę rzucał podejrzenia na innych? A może mi tylko zaszkodzi? — zapytał.

Twarz Doheny'ego rozpromieniła się w uśmiechu. — Wie pan co, odnoszę wrażenie, że pan mi nie ufa. No cóż, wspólnie poszukajmy możliwych podejrzanych. To było morderstwo dokładnie zaplanowane, a więc możemy, wykluczyć samoobronę i morderstwo pod wpływem nagłego impulsu. Zastanówmy się teraz, z jakich powodów popełnia się morderstwo. Może to być strach. Gdyby tu chodziło o pana, to pewnie bałby się pan o swoją reputację, jeśli by sprawa tych zafałszowanych notatników wyszła na jaw. Mogła to być chciwość, ale chłopak nie miał ani centa przy duszy i nikt nie mógł na jego śmierci zarobić, chyba tylko właściciel zakładu pogrzebowego. Mogła to być miłość lub nienawiść, co w ostateczności sprowadza się do jednego, gdy chodzi o popełnienie morderstwa. Tu •  
tutaj w grę może wchodzić dziewczyna nazwiskiem Jean Makris, którą Raif puścił kantem, co bardzo mocno odczuła.

Brade był wyraźnie zdziwiony. — Kto panu o tym



wszystkim powiedział?

—• Kilka osób, panie doktorze. Mówiłem panu, trzeba

tylko dać komuś do zrozumienia, że postępuje szlachetnie, a wyleje mnóstwo brudów na innych, i to chętnie. Jeśli chodzi o tę Jean Makris, to czy znalazły się dosyć na chemikaliach, żeby to zrobić? Jest przecież tylko sekretarka,

prawda?

— Możliwe, że potrafiłaby — odpowiedział Brade

z ociąganiem. (Czyżby usiłował ocalić siebie, umyślnie oczerniając inną osobę, czego Doheny widocznie oczeki-

wał jako rzeczy zupełnie normalnej?) — Sekretarka na uniwersytecie mimo woli przyswaja sobie różne wiadomości z tej dziedziny, z którą codziennie się styka. Sądzę,

że wiedziała coś niecoś o cyjanku.

— A więc musimy to zapamiętać. Nie należy martwić się teraz o alibi, ponieważ podłożyć cyjanek można było w każdej chwili w ciągu paru dni.

— Oczywiście.

— A poza tym jest jeszcze jedna dziewczyna, która miała z nim romans. Właściwie, jedna z pana studentek.

— Moja jedyna studentka. Zresztą odkryłem to dopiero przedwczoraj.

— Nie wcześniej, panie doktorze? Utrzymywali to w tajemnicy?

— Widocznie obawiali się, czy matka chłopaka nie będzie temu przeciwna.

Doheny zachichotał z radości. — To-znaczy, że dzieciaki mało się orientowały. Matka rozumiała, co się święci. Właśnie od niej to wiem. Powiedziała mi, że gdy dziewczyna odwiedzi chłopca, żeby rozmawiać o chemii, być może jest to chemia. Ale gdy odwiedza go raz lub dwa razy w tygodniu, żeby rozmawiać o chemii, to już nie jest

chemia.

— Miłość zazwyczaj nie jest motywem do popełnienia morderstwa — rzekł Brade z wahaniem — chyba że coś się popsuło.

— I mnie taka myśl początkowo przyszła do głowy — rzekł Doheny. — Matka powiada, że nic niezwykłego w tym czasie między nimi nie zaszło. Mówiła, że poprzedniego dnia byli razem i panowała między nimi zgoda. Niemniej, sprawdziłem to. Dowiedziałem się, że często -przesiadawali w małej sąsiedniej pasztecarni. Sprzedaw-

ca znał ich. Mówił, że jakiś tydzień przed morderstwem byli u niego i pokłócili się, ale nic nie mógł dosłyszeć, ponieważ sprzeczali się szeptem.

— Naprawdę? — Brade aż podskoczył z zaciekawienia.

— To pięknie brzmi, co? Ale kłócili się tylko o to, z jakim farszem mają zamówić paszteciki. — Detektyw uśmiechnął się wypowiadając te słowa. — Ekspedient mówi, że wydaje mu się, że Raif doradzał dziewczynie, aby obyła się bez dokładki, ze względu na ten farsz.

— Tak, rzeczywiście. Ma pewnie nadwagę.

— A jednak ona postawiła na swoim. Sprzedawca mówił, że opychała się przez cały czas pasztecikami i zakończyła jeszcze jednym pasztecikiem z tłustym farszem... Pamięta to dobrze, ponieważ wybrał dla niej jak naj-'mniejszy, żeby nie miała zbyt wielkich wyrzutów sumienia następnego dnia rano, kiedy stwierdzi, ile przybrała na wadze. Czy widzi pan teraz sedno sprawy?

— A jest w tej sprawie jakieś sedno?

— Ależ oczywiście. Gdy młoda para kłóci się o to, jakie mają wziąć paszteciki, można się założyć, że nie planują zerwania. Gdyby on miał zamiar wystawić ją do wiatru (jak by musiało być, gdyby to rzeczywiście ona go zabiła), wówczas nic by go to nie obchodziło, ile jeszcze wepchnie w siebie kalorii. Wnioskuje stąd, że starsza pani miała rację; nie zamierzali zrywać ze sobą.

— To brzmi dla mnie niezbyt przekonująco — powiedział Brade. — Raif mógł wykorzystać to jako pretekst dla wszczęcia awantury, żeby w ten sposób się jej pozbyć.

— Oczywiście nie jest to jeszcze dowód dla sądu przysięgłych — od razu zgodził się Doheny — i bynajmniej

nie skreślałam jej z listy podejrzanych. Kogo jeszcze mamy, jak pan myśli, panie doktorze?.

Brade nie mógł już dłużej znieść tego i wybuchnął z nagłą agresywnością: —To wszystko nie ma sensu.

— Co takiego?

— Wiem, po co pan tu przyszedł, i wcale nie jestem taki głupi, jak się panu wydaje. Ma pan jakieś podejrzenia co do mnie, ale żadne z nich nie wystarczy jako dowód przed sądem przysięgłych. Jak widzę, wyobraża pan sobie, że prowadząc rozmowę w przyjacielski sposób, nadając jej pozory szczerości, tak mnie pan skołuje, że w końcu się potknę.

— Jak na przykład z tym fałszowaniem notatek?  
Brade poczerwieniał gwałtownie. — Tak, między innymi i to. Tyle tylko, że to jest prawda, i uczciwie myślałem, że wskazuje na samobójstwo. Być może nie wskazuje, ale niczego pan ode mnie nie wydobędzie, co dowodziłoby mojej winy, ponieważ jestem niewinny. Nic mnie nie obchodzi, że pan mnie podejrzewa. To pański zawód. Ale kategorycznie sprzeciwiam się tak podstępny metodom wydobycia ze mnie dowodów winy.

Nagle na twarzy detektywa pojawił się wyraz powagi.

— Panie doktorze — powiedział — niech pan mnie źle nie rozumie. Oczywiście, mógłbym się starać wyprowadzić pana w pole. To też należy do mojej roboty. Ale przecież tego nie robię. Jestem po pana stronie i nawet powiem panu dlaczego. Jeśli pan go zabił, zrobił to pan po to, aby ocalić swoją reputację naukową. Odważyć się na to mógł tylko ktoś... po prostu facet dumny ze swego wielkiego umysłu. Mam nadzieję, że wie pan, o co mi chodzi. Ktoś, kto uważa, że nic nie może stanąć na przeszkodzie temu, by inni podziwiali osiągnięcia jego umysłu, chociażby miał sam im to powiedzieć, chociażby miał to wszystkim ciskać w twarz i drwić z ich głupoty. Otóż, pa-

nie doktorze, rozmawiałem z panem w czwartek wieczorem. Rozmawiałem z panem jako chemikiem, bo ja sam nic nie wiem o chemii. Wyjaśnił mi pan wiele rzeczy i zrobił pan to nie dając mi odczuć, że to zbrodnia albo dowód zupełnego kretynstwa nie wiedzieć tego wszystkiego, na co pan musiał poświęcić dwadzieścia lat nauki. Ktoś, kto rozmawia z takim głupim facetem jak ja i przy tym nie ma ochoty robić z niego durnia, nie mógłby zabić człowieka tylko dlatego, żeby inni nie dowiedzieli się, że nie

jest doskonale mądry.

— Dziękuję panu — odparł krótko Brade.

— I za to także pana lubię. — Wstał i z powagą skierował się ku drzwiom. — Przede wszystkim ja i ludzie to trochę tak jak pan i chemikalia: w większości wypadków mam rację, ale czasami się mylę. No cóż, jak na razie nie będę panu więcej zwracał głowy. — Wychodząc podniósł rękę na pożegnanie, a Brade patrzył w ślad za nim zamyślony.

Zamyślony pozostał przez cały obiad, który minął niemal w całkowitej ciszy. Nawet Wirginia była jakaś dziwnie posłuszna, bo wystarczyło szeptem niemal wydane polecenie, aby poszła do łóżka.

Dopiero później, gdy w telewizji pokazywali jakiś dramat, jak zwykle w niedzielę wieczorem, a Brade patrzył, chociaż nic nie widział, Doris usiadła naprzeciwko niego i zapytała: — Czy zdarzyło się dzisiaj coś, o czym miałbyś ochotę mi powiedzieć?

Brade z wolna podniósł na nią wzrok. Wydawała się trochę bledsza niż zwykle, ale spokojna. Był nawet zdziwiony, że od wczorajszego wieczoru ani słowa nie powie-

i

202

działa na temat starcia u Littleby'ego. Spodziewał się raczej, że będzie szalała z powodu jego głupoty, że będzie mu gorzko wypominała brak opanowania i robienie scen na oczach Littleby'ego, kierownika wydziału, do tego jeszcze w jego własnym domu.

Nic jednak na ten temat nie wspomniała i teraz również wcale się na to nie zносиło.

Wobec tego jasno i wyraźnie, nie usiłując złagodzić ciosu, Brade opowiedział jej, co się wydarzyło, zaczynając od spotkania Roberty, dalej o notatnikach Rałfa, kończąc wreszcie na rozmowie z Doheny'm.

Przez cały czas nie odezwała się ani słowem. Gdy skończył, zapytała krótko: — Co ty teraz zrobisz, Louis?

— Dojdę do tego, kto to zrobił... chyba jakoś dojdę.

• — Myślisz, że potrafisz?

— Muszę.

— Przepowiedziałeś to już w czwartek wieczorem, a ja ci jeszcze komplikowałam wszystko tą swoją złością. A teraz, Louis, tak się bardzo boję.

Może właśnie dlatego, że siedziała taka wystraszona, Brade, opanowany nagłą czułością, przyklęknął przy niej i zaczął mówić: — Ależ, Doris, dlaczego? Przecież wiesz dobrze, że ja tego nie zrobiłem.

— Wiem. — Głos jej był przytłumiony i niewyraźny. Nie patrzyła na niego. — A co będzie, jeśli oni pomyślą, że to ty?

— Nie pomyślą tak — powiedział. — Nie obawiam się tego.

Nagle uświadomił sobie, że to, co mówi, to nie tylko słowa pociechy dla niej. Strach, który przed trzema dnia-

203

mi owładnął nim z całą siłą, teraz prawie zniknął/choć niebezpieczeństwo wyraźnie się zwiększyło.

Właśnie dlatego, że niebezpieczeństwo się zwiększyło, obudziła się w nim jakaś dziwna przekora. Świadomość, że traci pracę, przyniosła mu ulgę, wyzbył się tego ciągłego lęku o nią. Świadomość, że jest rzeczywiście podejrzewany o morderstwo, też mu przyniosła ulgę, przestał

się już bowiem obawiać tego podejrzenia.

— Nie ma rady, trzeba to przeżyć, Doris, i jakoś przeżyjemy — powiedział. — Nie płacz. Proszę cię, przestań płakać.

Unióś jej głowę do góry. — Nic mi nie'pomozesz płaczem.

Doris zamrugała oczyma i lekko się uśmiechnęła. —

Ten detektyw wygląda na całkiem miłego człowieka — powiedziała.

— Z pewnością nie jest taki, jak sobie wyobrażałem

detektywów, i czasami mówi zupełnie do rzeczy. Śmieszne, ale zawsze czuję się zaskoczony jego zdrowym rozsądkiem, bo z wyglądu przypomina mi jakiegoś komicznego policjanta z filmu.

— Czy zrobić coś do picia? — zapytała Doris. — Chociaż po troszeczkę.

— Dobrze.

Wróciła po chwili z dwoma szklankami mówiąc spokojnie: — Zastanawiałam się nad tym, co detektyw powiedział na temat typu człowieka, który mógł zabić Raifa, człowieka, który jest dumny ze swego wielkiego umysłu.

Czy nie tak to powiedział? •

— Tak, i jest to całkiem niezłe określenie. Będę musiał je zapamiętać.

— Czy nie pasuje ono do Ranke'ego?.

204

Brade pokiwał głową z powagą. — Pasuje, ale nie ma to żadnego znaczenia w jego wypadku. Ranke nie tracił na swojej reputacji przez oszukaństwa Raifa. Wprost przeciwnie. W mniejszym lub większym stopniu zależało mu na tym, żeby Raif do niczego nie doszedł. Ostatnia rzecz, jaką chciałby zrobić, to ukrywać fałszerstwa Raifa. Nie, kochanie, jedynie moja reputacja wchodziła tu w grę. — A wobec tego kto? — zapytała cichutko Doris.

Brade trzymał szklankę nieruchomo w dłoni i wpatrywał się w nią. — Wiesz co, właśnie siedzę tu i zastanawiam się nad jedną drobną rzeczą. Jeśli to, co Doheny mi powiedział, jest słuszne, to myślę, że zaczyna mi świtać pewna myśl. Jedno słowo, którego użył, może mieć dwójakie znaczenie, i nie sądzę, żeby Doheny zdawał sobie z tego sprawę. Naprawdę, nie sądzę. Jedno słowo.

Rozdział 17

— Jakie? — zapytała Doris z nadzieją w głosie. Przez chwilę Brade wpatrywał się w nią bezmyślnym wzrokiem, po czym powiedział łagodnie: — Prawdopodobnie to nic ważnego. Coś, o czym nawet nie warto mówić. Będę musiał to jeszcze trochę dłużej przemyśleć. A tym-

czasem, Doris, chodźmy wcześniej spać, zostawmy do diabła te wszystkie sprawy i wyśpijmy się trochę. — Otoczył ją ramieniem i lekko przytulił do siebie.

Skinęła głową na znak zgody. — Pamiętasz, że jutro

masz wykład?

—E— Codziennie mam wykłady. Ale tym się nie martw.

— Dobrze. Tylko umyję naczynia i możemy iść spać.

— Świetnie. Doris, pamiętaj, nie martw się niczym. Poradzę sobie ze wszystkim.

Uśmiechnęła się do niego.

Myślał o tym uśmiechu, gdy leżał w łóżku wpatrując się w ciemność nocy. Czuł, jak Doris poruszała się obok niego bardzo delikatnie, powolnymi ruchami człowieka, który sam nie śpi, ale nie chce budzić leżącego obok, kto

może już er.

Uśmiech jej był bardzo ciepły, przynoszący ulgę. Zastanawiał się tylko, skąd się wziął ten uśmiech.

Człowiek dumny ze swego wielkiego umysłu (przypominał sobie te słowa). Tak, to zupełnie pasuje do Otto Ranke'ego. Ale dlaczego? Przecież on ma reputację w pełni ustaloną. Wszyscy wiedzą, że jest znakomitym uczo-  
nym. Dlaczego wobec tego tak ostentacyjnie okazuje dumę.

Ale na pewno jest to duma? A może świadczy to raczej o braku bezpieczeństwa i pewności lub też o jakimś podstawowym braku zaufania do własnej inteligencji, co zmusza go do stałego demonstrowania swojej mądrości, podkreślania wobec każdego, kto mógłby zagrozić jego pozycji.

Niepewność.

A Foster? Ten się rozpycha, ciągle dąży naprzód, a młoda, ładna żona przyjmuje go takim, jaki jest. Skąd więc bierze się ta ciągła potrzeba udowadniania każdej kobiecie, która się nadarzy, że jest wcieleniem męskości. A każdemu mężczyźnie — że jest dowcipny, nawet jeśli to miały być złośliwości nauczyciela wobec ucznia.

Nawet biedny Kap. Zrobił w życiu wielką karierę, a mi-

mo to wątpi jeszcze, czy jego imię i pamięć o nim przetrwają u potomnych. Dokłada więc wszelkich wysiłków, żeby uwieczniła go ta książka. Biedny Kap... a to przejęcie, z jakim mówił o tytule barona nadanym Berzeliusowi!

Brade przygryzł wargi. Wszyscy oni cierpią na tę samą powszechną chorobę. Niepewność.

Człowiek przychodzi na świat i od tej chwili pozbawiony jest osłony matczynego łona. Jest zimno i światło razi w oczy. Trzeba pracować, żeby móc oddychać i żeby

jeść. Wszelka wygoda, ciepło, ciemność, przytulność zniknęły. Nigdy już więcej nie zazna takiego bezpieczeństwa

i pewności. ,

Poruszył się nagle. — Doris — wyszeptał, obawiając

się, że może już usnęła.

Ale odpowiedziała natychmiast, chociaż trochę niewyraźnie i sennie: — Tak, Louis?

— Nie wydajesz się wcale... zdenerwowana... myślałem, że bardziej się zezłościś. (Miał na myśli sobotni wieczór u Littleby'ego, ale jakoś nie potrafił wypowiedzieć swoich

myśli konkretnie.)

— Ty przecież troszczysz się o wszystko, Louis — powiedziała miękko. Ręka jej przesunęła się pod kołdrę, by spocząć w jego dłoni.

Leżał i rozmyślał. Czyżby doszła w końcu do wniosku, że ktoś inny zamiast niej będzie się przejmował, i stąd ta

zmiana?

Ale dlaczego dopiero teraz? Przecież zawsze tu był. Zastanawiał się nad tym przez chwilę: Czy, rzeczywiście

byłem?

Wciągnął głęboko powietrze do płuc i zaczął zapadać

w głęboki sen.

Następnego ranka po cichu zszedł na śniadanie, zdecy-



dowany robić wszystko, aby tylko nie zakłócić spokoju, jaki zapanował między nim i Doris. Przygotowała już dla niego jajka na boczku, nawet się uśmiechnęła, gdy wszedł, i przez cały czas zachowywała się bardzo spokojnie.

Brade słyszał, jak Wirginia krząta się u siebie na górze. Jadł szybko, żeby wyjść, zanim głośno zbiegnie po schodach. Dopiewszy szybko kawę i otarłszy usta serwetką, powiedział do Doris: — Może lepiej będzie, jak dzisiaj wyjdę wcześniej, co?

— Może i lepiej — odpowiedziała Doris — ale, Louis...

— Słucham?

— Zadzwonisz, gdyby... gdyby coś się stało?

— Oczywiście. A jeśli nie zadzwonię, to będziesz wiedziała, że wszystko jest w porządku. I... nie martw się. — Przypomniał sobie wczorajszy wieczór. — Ja się tym wszystkim zajmę.

— Dobrze, kochanie. — Uśmiechnęła się do niego drżąc całą.

Pocałował ją mocno i odsunął się szybko, bo usłyszał tupot Wirginii zbiegającej po schodach. — Do widzenia!

Na tym wykładzie studenci wydawali się bardziej normalni. Już nie gromadzili się wszyscy przy katedrze, a ci, którzy zwykle zasiadali w stratosferycznych wyżynach galerii, zdążyli się już przesunąć w tym kierunku.

Brade wykladał tego dnia trochę głośniejsz niż zwykle, jak gdyby w ten sposób chcąc pokazać słuchaczom, że nic się złego nie stało. Wzory na tablicy stawały się coraz dłuższe. Z dziecinną łatwością przerobił produkty addycyjne grupy karbonylowej.

Produkty z przyłączeniem siarczynów i cyjanohydryny. Hydrazony, fenylohydrazony i semikarbazony. Jak zwykle, szczególną uwagę poświęcił fenylohydrazonom, aby przejść od nich do osazonowych pochodnych monocukrów. W pełni zdawał sobie sprawę z faktu, że chemia organiczna coraz częściej służy biochemii, a właśnie to zagadnienie stanowiło jeden z wielu punktów stykowych między owymi gałęziami nauki.

Następnie przez pełne pięć minut mówił o mechanizmach reakcji.

Po wykładzie pozostał chwilę na sali, żeby odpowiedzieć na kilka pytań... co było jeszcze jednym dowodem powrotu do stanu normalnego. Gdy w końcu i z tym także się uporał, zabrał swoją pocztę ze skrzynki przed drzwiami kancelarii wydziału i zaczął powoli wspinać się na czwarte piętro — wracał do świata, w którym popełniono morderstwo. (Czyżby umyślnie nie zdecydował się na windę, żeby jakoś opóźnić chwilę tego powrotu?)

Po drodze przeglądał pocztę. Nie odebrał jej w piątek rano z powodu ogólnego zamieszania ani w niedzielę z tego samego powodu, i teraz nabierało mu się wiele listów z trzech dni. Żaden z nich jednak nie wydawał się specjalnie ważny: zapewne jakieś zakłady chemiczne reklamują swoje towary w marnych kopertach albo wydawcy swoje

książki.

Zatrzymał się przy żółtej kopercie, jakich używano dla

korrespondencji wewnątrzwydziałowej. Jego własne nazwisko wypisano na maszynie, a adres zwrotny był bardzo prosty: Wydział Chemii. Jakież to oficjalne zawiadomienie mu przesyłają? Czyżby już efekt sobotniego wybuchu? Wyobraził sobie Littleby'ego, jak wcześniej rano pojawia się na wydziale z myślą o jednej, jedynej sprawie, którą należy załatwić od razu.

Wepchnął resztę poczty do kieszeni marynarki i rozdarł żółtą kopertę. Wewnątrz była kartka z notesu, a na niej jedno zdanie: „Kurs z bezpieczeństwa zostanie umieszczony w wykazie wykładów jako prowadzony przez wydział”. Pod tym widniał podpis Littleby'ego. Aż drgnął ze zdziwienia. A więc stary w. końcu uległ, po sobotnim wybuchu Brade'a. Oczywiście, nie było żadnej wzmianki o „poprolepszeniu jego pozycji na wydziale”, ale w końcu nawet tyle nie oczekiwał.

210

Dotarł do czwartego piętra i nagle stanął twarzą w twarz z Otto Ranke'em, który schodził właśnie ze swojego gabinetu na piątym piętrze.

Brade poczuł nagły przyptyw adrenaliny do krwi. Uniósł górną wargę, jakby chciał na niego warknąć.

Ranke odezwał się pierwszy. Zwrócił się do niego z zadziwiającą serdecznością: — Louis, stary chłopie, jak się

miewasz? Świetnie wyglądasz, muszę powiedzieć.

Poklepał go dwa razy po ramieniu, uśmiechnął się i zszedł na dół.

Brade patrzył za nim osłupiały. Czyżby to było aż tak łatwe? Wystarczy więc raz ukąsić, by przekonali się, że ma zęby, a potem już samo warknięcie odnosi skutek? Czyżby zdołał zastraszyć Ranke'ego? Spojrzał na kartkę, którą nadal trzymał w ręku. A i Littleby'ego także?

Stanął pod gabinetem,, nadal oszołomiony, i przy przekręcaniu klucza w zamku napotkał opór. Drzwi były już otwarte.

O, Boże, to znaczy, że Kap Anson jest już w środku. Brade jakoś nie był w nastroju, by tracić teraz czas nad tą jego wieczystą książką. Potrzebował wolnej chwili, zamiast myśleć i...

Zirytowany otworzył drzwi na oścież i stanął w progu. Kap Anson był w środku, tak... a z nim jakiś nieznajomy.

Kap Anson z laską zawieszoną na lewym ręku stał przy oszklonych szafkach Brade'a i wyjmował pudełka po papierze do maszyny, które zawierały odbitki artykułów Brade'a, oryginalne rękopisy i inne ważne notatki. Każde pudełko zawierało , tytuł artykułu wykaligrafowany tuszem; nawyk ten, z wieloma jeszcze innymi, przejął Bra-

211

de od samego Ansona. Na niższej półce znajdowały się kopie notatek z badań prowadzonych przez różnych studentów Brade'a. Wszystkie były ładnie przewiązane i zaopatrzone odpowiednimi etykietkami.

Wygląda to tak, jakby pracowała przy tym sumienna, ale nudna gospodyni, pomyślał Brade.

— Trochę się chwalę swoją pracą — powiedział Anson. Brade jednak przyglądał się tej drugiej osobie, znajdującej się w jego gabinecie. Stał przed nim mężczyzna około sześćdziesiątki, wyraźnie pochylony i szpakowaty, o twarzy opalonej, a szerokie usta rozchyłał mu uśmiech. Przyjrawszy się uważniej, rozpoznał go. Słyszał przecież, jak wygłaszał referaty na zjazdach Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego. Dość często widywał jego zdjęcia, a jedno nawet było kiedyś na okładce Wiadomości Chemicznych i Technicznych.

Nie czekał na oficjalne przedstawienie i wyciągnąwszy do nieznanego dłoń, powiedział: — Doktor Kinsky?

— Tak, dzień dobry. Doktor Brade, jak sędzę. Słyszałem wiele o panu. — Cienkie, maleńkie zmarszczki pojawiły się w kącikach jego ust i oczu, podrzucał lekko głową w rytm wypowiedzanych zdań. —<sup>^</sup> Z dużym zainteresowaniem śledziłem pańskie badania. Jesteśmy kolegami, uczniami starego, poczciwego Kapa, co?

Brade przytaknął głową, jednocześnie zastanawiając się, czy Joseph Kinsky rzeczywiście tracił czas na śledzenie drobnych prac jakiegoś podrzędnego chemika. — Dziękuję panu — odrzekł i właśnie miał zamiar powiedzieć, że on również zna prace Kinsky'ego, o wiele poważniejsze, ale gość nie dał mu dojść do głosu.

— Od moich czasów jednak wiele się tutaj zmieniło. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, iż czuję

się tak swobodnie w pana laboratorium? Kap mnie tutaj przyprowadził. To całe piętro wciąż należy do niego. Chodzi po nim wszędzie. Tak samo jak za moich czasów. Żaden student nie mógł się od niego odgradzić.— Rozejrzał się dokoła z widoczną tęsknotą za dawnymi czasami. — Zwykle odwiedzałem stare śmieci co jakiś czas, ale ostatnio nie byłem tu już z piętnaście lat.

— No cóż, proszę siadać — powiedział Brade i zwrócił się do gościa: — Czy jest pan wolny w porze lunchu?

— Słucham? O, .nie, nie, niestety. Niemniej jednak bardzo dziękuję. Tym razem wpadłem tylko na chwilę, nie chciałem wyjechać, żeby się nie zobaczyć ze starymi znajomymi. Wiele szczęśliwych lat tu spędziłem. W każdym razie teraz, kiedy już minęły, wydają się szczęśliwe, co?

Brade przytaknął. — Wiem, co ma pan na myśli. No . cóż, szkoda, że nie możemy jakoś uczcić naszego spotkania. A od dawna jest pan w mieście?

— Przeszło tydzień. Powinienem był wpaść wcześniej, ale, wie pan, sprawy osobiste, rodzina. Mimo wszystko jednak czułem się w obowiązku poświęcić ostatnie dwa dni dla starego Kapa.

Stary Kap. Dźwięk tego określenia zirytował Brade'a. Kap jest stary, zgadza się, ma już ponad siedemdziesiąt lat. Ale i sam Kinsky wyraźnie dobiega już sześćdziesiątki.

Kap był przy tym. Wcale go to nie zirytowało. Spoglądał tylko na Kinsky'ego z uwielbieniem, jak nowożeniec na swoją oblubienicę albo matka na dorodne, udane dziecko.

Dla niego Kinsky, ten utalentowany uczeń, był kimś, kto przydaje blasku chemii i przysparza sławy swemu nauczycielowi.

Brade poczuł ukłucie zazdrości. On przecież był tym

213

zlekceważonym, nic nie znaczącym studentem, znalazł się w cieniu tego, któremu się powiodło, który tu wrócił w

pełnym blasku.

Z trudem zmusił się do wypowiedzenia kilku słów: — Sądzę, że pańska wspaniała praca z syntezy tetracykliny nie wymaga już żadnych komentarzy z mojej strony.

— E tam, drobiazg. — Kinsky wyrzucił w górę ręce odżegnując się od wszelkich pochwał. — Niewarta żadnych komentarzy. Moran i Minter w Cambridge znacznie

mnie prześcignęli.

— Jednak zajmują się tym zagadnieniem z innego punktu widzenia. Myślę, że uzyska pan aldosteron przed

nimi.

— Naprawdę? Taka jest pana opinia? To bardzo dziwne. Bardzo dziwne, biorąc pod uwagę, że...

Kap Anson przerwał mu w tym momencie: — Joseph był na tyle uprzejmy, że urwał się wczoraj i spędził wieczór u mnie nad książką. Podobała mu się. — Staruszek zachichotał zadowolony z uzyskanej pochwały.

— Ależ tak, ależ tak. Chemikom potrzebna jest taka książka. Tak. Zbyt wielu chemików żyje tylko teraźniejszością. Matematycy i fizycy znają historię swojej gałęzi nauki, ponieważ nowe osiągnięcia uzupełniają stare. W chemii nowe osiągnięcia wydają się zastępować stare.

W związku z tym istnieje tendencja do zapominania tego, co stare, i w ten sposób zbyt wiele rzeczy ulega zapomnieniu. Rzeczy stare stanowią fundament dla rzeczy nowych. Bez zrozumienia starych koncepcji nie można prawidłowo rozumieć nowych.

— Słusznie — wymamrotał Brade.

— I Kap jest właśnie tym człowiekiem, który w nas to wpoił, co? Tego rodzaju temat wymaga więcej niż che-

214

mika. Wymaga filozofa, i właśnie Kap jest takim człowiekiem.

Kap Anson znów zachichotał, a Brade przytaknął słowom Kinsky'ego z lekkim wahaniem. Prawdziwa uczta miłosna. Marzył, żeby to się już wreszcie skończyło. Ta rozmowa rozstrajała go coraz bardziej.

— W dawnych czasach oczywiście nigdy nie myślałem o starym Kapie jako o filozofie — powiedział Kinsky. — Raczej już jako o surowym słuźbiście.

Brade uśmiechnął się niewyraźnie. — Takim był również w moich czasach.

— O, musiał złagodnieć. Musiał. Gdy ja go znałem, był już po trzydziestce. Niestychanie żywotny, ale i złośliwy. Pamięta pan pewnie, jak chciał pan, żebym przeprowadzi\* gruntowne metylowanie związku z pierścieniami, a ja powiedziałem, że to strata czasu, i jaką wtedy dostałem burę? Koszmar! Uszy puchły. A tak było. Właśnie wtedy zyskał sławę. Założę się, że pan nawet nie zna jego prawdziwego imienia. Założę się, że nikt nie zna jego imienia, chyba że gdzieś sprawdził? •— Rozejrzał się wo-koło niezwykle z siebie zadowolony.

Brade'a to zaciekawiło. — Chce pan powiedzieć, że to pan nadał profesorowi imię Kap? . '

— Oczywiście. A jak pan myśli, skąd się wzięło to imię?

— Właściwie to nie wiem. Wydaje mi się, że był kiedyś taki piłkarz, który nazywał się Kap Anson.

— Dzięki temu może imię łatwiej się przyjęło, ale nie tu tkwi źródło.

— Słyszałem, jak niektórzy mówili, że profesor miał kiedyś okręt. — Brade dostrzegł w tym element humorystyczny i dodał: — Czy może łódź?

Kap Anson, przysłuchujący się tej wymianie zdań z ros-

215

nącym gniewem, przerwał w końcu: — Ależ to nonsens — i stuknął przy tym dwukrotnie laską o podłogę.

— Nie — powiedział nagle Kinsky. — To wcale nie nonsens. Autentyczny fragment z życia i działalności Ansona. Biczował mnie akurat w związku z gruntownym metylowaniem. A jak przy tym wyzywał! I wtedy właśnie, gdy wydawało mi się, że za chwilę zacznę ryczeć, w ogóle umilkł. Spojrzał na mnie. Surowo. I powiedział: „Kinsky, gdy przeprowadzasz dla mnie jakieś badania, pamiętaj, że ja jestem kapitanem statku. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale z chwilą kiedy ja ci powiem, co masz myśleć, wtedy musisz myśleć po mojemu, bo ja tu jestem kapitanem, a ty chłopakiem okrętowym. Zrozumiano?”. Tak to było. Właśnie tak. I od tego dnia nie nazywałem go inaczej jak Kap. Po jakimś czasie wszyscy go tak zaczęli nazywać.

Anson patrzył z wściekłością. — Nic podobnego się nigdy nie zdarzyło.

Widząc nastrój profesora Brade nagle wrócił do wcześniejszego przedmiotu dyskusji. — A jeżeli ma pan ochotę podyskutować nad tym zagadnieniem, panie doktorze Kinsky, to jakie są perspektywy dokonania syntezy aldo-steronu?

— To zależy, zależy — odpowiedział Kinsky z zakłopotaniem. — Ja uważam, że perspektywy są zupełnie dobre, ale pan uważa inaczej.

— Ja? Jak to? Przecież nic na ten temat nie wiem albo prawie nic.

— Mam na myśli pańskiego studenta. — Twarz jego

automatycznie przybrała posepny wyraz. — Strasznie mi było przykro, gdy się dowiedziałem o tym wypadku.

— Nic na to nie poradzimy ^— wyszeptał Brade. —

A który z moich studentów był związany z syntezą aldosteronu?

Kinsky odparł ze zdziwieniem: — Ten właśnie, który

umarł. Jak to on się nazywał... Neufeld. Był przekonany, że moją metodą nigdy nie uzyska się aldosteronu. Powiedział mi to prosto w oczy. Bardzo pewny siebie młodzieniec. -

— Co takiego? — wybuchnął Brade. — Rozmawiał pan z nim?

— Oczywiście. W zeszłym roku na posiedzeniu Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego w Atlantic City.

— Tak, pamiętani, że brał w nim udział. Uzyskałem z wydziału fundusze na pokrycie jego podróży. Nawet mi nie wspomniał, że z panem rozmawiał.

Kinsky odezwał się z pogardą: — Bez wątpienia uznał, że nie warto o tak drobnej rzeczy wspominać. Podszedł do mnie po moim referacie na ten temat, przedstawił się i powiedział mi prosto z mostu, że nie uda mi się tą metodą dokonać pomyślnie projektowanej syntezy. Nawet nie raczył powiedzieć, co, jego zdaniem, jest w tej metodzie niewłaściwe. Można by powiedzieć, że nazwał mnie po prostu bałwanem. Minał już rok, a jeszcze tego nie zapomniałem;

A propos, co się teraz stanie z jego pracą?

Czy była to tylko nadwrażliwa wyobraźnia Brade'a, czy też rzeczywiście w oczach Kinsky'ego pojawił się twardy blask zainteresowania, gdy zadawał to pytanie?

## Rozdział 18

Brade siedział zaskoczony i zamyślony. Spojrzał najpierw na Kinsky'ego, później na Ansona, którego blade, suche wargi były mocno zaciśnięte, jak gdyby na wspo-



mnienie nieprzyjemnej rozmowy na ten temat w czasie ich ostatniego spotkania.

Co mam im teraz powiedzieć? — pomyślał Brade. Próbował uniknąć bezpośredniej odpowiedzi: — Nie miałem jeszcze czasu zastanowić się nad tą sprawą.

— Zamierza kontynuować pracę — wtrącił rozdrażniony Anson. — Wbrew moim radom, muszę dodać. Starzej się, Kinsky. W dawnych czasach chłopcy słuchali moich

rad.

i

— No cóż — odpowiedział Kinsky z zażenowaniem — wszyscy się starzejemy.

Zapadła cisza po tej wymianie zdań, zapanowała też przykra atmosfera.

Kinsky w końcu podniósł się i powiedział do Brade'a:— Bardzo mi było miło poznać pana. Jeśli będzie pan kiedyś w moich stronach, proszę do mnie wpaść.

— Dziękuję panu, skorzystam z okazji — odrzekł Brade i ucisnął mu dłoń.

— Aha — zwrócił się Anson do Brade'a głosem, w którym znać było jeszcze niezadowolenie. — Będę dzisiaj

o piątej, żeby przedyskutować sprawę tych wykładów z bezpieczeństwa pracy. Punktualnie o piątej.

— O piątej — powtórzył jak echo Brade. Bynajmniej nie obchodziło go, że Brade może być zajęty o piątej! Było to tak typowe dla Kapa Ansona.

— A kiedy Kap mówi o piątej — powiedział Kinsky — to na pewno nie ma na myśli piątej zero jeden. A może -się zmienił przez ten czas?

— Nie, nic się nie zmienił — odparł Brade. Brade odczuwał teraz w sercu dziwną gorycz; utratę ojca, którego istnienia do tej pory sobie nie uświadamiał. Bo czyż Kap Anson nie był w pewnym sensie jego ojcem?

Zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz, gdy zobaczył go stojącego ze starszym synem, udanym synem, dobrym sy-

nem, z którego był dumny, który robił, co mu kazano, i stał spokojnie, przyjmując surową krytykę kapitana statku.

Podczas gdy Brade... syn marnotrawny, zatopiony był w swojej pracy, którą w dodatku ma teraz utracić. Biedny Kap nakłaniał go do pójścia w nowym kierunku, a on zdecydowanie odmawiał.

Biedny Kap, choć zestarzał się w zaszczytach i uznaniu, to jednak teraz mimo wszystko żyje też w niepewności. Kap i jego książka. .

Brade zastanawiał się: Doris do mnie wraca, ale wszystko inne odchodzi ode mnie. Moi zaawansowani studenci umierają. Badania załamują się pod wpływem fałszerstwa. Odbierają mi pracę. "A Kap Anson? Nawet mój własny ojciec mnie nie kocha, pomyślał z gorzką ironią.

Podniósł się z miejsca i przeszedł do sąsiadującego z gabinetem laboratorium. Kiedyś, dawniej, we wczesnych latach Ansona było ono częścią gabinetu, ale Anson odgro-

dził je ścianą, wyposażył w przewody podciśnieniowe, zimną i gorącą bieżącą wodę, ujścia dla pary wodnej i rurygazowe.

Anson zawsze wysuwał tezę, że każdy profesor, niezależnie od tego jak stary i zgrzybiały, nie powinien nigdy dopuścić, by zapomniał, jak wygląda probówka lub szczytce laboratoryjne. Pewne doświadczenia, choćby drobne i nieważne, powinien wykonywać sam.

Brade pod tym względem również poszedł w ślady Ansona. Jego własne przekształcenia w atmosferze tlenu pod wpływem kwasowych katalizatorów były wprawdzie pracą drobną, ale coś przecież robił. Anson kiedyś powiedział, człowiek znajduje przyjemność robiąc coś własnymi rękoma.

Jednak teraz Brade spoglądał posepnie na swoje nieco rozklekotane urządzenie i zastanawiał się, w czym tu mógłby znaleźć przyjemność. W tej chwili ustawiona do góry dnem kolba reakcyjna sprawiała jedynie nieprzyjemne wrażenie. Nieprzyjemna była jej stwardniała zawartość, nieprzyjemne były wspomnienia, jakie budziła.

Niczego nie dotykał od czwartkowego popołudnia, kiedy to zawędrował do laboratorium Raifa w poszukiwaniu

wzorcowego kwasu i znalazł martwe ciało swego ucznia. Od tej pory zawieszona była praca całego urządzenia. Kolba reakcyjna poprzez szklane i plastikowe rury połączona była z bladezieloną butlą sprężonego tlenu.

Zupełnie automatycznie rzucił wzrokiem na butlę. Śmieszne.

Czyżby butla była pusta? Przekonany był, że wymieniał ją nie tak dawno przed ostatnim doświadczeniem. Wewnętrzny manometr, prowadzący do wnętrza pięciostopowej butli, winien wskazywać co najmniej 1800 funtów

220

na cal kwadratowy, ale nie wskazywał nic. Strzałka manometru stała na zerze.

Dlaczego tak się stało?

Czyżby zostawił butlę otwartą i gaz się ulotnił? Zewnętrzny manometr, przyłączony do urządzenia, również wskazywał zero. Sprawdził kurek, ale był dokręcony. Nic nie mogło się ulatniać. •

Czyżby wobec tego wyłączył główny zawór, oczyścił manometry z drobnych cząsteczek tlenu, a później zaniknął też dodatkowy zawór? Właściwie należało to zrobić, ale nie przypominał sobie, żeby tak robił.

Położył rękę na głównym zaworze nad butlą z tlenem i nacisnął go w kierunku wskazówek zegara. Nie ruszył się ani o włos. Wynikało z tego, że był dokręcony do końca.

Automatycznie chciał" przekręcić kurek zaworu w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, żeby dopuścić tlen do manometru i zobaczyć, czy wskazówka drgnie... ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Bez wątpienia w tej sekundzie życie jego zawisło na włosku. Ocalił je zatrzymując się w ostatniej chwili.

To nie jego oko, lecz oko chemika to dostrzegło. Jakieś wewnętrzne spojrzenie, które po dwudziestu pięciu latach z przyzwyczajenia dostrzegało wszystko, co nie harmonizowało z całością urządzenia.

Jego ludzkie oko zauważyło coś błyszczącego, ślad jakiegoś oleistego płynu na brzegu gwintu, między głównym manometrem i butlą z tlenem. Przyłożył paznokiec, zdra-

pał i powąchał.

Wydawało mu się, że jest zupełnie sam w przerażającej ciszy, gdy sięgnął po klucz i nałożył go na właściwy koniec sześciokątneho złącza. Nacisnął mocniej i zawór odkręcił się z dziwnym poślizgiem.

221

Manometr odłączył się i cały gwint był mokry. Tak samo zawór igliczny. Nie mógł zidentyfikować tego płynu z całą pewnością, ale miał on gęstą konsystencję glicerolu.

Gdyby rzeczywiście przekręcił główny zawór w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, nastąpiłby taki wybuch, że pewno całe laboratorium wyleciałoby w powietrze.

Brade upuścił z brzękiem manometr na blat stołu laboratoryjnego i usiadł. Cały dygotał zamieniony w kłębek nerwów. Uświadomił sobie nagle bliskość śmierci.

Po chwili, kiedy się już trochę uspokoił (nie wiedział nawet, ile czasu upłynęło), wstał, żeby się upewnić, czy drzwi wiodące z laboratorium na korytarz są zamknięte. Następnie zamknął drzwi od swego gabinetu. Niech im się wydaje, że wyszedł na lunch. (Lunch? Wzdrygnął się na samą myśl o jedzeniu.)

Zauważył, że wpatruje się w manometry, w mokre,

śmiercionośne gwinty.

Korzystał z tej butli z tlenem w czwartek, w dniu, w którym zginął Raif. Wtedy więc była zupełnie w porządku, to oczywiste. Od tej pory nie używał butli i w tym czasie każdy mógł dostać się do jego gabinetu i laboratorium. On nie był taki jak Raif. Mógł wprawdzie zamknąć swój gabinet na klucz, gdy wychodził o piątej... Gdyby mu to przyszło do głowy. Nigdy nie zamykał drzwi na klucz wychodząc do swoich studentów, do biblioteki czy nawet na lunch.

Oczywiście, Kap Anson był w laboratorium dwa razy od czwartku (Brade przez chwilę próbował sobie wyobrazić, że Kap zabija nieposłusznego ucznia, który zbuntował

się przeciwko niemu, ale myśl ta wywołała na jego twarzy tylko przelotny uśmiech), a za drugim razem był z nim Kinsky. Roberta bywała w laboratorium Raifa, mogła

więc także wejść i tutaj. Do diabła. Niemal każdy mógł wejść do jego laboratorium.

Podświadomie wrócił znów myślami do Kinsky'ego. Był w jego laboratorium. Wprawdzie razem z Kapem Ansonem, ale Kinsky mógł na przykład pokazać coś Kapowi w jakiejś książce, a Kap wtedy mógł się tak zainteresować, że zapomniał o całym świecie, i nawet nie zauważył, co Kinsky robi, a Kinsky już dobrze go znał od tej strony.

Automatycznie Brade zaczął w myśli szkicować szczegóły przebiegu wydarzeń. Kinsky spotkał się z Raifem. Raif chciał się, że swoją pracą dowiedzie, jaki z Kinsky'ego jest bałwan. Czy jednak Kinsky mógłby być aż tak dumny ze swego umysłu, żeby walczyć za wszelką cenę, a nawet zabić Raifa? Czyżby w związku z tym chciał również zamordować Brade'a, aby nauczyciel nie kontynuował pracy swego ucznia? Tak usilnie dopytywał się, czy Brade ma zamiar pracować nad tym dalej... podczas gdy butla była już nasmarowana. Czy wytarłby gliceroł, gdyby Brade upewnił go, że nie zamierza prowadzić tych badań? Czy też nie dałoby się już tego naprawić i Kinsky wiedziony był już tylko chorobliwą ciekawością?

Niemożliwe. Zupełnie niemożliwe. Kinsky był już w mieście w dniu śmierci Raifa, ale skąd, mógłby wiedzieć, w jaki sposób Raif prowadzi swoje doświadczenia, żeby tak dokładnie zaplanować morderstwo?

Brade przyłożył zimne dłonie do rozpalonego czoła. Nie, to zazdrość o Kinsky'ego, a nie zdrowy rozsądek napędza mu te myśli do głowy.

Czy możliwe jest, aby chemik, chyba że jest pełnym psychopatą, chciał walczyć za pomocą morderstwa, gdy ktoś inny ma odkryć...

Ale przecież każdy może być psychopatą.

A jeśli to nie miało żadnego związku ze śmiercią Raifa? (Dwa morderstwa naraz? Niemożliwy zbieg okoliczności.) Ale kto jeszcze mógł mieć jakąś pretensję do Brade'a? Ostatecznie, nie dalej jak w sobotę wieczorem bardzo obraził Fostera... i Ranke'ego. Czy na tyle, żeby zdobyli się na popełnienie morderstwa?

Z nowym uczuciem chłodu przypomniał sobie niezrozumiałą przyjacielskość Ranke'ego tego dnia rano na schodach. Czyżby to była tylko protekcyjnalna przyjacielskość

mordercy w stosunku do ofiary, prawie już nieżywej, z powodu której nie warto było się podniecać?

A Littleby? Brade utarł nosa także Littleby'emu, a to pisemko, które otrzymał dziś rano, mogło też być swoistego rodzaju protekcyjną jałmużną.

Littleby? O, mój Boże. Myśli Brade'a zaczęły wirować jak szalone. Zaczynały mu się już zwidywać duchy, skoro nawet Littleby'ego włączył na listę podejrzanych. Dość z tym.

W każdym bądź razie Doheny musi się o tym dowiedzieć, niezależnie od tego, kto jest winowajcą. Tym razem nie może nim być adiunkt Louis Brade, a jeśli jest tylko jeden morderca, to przecież jasne, że Brade być nim nie może.

Niemal z zimną krwią sięgnął po telefon. Wykręcił numer i w słuchawce odezwał się służbowo jakiś głos: — Dziewiąty posterunek. Policjant Martinelli przy telefonie.

Brade odezwał się specjalnie bezbarwnym tonem: — Czy mogę mówić z agentem nazwiskiem Doheny? A kie-

dy będzie? Aha. Nie, nie — powiedział szybko — nikt inny go nie zastąpi. To nie jest zresztą takie pilne. Ale jeśli zadzwoni albo przyjdzie, niech mu pan powie, że dzwoniłem. Jestem doktor Louis Brade. Zna mnie. Proszę mu powiedzieć, że muszę się z nim zobaczyć możliwie jak najszybciej. Mój numer: Uniwersytet 2-1000, wewnętrzny 125. Tak. Tak. Dziękuję panu.

Odwiesił słuchawkę i przez dłuższy czas wpatrywał się w telefon.

Czas już coś zjeść, pomyślał.

Nie wyszedł jednak na lunch, lecz szybko przyniósł sobie kanapkę do gabinetu unikając po drodze ludzi. Czuł wyraźną niechęć do wystawiania głowy na świat, nie wiedząc jeszcze, kto może być jego niedoszłym mordercą. Tutaj, za zamkniętymi na klucz drzwiami...

Chociaż właśnie tutaj, za zamkniętymi drzwiami, czaiła się na niego śmierć.

Wypił kawę prosto z termosu, jeszcze gorącą, i dopiero potem zauważył, że nie dodał śmietanki.

Zbliżała się godzina pierwsza, postanowił więc przejść do laboratorium studenckiego.

Zamknął za sobą drzwi na klucz, sprawdził naciskając kilkakrotnie klamkę (czy będzie jeszcze kiedykolwiek w stanie wyjść z gabinetu pozostawiając drzwi nie zamknięte" na klucz?) i poszedł korytarzem do laboratorium studentów.

Charlie Emmett przygotowywał się do pokazu, jak tworzyć semikarbazon pod ciśnieniem. Oznaczało to, że za mniej więcej piętnaście minut będzie tworzył szklaną „bombę”, zasklepiając grube jej ścianki przez powolne

obracanie nad płomieniem. Mogła wytrzymać ciśnienie kilku atmosfer rozgrzanych wewnątrz gazów, gdy mieszanina reakcyjna wewnątrz bomby została podgrzana.

Brade'a niepokoiły takie pokazy. Istniała zawsze możliwość wypadku, a jednak trzeba było to studentom zade-

monstrować.

Oczywiście, Emmett był biegły w tego rodzaju doświadczeniach. Brade już nieraz widział, jak przygotowuje szkło do takiej bomby. Obserwował jego pewny wzrok utkwiony w równym płomieniu, nad którym niezawodnymi rękoma trzymał szklaną rurkę wyginając jej zwężone

i rozżarzone końce.

Dla położenia glicerolu na gwincie tlenowego manometru trzeba było mieć niezawodne ręce i lodowate serce.

Brade zawstydział się z powodu takich myśli. Charlie Emmett? Ten łagodny Charlie Emmett? Jakiż by miał motyw? (Weszła Roberta Goodhue, uśmiechnęła się do niego krótko i niepewnie, a następnie szybko podeszła do bocznego stolika, aby jeszcze w ostatniej chwili zrobić coś z materiałem chemicznym przygotowanym rano dla doświadczeń, jakie miały być w tym dniu demonstrowane

studentom.)

Brade spojrzął na zegarek. Była za pięć pierwsza. Dokładnie za pięć minut studenci wypełnią salę laboratoryjną.

Przyszło .mu na myśl, że życie nauczyciela uzależnione

jest właściwie od zegara: wykłady, zajęcia laboratoryjne, seminaria, zebrania wydziałowe.

Wskazówka minutowa dotknęła dwunastki i jeden ze studentów wszedł do sali.. Rozwinął swój czarny gumowy fartuch i włożył na siebie. Powiedział z szacunkiem: — Dzień dobry, panie doktorze — umieścił, książki na jednej

226

z ławek i otworzył nadpalony kwasami podręcznik do ćwiczeń laboratoryjnych.

Nagle wypadł mu z książki złożony plik kartek papieru. Student spojrzął na nie ze zdziwieniem, a później z konsternacją. Pozbierał kartki i podszedł do stołu laboratoryjnego, przy którym stał Emmett.

— Czy można? — spytał Emmetta. — Zdaje mi się, że zapomniałem oddać panu swoją pracę w któryś piątek. Czy mogę ją panu teraz oddać? — Patrzył na niego z niepokojem.

Emmett odburknął chcąc podkreślić swój autorytet, prawdopodobnie świadomy wzroku Brade'a: — Dobrze, przejrzę ją później, ale proszę uważać, żeby to się nie powtórzyło.

Brade obserwował bezmyślnie, jak student wręcza pracę Emmettowi. Teraz już coraz więcej studentów zaczęło przybywać na sali. Czas doszedł do głosu. Czas, który sieka dzień nauczyciela na kawałki, który uzależnia go od zegara.

Czas... co się stało? O, mój Boże, pomyślał... Wydawało mu się, jak gdyby studenci nagle zniknęli, a wraz z nimi laboratorium. Był zupełnie sam, sam we wszechświecie, a jakaś myśl, straszliwa myśl, zaczęła mu wirować po głowie.

Nagle podniósł się i wyszedł z laboratorium. Dwie czy trzy pary oczu zwróciły na niego zaciekawione spojrzenia, ale było mu to obojętne.

Siedział znów przy telefonie w swoim gabinecie, musiał jednak zajrzeć do książki telefonicznej, żeby znaleźć potrzebny numer.

227



— Ale ja muszę — wyjaśniał jakiejś energicznej młodej osobie, która przyjęła telefon. — To jest niezmiernie ważne i potrwa nie dłużej niż minutę. Naprawdę nie mogę czekać aż do trzeciej po południu,

I rzeczywiście nie mógł. Musiał to wiedzieć teraz, w tej minucie.

Czekanie było nie do zniesienia. Na myśl, ile zakłopotania i strachu wywoła jego telefon, aż się skręcał w środku.

Cienki głosik rozbrzmiewający w słuchawce był rzeczywiście wystraszony.

— Jesteś pewna? — zapytał w końcu Brade. — Jesteś zupełnie pewna? Czy to dokładnie tak było? Dokładnie?

Sugerował kilka innych możliwości, w -kółko to samo, aż w końcu przerwał obawiając się, żeby nie wywołać hysterii.

Zapytał tylko jeszcze raz: — Czy jesteś zupełnie pewna? — i rozłączył się.

A. więc wiedział. Znał już motyw, kolejność wydarzeń, wszystko.

W każdym razie wydawało mu się, że wie.

Ale nie jest przecież doświadczonym policjantem. Jak ma postąpić, żeby udowodnić swoje podejrzenia? Jeśli już o to chodzi, to co się w ogóle robi, żeby czegoś takiego dowieść na pewno?

Siedział spokojnie i rozmyślał, aż słońce schyliło się tak nisko, że zaczęło mu świecić prosto w oczy. Wstał więc, żeby opuścić zasłonę. Wtedy to dało się słyszeć dyskretne pukanie do drzwi.

Za szybą w drzwiach zamajaczyła korpulentna postać,

którą natychmiast rozpoznał, otworzył więc pospiesznie drzwi. — Niech pan wejdzie, proszę — powiedział do Doheny'ego i uważnie znów zamknął drzwi na klucz.

— Dzień dobry panu. Dowiedziałem się o pańskim telefonie dość późno i pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jak od razu tu przyjdę. Przykro mi, że nie było mnie wte-

dy na miejscu.

— Nic nie szkodzi.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu w zajęciach?

— Nie.

— No to świetnie. Co pana gryzie? Wyobrażam sobie, że musi pan mieć naprawdę ważny powód, skoro wzywa pan policję.

— Niestety tak. — Przyglądał się, jak detektyw zajmuje miejsce naprzeciw niego, a po chwili szybko oznajmił: — Proszę sobie wyobrazić, że usiłowano dokonać zamachu na moje życie.

Doheny, który właśnie sięgał do kieszeni po cygaro, zamarł w bezruchu, a przyjazny uśmiech zniknął nagle z jego twarzy. Oczy jego stały się lodowato zimne.

— A więc tak? Został pan ranny? — zapytał.

— Nie. Ocalałem, ale jeszcze jedna chwila i byłoby po mnie.

— W samą porę, tak?

— Tak.

Lodowate zimno przeniknęło Brade'a na wskroś. Detektyw wpatrywał się teraz w niego nieprzyjaznym wzrokiem. Nie, to było nawet coś więcej. Po raz pierwszy Doheny patrzył na niego tak, jak gdyby w końcu doszedł do przekonania, że właśnie doktor Brade jest mordercą.

## Rozdział 19

Brade jękał się, ale powoli opisał, w jaki sposób odkrył, że ktoś musiał manipulować przy jego butli z tlenem.

Doheny słuchał z na pół przymkniętymi powiekami. Raz tylko oczy jego błysnęły zainteresowaniem, gdy Brade określił płyn jako „glicerol” lub jak powszechnie, ale niepoprawnie, nazywa się go „gliceryną”.

Doheny oparł się dłońmi o brzeg stołu i zapytał: — Gliceryna? Ma pan na myśli nitroglicerynę?

Brade stłumił w sobie złość. — Nie, nie. Gliceryna jako taka... to znaczy, chciałem powiedzieć, glicerol... jest całkowicie nieszkodliwy. Używa się go do produkcji słodczy, kosmetyków...

— Nieszkodliwy? A więc...

— Nieszkodliwy w normalnych warunkach. Ale niech pan popatrzy. Gdyby ta butla została odkręcona, wówczas czysty tlen wypełniłby małą komorę wewnątrz manometru stwarzając ciśnienie około tysiąca ośmiuset funtów na jeden cal kwadratowy. Dla porównania, ciśnienie tlenu w powietrzu wokół nas wynosi około trzech funtów na cal kwadratowy. Pod wpływem tlenu o tak wysokim ciśnieniu glicerol, który jest normalnie nieszkodliwy, wyładowałby się szybko i gwałtownie, uwalniając olbrzymie ilości energii cieplnej.

— Chce pan przez to powiedzieć, że eksplodowałby?

230

— Wybiłoby główny zawór w butli, tak że reszta tlenu wydostałaby się na zewnątrz, a butla, niby jakiś potwór o napędzie odrzutowym, rozerwałaby laboratorium na szczątki, razem, oczywiście, ze mną.

Doheny wciągnął głęboko powietrze i podrapał się po pulchnym policzku. — Czy ten płyn nie mógł się tam dostać przypadkowo? — zapytał.

— Nie — odpowiedział zdecydowanie Brade. — Gwintu na butli tlenowej nie należy nigdy oliwić i nie wyobrażam sobie, żeby ktoś to zrobił przypadkowo. W zeszły czwartek zbiornik był w najlepszym porządku, a potem musiał ktoś przy nim umyślnie manipulować.

— Żeby pana zabić, panie doktorze, czy tak?

— To zupełnie oczywiste. Nie mogło być innego powodu. Tylko ja korzystam z tego zbiornika, nikt inny. Była to tylko kwestia czasu, zanimbym odkręcił główny zawór. W zasadzie o mały włos tego nie zrobiłem.

Doheny pokiwał ze zrozumieniem głową. Nadal zachowywał się chłodno. — A jak pan sądzi, co to wszystko oznacza? Myśli pan, że ten sam facet otrął pańskiego chłopa i nasmarował tę butlę?

— Istnienie dwóch oddzielnych zabójców byłoby zbyt

dużym zbiegiem okoliczności, prawda? — powiedział Brade.

— Oczywiście, że tak. Stąd wniosek, że pan nie może być zabójcą, ponieważ jest pan jedną z ofiar?

— No cóż...

— Ale właściwie, to pan nie jest jedną z ofiar, prawda? Jest pan cały i zdrow, nic się panu nie stało, ponieważ mimo wszystko nie odkręcił pan zaworu. Jest pan pewny, że nie zrobił pan tego sami?

—'Co takiego? Niech pan posłucha...

231

— Nie. Niech pan raczej posłucha. Zupełnie mi się to nie podoba. Zaczynam myśleć, że może jednak się pomyliłem. Mimo licznych dowodów przeciwko panu, sądziłem dotąd, że pan jest niewinny. Ale nie potrafił pan siedzieć cicho i teraz zaczyna pan wyglądać podejrzanie.

Doheny wyraźnie się ożywił i ciągnął dalej: — Facet, na którego pada podejrzenie, jeśli jest winny, powinien siedzieć cicho i nic nie robić licząc na to, że policja nie zdobędzie odpowiednich dowodów, które mogłyby przedstawić sądowi. To jest, niewątpliwie, najlepsza rzecz, jaką może zrobić, a także najtrudniejsza. Pan tego nie potrafi ze względu na zbyt wybujałą wyobraźnię- Należy pan do takich ludzi, co to siedzą i wymyślają różne niestworzone rzeczy, żeby tylko mieć czym się denerwować.

— Drugą niezłą rzeczą, jaką podejrzany może zrobić, to zwiać, wziąć nogi za pas. Pan nie mógł tego zrobić, bo ma pan rodzinę, stanowisko. Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą taki człowiek może zrobić, przypuścić kontratak. Na przykład sfabrykować dowody, które go oczyszczą z winy. Ale żeby to zrobić, podejrzany musi się uważać za inteligentniejszego od policji. Profesorowi uniwersytetu nie-trudno jest dojść do takiego wniosku. Chodzi mi o to, że. inteligencja to niejako jego zawód, nieprawdaż?

Brade przerwał mu energicznie: — Powtarzam panu, że w moim wypadku nie wchodzi w grę żadna z tych ewentualności. '

— W porządku, panie doktorze, w takim razie słucham pana. Zaczniemy jeszcze raz od samego początku. Najczęściej fałszywym dowodem, jaki napotykaemy, są

właśnie pozory, jakie stwarza podejrzany, jakoby miał być następną- ofiarą. Zdarza się, na przykład, że jeśli gdzieś było włamanie do domu, a my podejrzewamy jed-

235

nego faceta z sąsiedztwa, to natychmiast również następuje włamanie właśnie do jego domu. Że niby on sam staje się jedną z ofiar, no i nie może być jednocześnie włamywaczem.

— A więc uważa pan, że to ja sam manipulowałem przy butli z tlenem i dlatego pana wezwałem?

— Panie doktorze, bardzo pana lubię, ale myślę, że to właśnie pan zrobił.

Brade wziął manometr i powiedział spokojnie: —• Wobec tego niepotrzebne to panu jako dowód rzeczowy?

— To nie stanowi żadnego dowodu.

Brade pokiwał głową. Wylał gwint na manometrze i na butli tlenowej miękką szmatką, którą zmaczał najpierw w alkoholu, a później w eterze. Dmuchał następnie sprężonym powietrzem. — Zajmę się tym później bardziej szczegółowo — powiedział. Zamocował manometr z powrotem do butli przekręcając klucz z wściekłością.

Odłożył klucz i zwrócił się do Doheny'ego, który obserwował go z uwagą.

— Używa pan chwytu psychologicznego, ale przejrzałem to na wylot, drogi panie — powiedział Brade. — Usiłuje pan rozsunąć wokół mnie pajęczą sieć logiki sądząc, że w ten sposób w końcu się załamie i desperacko przyznam do wszystkiego, a pan w ten sposób zdobędzie drogocenny dowód mojej winy dla sądu przysięgłych. Ale to panu nic nie da.

—• Dlaczego?

— Ponieważ pański chwyt byłby skuteczny w stosunku do człowieka winnego, a ja nie jestem winien. Na dobrą sprawę, to już nawet wiem, kto to zrobił.

Doheny uśmiechnął się szeroko. — Teraz pan stosuje

chwytów psychologicznych w stosunku do mnie, tak?

233

— Nawet bym tego nie umiał.

— No dobrze. Kto jest tym zabójcą?

Brade czuł, że doprowadza go do desperacji ta mina cierpliwego pobłażania wobec dziwaka. — Ja też potrzebuję dowodów, które można by było przedstawić sądowi — powiedział — i zaraz panu zademonstruję. Niech pan tylko uważa.

Spojrzał szybko na zegarek, podszedł do telefonu i wykręcił jakiś numer wewnętrzny. — A, to ty. Świetnie. Mówi doktor Brade. Zajęcia laboratoryjne z drugim kursem już się zakończyły, prawda? To dobrze. Może wpadniesz teraz do mnie do gabinetu?

Odwiesił słuchawkę. — Za chwileczkę.

Roberta zapukała lekko do drzwi i Brade wpuścił ją do środka. Miała na sobie szary laboratoryjny fartuch, o kilka numerów na nią za duży. Kieszeń u góry zabarwiona była na czerwono od ołówka do znaczenia na szkło, a cały fartuch był już wyblakły i poplamiony chemikaliami.

Wniosła ze sobą do gabinetu mdły zapach, charakterystyczny dla laboratorium chemii organicznej. Początkowo studenci nie znosili tego zapachu, później coraz mniej zwracali na niego uwagę.

Twarz dziewczyny wydawała się jakaś przygaszona, jak gdyby pozbawiona iskry życia.

Biedaczka, pomyślał mimo woli Brade.

— Roberto — zwrócił się do niej — oto jest pan Doheny.

Spojrzała przelotnie na Doheny'ego. — Dzień dobry panu — powiedziała cicho. .

234

— Ten pan jest detektywem, któremu powierzono tę sprawę — dodał Brade.

Powieki dziewczyny uniosły się i w oczach jej zabłysło

nowe życie. — Sprawę wypadku Rałfa?

— Pan Doheny uważa, że jego śmierć nie była dziełem przypadku. Ja też tak uważam. To było morderstwo...

Zaczerwieniła się lekko. — Dlaczego pan tak mówi? — Wbiła wzrok w detektywa. — Wiem, że nie mógł popełnić takiego głupiego błędu. Ale kto to zrobił? Kto?

Brade pomyślał: przyjęła szybko tę możliwość. Też tak uważa.

— Właśnie usiłujemy tego dociec — powiedział. — A tymczasem jest jeszcze coś innego, o czym chcielibyśmy z tobą pomówić. Obawiam się, że pan Doheny dowiedział się o twojej przyjaźni z Raifem.

Jej mina była obojętnie pogardliwa. — To nie jest dla mnie niespodzianką.

— Naprawdę'?.

— Pani Neufeid, matka Rałfa, mówiła mi, że policja pytała ją o to. — Zwróciła się do Doheny'ego: — Mógł pan mnie samą o to zapytać. Powiedziałabym panu.

Doheny uśmiechnął się i odpowiedział jej łagodnie: — Dopóki nie musiałem, nie chciałem pani niepokoić. Przypuszczam, że nie jest to dla pani przyjemne.

— Tak, rzeczywiście nie jest.

; — Pan Doheny dowiedział się, że ty i Raif kłóciliście się — powiedział Brade.

t — Kiedy? — zapytała.

; — Proszę, usiądź, Roberto — Brade zwrócił się do t dziewczyny. — Jest jedna sprawa, którą chciałbym wyjaśnić, i myślę, że możesz mi w tym pomóc. Proszę cię,

usiąść.

235

Roberta zawahała się przez chwilę, po czym osunęła się wolno na krzesło stojące przy drzwiach. — O jaką tu kłębnię chodzi, panie doktorze?

— W paszteciarni.

Na twarzy jej odmalowało się zdziwienie. Doheny również był zdziwiony, chociaż w mniejszym stopniu.  
; — Nie mogliście się zgodzić, jakie paszteciki zamówić —

wyjaśnił Brade.

Roberta potrząsnęła przecząco głową. — W ogóle nic takiego sobie nie przypominam. Kto panu to powiedział? — Udręczony, ale czujny wzrok przenosiła z jednego na drugiego.

Doheny nie zabierał głosu. Popuszcza mi sznura, pomyślał Brade, zabawia się nim, robi jedną pętlę za drugą i tylko czeka, kiedy się potknę i w którąś z nich wpadnę głową i zadyndam.

— Jak słyszałem — powiedział — zamówiłaś paszteciki z farszem mięsny i pokłóciliście się w związku z tym.

— Nie. Nic takiego nie było.

— W każdym bądź razie, ekspedient pasztecniarni był świadkiem, jak szepciem kłóciliście się, i wyraźnie dosłyszał słowo „farsz”, a ty zaraz potem zamówiłaś pasztecik.

Umilkł. -Roberta też nic nie mówiła, ale jej oczy jakby stały się większe na poblądłej twarzy.

— Czy mogłabyś wyjaśnić panu Doheny — kontynuował Brade — czemu ekspedient nie zrozumiał dokładnie tego, co usłyszał? Może wyjaśnisz, jak naprawdę brzmiało to słowo?

Nie odzywała się.

— Słowo o specjalnym znaczeniu dla studentów — nalegał Brade.

236

Nadal milczała.

— Roberto, czy pomyłę się, jeśli powiem, że to słowo brzmiało „fałsz”? Ze kłóciliście się raczej o fałszowanie wyników doświadczeń, a nie o paszteciki z farszem?

— Nie — zaczęła chwytając szybko oddechy



— Wczoraj zastałem cię w laboratorium Raifa, jak wertowałaś jego notatniki. Czy szukałaś pamiątek po nim, Roberto? Czy szukałaś sfałszowanych wyników? A może chciałaś zniszczyć je dla ocalenia reputacji Raifa?

Roberta zdołała tylko pokręcić głową.

— Nie ma sensu przeczyć temu, Roberto — powiedział Brade. — Ja też przejrzałem jego notatki. I znalazłem sfałszowane obliczenia.

— To nie tak było! — krzyknęła gwałtownie. — To znaczy, pan tego nie rozumie. To nie tak było, jak pan powiedział... Raif był zrozpaczony. Nie wiedział, co robi.

Brade zmarszczył brwi. — Na Boga, Roberto, ależ on doskonale wiedział, co robi. Jego nieuczciwość ciągnęła się miesiącami. Nie broń go. Tego nie da się obronić.

— Powiem panu. On nie myślał trzeźwo. Musiał uzyskać dyplom. To było wszystko, co go obchodziło. Był pewny swojej teorii, uważał, że to tylko kwestia czasu, że zanim uzyska właściwe wyniki i...

— A tymczasem podrobił obliczenia, żeby się na nich oprzeć, gdyby właściwych wyników nie udało mu się uzyskać. -Czy tak?

— Przysięgam, panie doktorze, że on nie miał zamiaru nigdy wykorzystać tych wyników, nigdy. Chodziło o to, że... — W rozpaczy wyciągnęła ręce próbując gestem wyrazić słowa, które nie chciały jej przejść przez gardło. Zdołała się w końcu trochę opanować i dokończyła: — Na

237

pewno by panu o wszystkim powiedział. Na pewno przyszedłby do pana przed przystąpieniem do egzaminów ustnych.

— Czy powiedział ci, że przyjdzie? — zapytał Brade. Wzbierała w nim coraz większa dla niej litość.

— Ale ja wiem, że na pewno by przyszedł. Doheny wtrącił się w końcu do rozmowy, pochylając się nad biurkiem: — Panie doktorze, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym przerwać na chwilę. Proszę pani, czy mogłaby mi pani powiedzieć jedną rzecz? W jaki

sposób dowiedziała się pani o tej historii z fałszowaniem wyników? Przecież kolega nie przyszedł tak po prostu do pani i nie powiedział?

— Nie, nie. — Przez chwilę wpatrywała się bezmyślnie w detektywa, po czym powiedziała: — Mam klucz do jego laboratorium. Czasami przychodziłam niespodziewanie. Pewnego razu' podeszłam do niego od tyłu na palcach...

Doheny kiwnął głową ze zrozumieniem. — Chciała mu pani zakryć oczy, połaskotać go czy coś w tym rodzaju. Oczywiście, rozumiem. Niech pani mówi dalej.

— Pracował nad swoimi notatkami. Zobaczyłam, co robił. Brał liczby z powietrza, żeby tylko pasowały mu do równań. Zapytałam go wtedy, co robi?

Zamknęła oczy, jak gdyby przypominając sobie tę chwilę.

— I powiedział pani? — zapytał Doheny. Potrząsnęła przecząco głową. — Nie. Uu.-derzył mnie w twarz. Ten jeden jedyny raz. Skoczył z krzesła, uderzył mnie i spojrzał na mnie dziko. Później bardzo mnie przeproszał, objął mnie, ale...

— Ale pani wiedziała, co on robił?

— Tak.

— Kiedy się to zdarzyło?

— Myślę, że jakieś trzy tygodnie temu.

— I na ten właśnie temat sprzeczałyście się w pasztecziarni? Próbowwała go pani nakłonić, żeby dał temu spokój i zaczął od nowa?

— Tak. \*

Doheny usiadł ponownie na krześle i z uniesionymi brwiami spojrzał na Brade'a. — Wygrał pan tę rundę, panie doktorze — powiedział. — Nie jest pan taki głupi. —

Wyglądało, jakby mu się humor nieco poprawił. — Ma pan coś jeszcze w zanadru?

— Nie jestem pewny... — zaczął Brade i w tej chwili drzwi do jego gabinetu otworzyły się.

Brade spojrzął na przybysza.

Na progu stał Kap Anson z kluczem w jednej ręce i laską w drugiej.

Starzec był wyraźnie niezadowolony z powodu obecności innych osób i bez żadnego przywitania powiedział: — Umówiliśmy się przecież, Brade.

— O, mój Boże, rzeczywiście — Brade ze skrucną spojrział na zegarek. Była dokładnie piąta. — Niech pan mi da jeszcze dziesięć minut czasu, dobrze? Proszę spocząć na chwilę, a my zaraz tu skończymy.

Podniósł się, obszedł Ansona i zamknął drzwi, po czym położył delikatnie rękę na ramię starca i zmusił go do zajęcia miejsca. — To niedługo potrwa.

Kap Anson spojrzął znacząco na swój zegarek. — Mam mnóstwo do roboty.

239

Brade kiwnął mu głową i zwrócił się do Roberty: — Problem polega na tym, Roberto, w jaki sposób to Wszystko wpłynęło na twoje stosunki z Raifem. Mam na myśli, oczywiście, te sfałszowane wyniki.

Anson pochylił się do przodu i zanim ktokolwiek mógł się odezwać, rzucił pytanie: — O jakie sfałszowane wyniki chodzi?

— Okazuje się, że Raif dopasowywał wyniki doświadczeń do swoich teorii. A propos, to jest właśnie pan Doheny, prowadzący śledztwo w tej sprawie. A to profesor Anson.

Anson nie zwrócił uwagi na tę prezentację. Wykrzyknął natomiast gwałtownie: — To po co w zeszłą sobotę była ta cała gadanina o kontynuowaniu pracy chłopaka?

— Dowiedziałem się o tym dopiero w niedzielę, to znaczy wczoraj — odpowiedział Brade. — Ale, Roberto, jesz-

cze mi nie odpowiadałaś, jak to wpłynęło na twoje stosunki z Raifem?

— No cóż, pokłóciliśmy się, i to wszystko. Rozumiałam, co go do tego skłoniło. Wiedziałam, że... że jakoś by to naprawił.

— Czy tak powiedział?  
Roberta milczała.

— Posłuchaj, Roberto. Wiesz, jaki był Raif. Bardzo podejrzliwy, skłonny podejrzewać wszystkich, że są przeciwko niemu. Czyż nie tak, powiedz?

—Wiele przeszedł w życiu.

— Ja go nie sędzę. Po prostu stwierdzam fakt. Byłaś jedną z bardzo niewielu osób, które darzył zaufaniem. A ty zaczęłaś go szpiegować, oskarżać i zamęczać. Stałaś

się jego prześladowcą, jego wrogiem. Czy widzisz teraz, do czego zmierzam?

Doheny znów mu przerwał. — Panie doktorze, z tego, co pan mówi, odnosi się wrażenie, iż chce pan dowieść, że to Neufeid zabił tę młodą panienkę. Ona jednak żyje, jak pan widzi.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odpowiedział Brade. — Ale jeśli Raif zaczął traktować Robertę jak wroga, mógł jej nie zabić, lecz z pewnością zerwałby zaręczyny. Nie byłaby ona pierwszą dziewczyną, którą porzucił...

— Nie — Roberta kategorycznie potrząsnęła głową. Brade z całą brutalnością mówił dalej: — I nic by nie

było dziwnego, gdyby ta porzucona dziewczyna dokonała na swój sposób zemsty.

— Co pan mówi? — krzyknęła Roberta.

— Ze to ty mogłaś zabić Raifa.

— Ależ to szaleństwo!

— Czy przypuszczasz, że mógł go zabić ktoś inny za sfałszowanie wyników? — ciągnął dalej Brade z zimną krwią. — Kto inny mógłby o tym wiedzieć? Czy kiedyś słyszał was ktoś, jak się sprzeczaście na ten temat? —

podniósł się z krzesła i pochylił nad dziewczyną.

Skuliła się. — Nie... to znaczy... nie wiem.

— Czy kiedykolwiek sprzeczałaś się z nim o to na cały głos, późno wieczorem, w jego laboratorium?

— Tttak. Jeden raz.

— A kto was podsłuchiwał? Kto przechodził wtedy

przez sale wykładowe i wszystko słyszał?

• — Nikt. Nie wiem. Nikogo nie było.

g Nagle Kap Anson wtrącił się do rozmowy zwracając się ? do Brade'a: — Słuchaj no, dlaczego tak się znęcasz nad

tą dziewczyną?

## Rozdział 20

Kap Anson powiedział ze złością: — Co to znaczy? — i przez chwilę wszystko jakby zamarło w bezruchu: Bracie ze swoim wyciągniętym palcem, wzburzony Anson z uniesioną do połowy łaską, Roberta ze łzami w oczach i Doheny przypatrujący się wszystkiemu z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Brade musiał w końcu opuścić ramię. Był przerażony. Tak wszystko dokładnie zaimprovizował. Wiedział przecież, że Anson przyjdzie punktualnie 9 piątej, i w tym właśnie momencie doprowadził Robertę do najwyższego napięcia nerwowego, później stopniowo wciągał ją w otchłań tak, by w odpowiedniej chwili przerzucić nagle cały ciężar winy na Ansona.

Czego oczekiwał? Ze Anson się załamie i przyzna do wszystkiego? Że zdobędzie w ten sposób dowody dla sądu przysięgłych?

Tak. Tego właśnie oczekiwał. Musiał przyznać, że właśnie tego oczekiwał.

— I ja też, panie doktorze, \*spytam, co to wszystko znaczy? — wtrącił Doheny.

— Kap to zrobił — powiedział z ciężkim sercem Brade.

— Co zrobił? — zapytał Anson,

— Zabił Raifa. To pan zabił Raifa, Kap.

243

— Ależ to oszczerstwo! — wykrzyknął ze złością Anson.

— To całkowita prawda — oznajmił Brade już spokojniejszym tonem. Co teraz należało zrobić, żeby taką rzecz udowodnić? — Pan słyszał kłótnię Roberty. Kto poza panem snuje się nocą po korytarzach? Ma pan ten nawyk od wieków. To pan odkrył, że Raif wykorzystywał zmyślane wyniki.

— To, że ty tak mówisz, wcale nie znaczy, że tak jest naprawdę. Ale nawet jeśli to wykryłem, to co z tego?

— To, że on był moim studentem. Kap, a ja pańskim. — Brade podniósł się i spojrzał ostro w twarz starego człowieka. W tej chwili, połączeni wzrokiem, tylko oni dwaj istnieli na świecie. — Postępowanie Raifa rzucało złe światło na mnie, a potem z kolei na pana. Pański honor naukowca znalazł się w niebezpieczeństwie.

— Mój honor naukowca — odpowiedział Anson drżącym głosem — jest bezpieczny, Nic mu nie może zagrozić.

— Ja jednak myślę inaczej. Przez całe życie trzymał się go pan desperacko, obydwoma rękoma. Czy przypomina pan sobie, co powiedział o panu Kinsky dzisiaj rano? Nazwał pan siebie kapita'nem okrętu w dziedzinie badań naukowych. Pan był kapitanem, a pańscy studenci załogą. A na pełnym morzu kapitan okrętu ma władzę życia i śmierci nad swoją załogą, nieprawdaż... kapitanie?

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— Chodzi mi o to, że zawsze chciał pan mieć władzę życia i śmierci nad swoimi studentami, jeśli nie świadomie, to podświadomie, gdyż w przeciwnym razie nie sprawiałoby panu tyle przyjemności, gdy nazywano pana kapitanem. A teraz odkrył pan, że student pańskiego studenta, a więc mimo wszystko też pański student, popełnił

największy grzech z naukowego Dekalogu, niewybaczalny grzech, grzech śmiertelny. Więc skazał go pan na śmierć. Musiał pan. Gdyby pan pozwolił mu żyć i prawda wyszła-

by na jaw, pańska reputacja...

W tym momencie, zupełnie nieoczekiwanie, wtrącił się Doheny: — Chce pan przez to powiedzieć, panie doktorze, że ten starszy człowiek wśliznął się do laboratorium Neufelda i pozamieniał te małe kolby?

— Miał do dyspozycji klucz uniwersalny do wszystkich drzwi.

— A skąd akurat mógł wiedzieć, co ten student robi? Czy zakradał się tam regularnie i przeglądał jego notatki?

— Nie musiał. Zawsze był w moim laboratorium. Zastąpiłem go na przykład w piątek, gdy wszedłem po wykładach. Był dzisiaj rano po moim wykładzie. Był nawet pół godziny temu. A kopie pracy Rałfa, ze sfałszowanymi obliczeniami, znajdują się właśnie w moim gabinecie. W tych notatkach Rałf bardzo dokładnie opisywał swoje doświadczenia, włącznie z metodą wcześniejszego przygotowywania kolb. Kap wiedział, co należy zrobić w takim wypadku, i zrobił to. Dzięki własnej drobiazgowości łatwiej mu było zrozumieć i wykorzystać drobiazgowość Rałfa.

— Wszystko to są niczym nie poparte przypuszczenia — powiedział Anson. — Nie muszę na nie odpowiadać.

— Wreszcie, kiedy dowiedział się, że mam zamiar kontynuować pracę Rałfa... — Brade rozpaczliwie próbował mówić" dalej. Wciągnął głęboko powietrze i otarł chusteczką pot z czoła. — Naprzód próbował mnie pan odciągnąć od pracy Rałfa, Kap. Wtedy w sobotę, w ogrodzie zoologicznym, starał się pan zainteresować mnie biochemią porównawczą. Gdy się to panu nie udało, również i na mnie

245 -

wydał pari wyrok śmierci. Dążyłem do pohańbienia pana, więc postanowił pan...

Doheny wstał. Na jego szerokiej twarzy malował się wyraźny niepokój. — Panie doktorze — zwrócił mu uwagę. — Niech się pan uspokoi. Należy poszczególnie spr-

wy omawiać po kolei, a nie wszystko na raz. Niech pan się trzyma sprawy chłopca, tak będzie najlepiej.

Brade znów otarł chusteczką twarz. — Dobrze — powiedział. — Będę się trzymał sprawy chłopca i przytoczę jeden fakt, który stanowi dowód bezsporny. Tak jest. Ten człowiek — palec mu drżał, gdy znów wskazał na Kapa — jest niewolnikiem czasu. Wszyscy nauczyciele muszą w jakimś stopniu być niewolnikami czasu, ale on przewyższa wszystkich pod tym względem. Na wszelkie spotkania zjawia się punktualnie, co do minuty. Dzisiaj wszedł tutaj punktualnie o piątej.

— Rzeczywiście — wtrącił Doheny.

— Wszyscy muszą się do niego dostosowywać. Przychodzimy na spotkania z nim punktualnie, co do minuty, bo tego od nas wymaga. Nie uznaje żadnych usprawiedliwień za spóźnienie. Jednak w zeszły czwartek nie mogłem się stawić na umówione z nim spotkanie, ponieważ musiałem zostać dłużej na uczelni z powodu śmierci Raifa. Skąd pan o tym wiedział, Kap? Skąd pan już z góry wiedział, że tego właśnie dnia nie przyjdę na czas, mimo że zawsze dotychczas pilnowałem, żeby się ani minuty nie spóźnić? Czy zdarzyło się, abym kiedykolwiek nie przyszedł na spotkanie z panem? Na jakiej podstawie pan przypuszczał, że akurat wtedy się nie zjawię.

— O czym ty opowiadasz? — zapytał pogardliwie Anson.

— W czwartek po południu — ciągnął dalej Brade —

punktualnie o piątej, idąc do mnie, natknął się pan przed domem na moją córkę. Nie był pan tego dnia na uczelni. Nikt pana nie zawiadamiał o śmierci Raifa. Oddał pan Wirginii część rękopisu swojej książki. Powiedział pan:

„Oddaj to tatusiowi, jak przyjdzie do domu”. Skąd pan wiedział, że mnie nie ma w domu?

— A przecież ciebie nie było — odpowiedział Anson. — Chyba nie zaprzeczysz temu?

— Oczywiście, że nie, ale skąd pan o tym wiedział? Nie pytał pan przecież o to Wirginii? Nie podszedł pan nawet do drzwi. Po prostu wręczył jej pan rękopis ze słowami:



„Oddaj to tatusiowi, jak przyjdzie do domu”. A więc wiedział pan, że mnie nie ma w domu, właśnie akurat tego dnia. Wiedział pan, że jestem na uczelni, że zostałem tam z powodu śmierci Neufelda. Skąd mógł pan o tym wiedzieć, Kap? Właśnie, skąd mógł pan o tym wiedzieć?

— Proszę cię, nie krzycz tak! — zwrócił mu uwagę Anson.

— Zaplanowałem spotkanie ze śmiercią. Wiedział pan, że Raif nie żyje, bo nasypał pan trucizny do czwartkowej, erlenmeyerki. Wiedział pan, że na pewno odkryję ciało Raifa, gdy wstąpię do jego laboratorium przed wyjściem. Wiedział pan, że to zrobię, ponieważ zwyczaj żegnania się ze studentami przed wyjściem do domu przejąłem od pana. Mimo to jednak, żeby nie naruszyć zwyczaju punktualnego przychodzenia na umówione spotkanie, przyszedłem do mojego domu, by dostarczyć rękopis.

— Ależ to wszystko nie ma sensu — oznajmił Anson. — To twoja córka powiedziała mi, że ciebie nie ma w domu.

— Nigdy pan jej o to nie pytał.

— Ależ pytałem.

— Nie, Kap. Powiedziała mi wyraźnie, że tylko kazała

247

jej pan oddać mi rękopis, jak przyjdę do domu. Gdy sobie przypomniałem o tym dzisiaj rano, pomyślałem, że może nie powtórzyła mi wszystkiego. Toteż specjalnie zadzwoniłem do niej do szkoły. Kazałem jej wszystko powtórzyć. Wypytywałem ją o to w kółko wiele razy. Nie pytał się pan wcale, czy jestem w domu. Założył pan z góry, że mnie nie ma. Pan to wiedział.

Anson spojrział na Doheny'ego. — Chyba moje słowo jest więcej warte niż dziecka. Ona po prostu nie pamięta. Od razu widać, że nie pamięta. Była to przecież przypadkowa wymiana słów, która miała miejsce przed czterema dniami.

— Panie doktorze, profesor ma rację, sąd w to nie uwierzy — powiedział Doheny.

— Wszystko to dla pana przygotowałem. Jest motyw, sposobność, następstwo wydarzeń. Wszystko pasuje — po-

wiedział Brade.

— Z pewnością pasuje — zgodził się Doheny — ale wiele rzeczy może ze sobą pasować. Mogę wymyślić historię, która będzie pasować do pana jako mordercy albo do tej młodej panienki, albo jeszcze do kogoś innego. Czyż nie jest tak samo w chemii? Czy nie może pan wymyślić różnych teorii dla uzasadnienia tego czy innego doświadczenia?

— Tak, mogę — odparł Brade bezbarwnie.

— Musi pan znaleźć taką teorię, której zdoła pan dowieść większą ilością doświadczeń. Wypracowanie jakiejś logicznej formy rozumowania, to jeszcze nie wszystko. Bardzo by się pan zdziwił, co mógłby obrońca oskarżonego zrobić na rozprawie z tak logicznym rozumowaniem, jeśli tylko tym pan dysponuje.

Brade zwiesił głowę. Zrobił, co mógł, lecz na próżno.

1

— Mógłbym zabrać ze sobą profesora Ansona i przesłuchać — powiedział Doheny — ale nie byłoby to zbyt piękne, jeśli jest rzeczywiście niewinny. To człowiek wybitny w swojej dziedzinie, ma nieskazitelną reputację. Potrzebowałbym czegoś więcej niż ta garstka logicznych wywodów. Muszę oprzeć się na czymś tak trwałym i twardym, jak na przykład ta tutaj rzecz... — Uderzył z całej siły zaciśniętą pięścią w butlę z tlenem, aż zadudniła głucho. — Coś, co mogę wygiąć i wykręcić. — W tym momencie chwycił za główny zawór.

Anson z podniesioną w górę laską poderwał się z przerażeniem na równe nogi. — Precz stąd, ty skończony idioto! — Laska świsnęła w powietrzu.

Doheny odwrócił się szybko, chwytając laskę w powietrzu, i przyciągnął do siebie Ansona. — Czy coś nie jest w porządku z tą butlą, panie profesorze? -^zapytał łagodnie. — Dlaczego pan tak sądzi?

Na twarzy Kapa Ansona pojawiły się nagle oznaki zamknięcia. Wyglądał, jakby raptem postarzał się o kilkanaście lat.

— Skąd pan wie, że coś z tym jest nie w porządku? — zapytał ponownie Doheny.

Roberta krzyknęła przeraźliwie: — To pan go otruł!  
Pan go otruł! — i rzuciła się do przodu. Brade chwycił ją  
jednak za ramiona i przytrzymał.

Anson przekrzywił głowę, by spojrzeć w twarz dziewczyny. — Zasłużył na to. Był zdrajcą nauki — powiedział surowo.

— A więc pan go otruł? — zapytał Doheny. — Są tu obecni świadkowie, panie profesorze. Niech pan nie mówi nic, czego pan nie chce powiedzieć.

— Powinienem był zacząć od niego — wskazał na Bra-

de'a. — Co za nieudolność. Powiedziałem ci już następnego dnia, że ty do tego doprowadziłeś. Ty jesteś odpowiedzialny, przez swoją głupotę dopuściłeś do tego, że fałszował wyniki. To przez ciebie musiał umrzeć. — Z szaleńczego krzyku przeszedł do szeptu: — Tak, otrułem Raifa Neufelda — i powiedziawszy to, opadł na krzesło.

Brade i Doheny zostali sami w gabinecie. Doheny umył ręce i wycierał je teraz z całej siły.

— Czy bardzo surowo go osądzą? — zapytał Brade. Po paru chwilach, gdy złość mu przeszła, Kap był dla niego znów Kapem Ansonem, starym, kochanym, dziwnym człowiekiem, wybitnym chemikiem i w dodatku jego własnym nauczycielem, niemal ojcem. Myśl o znalezieniu się starca w więzieniu, w hańbie...

Doheny odpowiedział: — Przypuszczam, że nre dojdzie nawet do procesu — i grubym palcem postukał się w czoło.

Brade ze smutkiem pokiwał głową.

— Niech pan posłucha, panie doktorze — powiedział Doheny. — Chciałbym na wstępie powiedzieć, że bardzo się cieszę, iż moje zdanie o panu okazało się słuszne. Przepraszam, że przez pewien czas miałem wątpliwości.

— Przecież pańska praca polega na poddawaniu wszystkiego w wątpliwość.

— Faktycznie. Ale pan jak na amatora piekielnie dobrze wykonał tę detektywistyczną robotę.

— Naprawdę? — Brade uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Oczywiście. Rozpracował pan tę sprawę gruntownie. Być może, gdybym ja znał fakty tak jak pan, dokonałbym tego samego, ale chyba nie tak dobrze i nie tak szybko.

250

— Wie pan co — zaczął Brade w zamyśleniu — musiałem to mieć w podświadomości przez cały czas, odkąd córka powtórzyła mi, co Kap jej powiedział. Nie potrafiłem jednak uwierzyć, że Kap mógł coś takiego zrobić, więc po prostu... odrzuciłem tę myśl. Kiedy stwierdziłem, że ktoś manipulował przy mojej butli z tlenem, w pierwszej chwili pomyślałem o Kapie, ale roześmiałem się na takie przypuszczenie. Ostatecznie, pomyślałem, jakież motyw mógłby mieć, żeby mnie mordować? Tylko dlatego, że nie chciałem, zan-iechać pracy Raita? "Nie zdawałem sobie sprawy, że on już wiedział o fałszerstwie Raifa i uważał, iż reputacja całego jego życia jest zagrożona. Zagrożenie jego sławy... — powiedziawszy to Brade pochylił głowę w zadumie.

— Kiedy pan w końcu przejrzał? — zapytał Doheny.

— Dzisiaj, gdy zaczynały się zajęcia laboratoryjne -- odparł Brade. — To była drobnostka. Rozmyślałem o tym, jak my, nauczyciele, jesteśmy silnie związani z zegarkiem, /a to mi zawsze przypomina Kapa. I gdy ta-k o tym zadumałem się, jaćś student wręczył swoje notatki mojemu asystentowi prowadzącemu ćwiczenia -laboratoryjne. To skierowało moje myśli na Kapa, który znalazł się w podobnej sytuacji, gdy wręczał swój rękopis Wirginii. Teraz wystarczyła już tylko chwila zastanowienia i wszystko zagrało.

— Jak powiedziałem... to naprawdę świetna robota —• pochwalił Doheny. — Tylko o jednym musi pan pamiętać. Nieomal popsuł pan wszystko przez zbytnią gadatliwość. Wie pan, o co mi chodzi?

— Nie.

— Tu właśnie wyszła pańska amatorskość. Miał pan zamiar powiedzieć staruszkowi wszystko, a po co? Jeśli

251

jest winny, i tak wie o wszystkim. Rozumie pan?^A więc niech pan nigdy nie mówi wszystkiego. Zawsze trzeba coś opuścić. Tak jak z tą butlą tlenową. Nie powinien był pan mu o tym mówić. Gdybym pana nie powstrzymał, wszyst-

ko by pan wygadał. I co wtedy? W zasadzie, opowiada się tylko część historii. Ten, kto zna ją całą, w nerwowym podnieceniu nie potrafi potem zapamiętać, co mu powiedziano, a czego nie. Następnie naprowadza się go tak, żeby wyjaśnił te fakty, o których wcale się nie mówiło. Rozumie pan? Wtedy sam wpada w pułapkę, tak jak było z tą butlą, bo pokazał, że wie o niebezpieczeństwie.

— Słusznie, dziękuję bardzo.

Detektyw wzruszył ramionami. — Po prostu zawodowa sztuczka. Stara, ale wszystkie dobre są stare. No cóż, myślę, że czas się z panem pożegnać, panie doktorze. I mam nadzieję, że już się więcej nie spotkamy. A w każdym razie służbowo.

Brade z roztargnieniem uściskał mu dłoń i rozejrzał się po swoim gabinecie, jakby oglądał go po raz pierwszy. — Wie pan co — powiedział — to wszystko trwało tylko sto godzin, może nawet mniej.

• — A założyłem się, że wydawało się znacznie dłużej.

— Jak wieczność — odparł Brade.

Doheny przekręcił głowę na bok i zapytał: — Jaki ta cała sprawa będzie miała wpływ na pańską karierę naukową i pracę?

— Co takiego? Aha, no, wie pan... — W krótkim śmiechu Brade'a można było wyczuć ślad rozdrażnienia. — Prawdę mówiąc, to przestałem się tym przejmować. Gdy dowiedziałem się, że mam stracić pracę, ciężar spadł mi z serca. Już nie musiałem drzeć, że ją stracę. Odczułem to jak ulgę. Czy nie mówię przypadkiem bez sensu?

252

— Nie wiem, czy to ma sens, ale rozumiem, o co panu chodzi, panie doktorze.

— Gdy Kap w końcu powiedział mi o tym... — Nagle Brade popadł w głęboką zadumę. Czy Kap mówił prawdę? Czy Littleby rzeczywiście postanowił nie odnawiać z nim umowy? A może to była tylko część kampanii Kapa., żeby odciągnąć Brade'a od kontynuowania pracy Raifa? Czy był to jeden z chwytów psychologicznych? Ostatecznie, pojednawcza notatka Littleby'ego dzisiaj rano...

Lecz któż by się tym przejmował? Z prawdziwą ulgą Brade zdał sobie sprawę, że właściwie nie zależy mu już

na tym.

— Wszystko mi jedno — odpowiedział na głos. — Dość długo już trzymałem się jednego miejsca i starałem się nie rzucać w oczy. Znacznie większa zabawa jest, jeśli człowiek oddaje pięknym za nadobne. Pokazałem Ranke'emu i Fosterowi, co o nich myślę, a to uświadomiło mi, co można zrobić, gdy człowiek nie ma już powodu ukrywać się i gdy może sobie pozwolić na walkę. Ale pan przecież nic o tym nie wie.

Doheny obserwował go z zaciekawieniem typowym dla kogoś, kogo pasjonuje badanie stosunków międzyludzkich. — Cała ta sprawa była jedną piekielną walką z pana strony — powiedział.

Brade z przypiływem nowej energii odparł: — Ma pan rację. — Oczywiście, że to była walka. Walczył przeciwko wszystkiemu, od ewentualności, że utraci pracę i rodzinę, aż po możliwość egzekucji na krześle elektrycznym. — Ale zwyciężyłem — dodał z wolna.

—Zwyciężył pan naprawdę.

W śmiechu Brade'a była i ulga, i radość. Pomyślał o Littieby'm. Ten biedny staruszek ma swoje własne pro-

253

bierny. Kłó jego wydziale jest i morderca, i ofiara. Będzie musiał wyjaśnić wszystko rektorowi uczelni (egoiście, brutalowi i tyranowi o kocim uśmiechu). Rektor z kolei będzie musiał wyjaśniać tę sprawę prezesowi uniwersytetu. A potem będą jeszcze członkowie rady nadzorczej, następnie dziennikarze.

Od góry do dołu nikt nie jest bezpieczny. Każdy ma swego mola, co go gryzie.

Szczęście sprzyja tylko temu, kto się odważy walczyć.

Tak jak Br.ade.

— Pójdę teraz do domu — powiedział. — Znów wrócę późno, a Doris powinna dowiedzieć się o wszystkim.

— Niech się pan nie martwi o żonę — uspokoił go Doheny. — Pomyślałem sobie, że jest par} bardzo zaabsorbowany tymi sprawami, więc zadzwoniłem i powiadomiłem ją, że wszystko jest w porządku. Powiedziałem też,

że może pan dzisiaj wróci nieco później, .bo przypuszcza-  
łem, że koledzy z policji mogą zadzwonić i wezwać pa-  
na do siebie, żeby odpowiedział pan na jeszcze kilka py-  
tań.

— Naprawdę?

— Wygląda na to, że już nie zadzwonią, a więc może  
pan iść do domu. Jeśli będą mi potrzebne jakieś dodatko-  
we informacje, to wiem, gdzie można pana znaleźć.

— Proszę bardzo. I dziękuję za wszystko.  
Uścisnęli sobie dłonie i razem wyszli. Brade skierował  
się w stronę zewnętrznych schodów prowadzących do par-  
kingu.

Odwrócił się po raz ostatni i zawołał: — Wie pan co?  
Śmieszne, ale nareszcie, po tylu latach, mam poczucie bez-  
pieczeństwa. Nieważne, co będzie z moją pracą. Czuję się

bezpieczny w tym jedynym sensie, jaki się naprawdę  
liczy.

Zbiegł po schodach, wcale nie zważając na to, czy de-  
tektyw go zrozumiał.

Wracał do domu, do Doris, z lekkim sercem i poczu-  
ciem bezpieczeństwa.

„Czytelnik”. Warszawa 1971. Wydanie I.  
Naktad 70290 eoz. Ark. wyd. 10,5; ark. drulec tg.  
Papier druk. sat. łcl. V'n. 65 g, 75 cm z Myszko-  
wa. Oddano do składania 10 XI 1970. Podpisano  
do druku 31 lii 1971. Druk ukończono u; ma-  
^u 1971. Zakt. Graf. ..Dom Stówa Polskiego”  
w Warszawie. Żarn. wyd. 676; druk. 9425. U-100.  
Cena zł 18.—  
printed in Poland